

MIEŚCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 11 (338) • ROK XXIX • LISTOPAD 2023



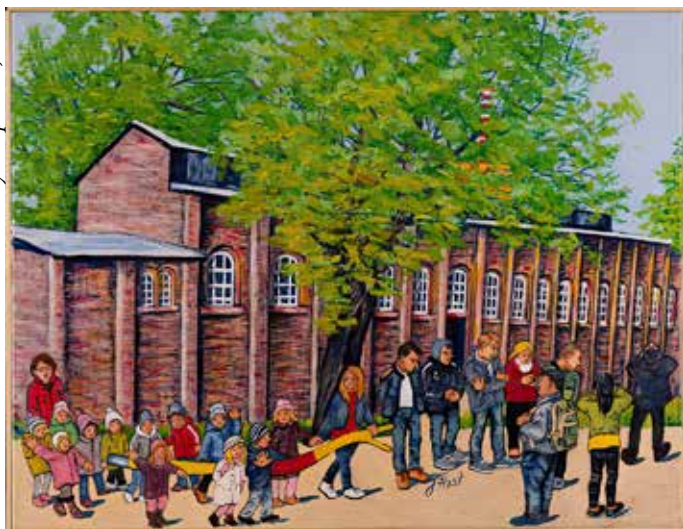
UMIERAĆ MUSI,  
CO MA ŻYĆ...





Oddany do użytku w listopadzie 1996 roku, w uroczystości otwarcia nawiązującej do 150-lecia kolei warszawsko-wiedeńskiej, główny dworzec kolejowy w Częstochowie jest nowoczesnym budynkiem o ciekawej konstrukcji. Pomimo to, w ostatnim czasie pojawiały się głosy związane z planami jego wyburzenia i budowy w to miejsce nowego obiektu. Wszystko wskazuje na to, że do tak absurdałnego posunięcia nie dojdzie, przy okazji przypomniano jednak czasy, gdy kolej dotarła do Częstochowy. Na zdjęciu muzeum kolejnictwa w budynku stacji Częstochowa Stradom.

Szczegóły str. 20



Łaźnia łańcuskowa to budynek, w którym górnicy przebierali się do pracy, a po wyjeździe z dołu kąpali się przed powrotem do domu. To również inspiracja literacka, a także motyw wielu obrazów, tworzonych przez malarzy nieprofesjonalnych. Pisze o tym Jacek Okoń na str. 31

Żegnamy naszych Przyjaciół

Romę Jegor  
poetkę

Michała Lubinę  
poetę i historyka Górnego Śląska

prof. dr. hab. Marka S. Szczepańskiego  
wybitnego socjologa

Pozostaną w naszych sercach  
i na kartach śląskiej historii i kultury



Nr 11 (338). Rok XXIX. LISTOPAD 2023

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
SztukaKRYSZTIAN WĘGRZYNEK  
KulturaTOMASZ KOWALSKI  
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA  
KorektaBOGUMIŁA CYRÓN  
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
JAROSŁAW KAPSA  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA  
JERZY PASZEK  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
PIOTR SKOWRONEK  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
GRZEGORZ SZTOLER  
JOANNA WAROŃSKA-GEŚIARZ  
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
RYSZARD JASNORZEWSKI  
KRZYSZTOF ŁĘCKI  
JAN MALICKI  
JAN MIODEK  
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze  
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 104  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
Santander Bank Polska S.A.  
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna  
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na [www.sbc.org.pl](http://www.sbc.org.pl)  
oraz na [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)  
Nakład: 1000 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM  
4 *Krzysztof Węgrzynek* JAK COŚ SIĘ ROBI Z MIŁOŚCI DO ŚWIATA, TO ŚWIAT TO POTEM ODDAJE  
ROZMOWA Z JACKIEM GŁOMBEM, DYREKTOREM TEATRU IM. HELENY MODRZEJEWSKIEJ  
W LEGNICY  
8 *Piotr Skowronek* NIE TRZEBA BABRAĆ SIĘ W BŁOCIE. ROZMOWA Z KS. DR. ADAMEM  
PAWŁASZCZYKIEM, REDAKTOREM NACZELNYM „GOŚCIA NIEDZIELNEGO”  
11 *Ks. Henryk Pyka* KATOWICKA SYKSTYNA  
16 *Tadeusz Loster* WSPOMINKI O MĘCZENNİKACH Z OKRESU POWSTAŃ ŚLĄSKICH  
I PLEBISCYTU  
18 *Ryszard Bednarczyk* ŚLĄSKIE CZEREŚNIE JAK MAGDALENKI  
20 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* NOSTALGICZNIE, PO KOLEI...  
23 *Weronika Górka* CZAS PISANIA I CZAS ORGANIZOWANIA ROZMOWA Z BARBARĄ JANAS-  
DUDEK I JACKIEM DUDKIEM  
24 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA *Radosław Kobierski* LITERATURA ZAWSZE WYRZĘDZA NAS  
O KROK  
28 *Piotr Skowronek* OCALIĆ POWSTAŃCZE GROBY. ROZMOWA Z JANEM KWAŚNIEWICZEM  
31 *Jacek Okoń* ŁĄŻNIA ŁAŃCUSZKOWA – INSPIRACJA I MOTYW LITERACKI  
45 *Stefan Zabierowski* BACZYŃSKI W LICEUM BATOREGO  
48 *Weronika Górka* „EMITOWANKO, PROMIENIOWANKO I SPRAWDZANKO!”  
49 *Wojciech Lipowski* W SAMYM ŚRODKU ŻYCIA  
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* „SCHOWAJMY SIĘ NA PO ŚMIERCI”  
62 Z ARCHIWUM PISARZY BEZDROŻA SOCYPARNASIZMU ODPOWIEDZI MICHAŁA  
GŁOWIŃSKIEGO NA ANKIETĘ ANDRZEJA ŚNIOZSKA  
73 *Radosław Kobierski* KONSTELACJA SZTUKA  
76 *Andrzej Jarczewski* DZIŚ PRAWDZIWYCH ZECERÓW JUŻ NIE MA. APOLOGIA KOREKTOLOGII (II)  
80 *Zbigniew Lubowski* BLUESOWE EMOCJE NAD RAWĄ

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: MALARSTWO NATALII KLESZCZEWSKIEJ

## POEZJA I PROZA

- 3 *Bohdan Wrocławski* PEJZAŻ Z KOBIETĄ W TLE  
14 *Bohdan Wrocławski* WIERSZE  
25 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA *Stanisław Jaglarz*  
26 *Konrad Kitliński* FALE 2  
42 *Jarosław Lewicki* HANSI (3)  
54 *Krzysztof Ćwikliński* KONWÓJ FRAGMENTY POWIEŚCI, CZ. 2.  
58 *Lesław Nowara* WIERSZE  
74 *Julia Dusza* WIERSZE

## FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* „UCZYŁY MNIE REKTORY”  
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* ODWIEDZANIE GROBÓW  
38 MAŁE NARRACJE *Tomasz Bocheński* HYBRYDY (3)  
39 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* BOHATEROWIE NASZYCH CZASÓW  
40 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* SPORT OSTATNIEJ MODY, CZYLI ZAPOMNIANA ZABAWA  
PRABABEK  
52 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* PIOTR BECZAŁA W BRATYSŁAWIE  
57 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzeński* MARATON SPADOCHRONIARZA  
77 WYZNANIA GÓRNOŚLĄŻAKA *Tomasz Słupik* TRZEBA ROBIĆ, ZAMIAST GADAĆ

## KSIĄŻKI

- 64 *Agnieszka Nęcka-Czapska* REPORTAŻE ZAWSZE NA CZASIE  
66 *Tomasz Pyzik* WPROWADZENIE DO WIEKUISTEJ BLISKOŚCI  
67 *Andrzej Juchniewicz* KTO OCALAŁ, A KTO NIE?

78 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

NATALIA KLESZCZEWSKA *Gorączka III*, olej na płótnie, 120x160cm, 2023, fragment



## Czwarta nad ranem

**1**  
Łza pamięci. – W 1995 roku zakładałszy miesięcznik „Śląsk”, pierwszy numer wyszedł w listopadzie. Mówię: „zakładaliśmy”, choć całą pracę wykonał Tadeusz Kijonka. Zeszliśmy się w zespół, który nie był jednomyślny i często różniliśmy się z sobą. A teraz wielu z nich już nie ma. – Tadeusz Kijonka, wybitny poeta, wizjoner, któremu sprawy Śląska leżały na sercu bardziej niż jakimkolwiek innemu politykowi z lokalnym rodowodem. – Feliks Netz, poeta, prozaik, lecz nade wszystko wybitny tłumacz; bardzo go żał. – Jan F. Lewandowski, historyk, znawca filmu i losów śląskich; zmarł nagle, samotnie, nie tak, jak powinno się umierać. – I wszyscy inni, którzy odeszli, a teraz ich przypominam w osobie Haliny Żmij, pierwszej sekretarki redakcji i Eli Pietrzok, najpiękniejszej, najwytrwalszej, jedynej od zakończenia wojny, wiernej powierniczki śląskich literatów.

**2**  
Katedra w Ely. – Trzydzieści lat temu w katedrze w Ely, arcydziele gotyckiej architektury, zobaczyłem nagrobek kogoś ważnego dla tamtej społeczności. Nie pamiętam, jak się nazywał. Kochał swoje dwie żony, był szczodry dla wspólnoty, lecz był także nieukiem. To mu wykuło na tablicy nagrobnej. – A u nas? Byle jaka zasługa i chocholi taniac żałobników.

**3**  
W drugiej osobie. – Vladimir Jan-kélévitch śmierć bliskiej osoby nazywa „śmiercią w drugiej osobie liczby pojedynczej”. Są albowiem – powiada – trzy rodzaje śmierci. W „trzeciej osobie” to śmierć „byle kogo”, obcego, do zastąpienia, „nie kryjąca w sobie żadnej tajemnicy”. W „pierwszej osobie” to śmierć „moja”, „nie mogę o niej mówić, właśnie dlatego, że jest to moja śmierć”. „Pozo-

staje śmierć w drugiej osobie, śmierć kogoś bliskiego. Oto uprzywilejowane doświadczenie filozoficzne. Przypomina moją śmierć, a jednak nie jest moją śmiercią, nie jest też bezosobową i anonimową śmiercią [...]”. „Ktoś bliski, umierając, wyręcza mnie w filozofowaniu o śmierci” (*To, co nieuchronne. Rozmowy o śmierci*, przeł. Mateusz Kwaterko, Warszawa 2005, s. 16).

**4**  
Nie ulegać nicości. – „Był jest jedynym pewnym przedmiotem refleksji. Nicość we mnie, śmierć we mnie, ja-nicość nie ma racji, głównie: racji istnienia – taką rację ma tylko istnienie samo, rzeczywistość, «świat pozostający przy życiu». Zmagać się ze śmiercią, nie przestawać. Dopóki się da, wymykać się uchwytowi nicości, choćby czołgając się po macie. I żadnego – beżsi! – rzucania ręcznikiem” (*Stefan Szymutko, Nagrobek ciotki Cili*, Katowice 2001, s. 89).

**5**  
Riepin. – W roku 1910 wielki malarz rosyjski Ilja Riepin napisał miniaturę *Śmierć* (w: *Russkaja filozofija smierti. Antologija*, oprac. K. Isupow, Moskwa–Sankt Petersburg 2016). W częście pierwszej zawarł takie słowa: „Człowiek boi się śmierci i skrycie marzy o nieśmiertelności. Cóż to za dolegliwość! O, śmiertelny – z nabożną czcią, w prochu, dziękuj Stwórcy Świata za Jego ostatni dar dla ciebie na ziemi: śmierć. Życzę ci, abyś był naleźycie przygotowany na wielką tragedię twojej duszy – pożegnanie z życiem. Niech radosne łzy twojej ostatniej chwili mieszać się ze łzami głębokiego żalu twoich przyjaciół, którzy przyszli pożegnać się z tobą *na zawsze*. Wielki, uroczysty moment śmierci jest opieczętowany obecnością samego Boga. Na twarzach umarłych pojawia się wtedy znak niewytłumaczalnej potęgi wiecznej tajemnicy wykraczającej poza życie. Na ziemi nie ma miejsca na taką ekspresję” (przekład mój, s. 229). – Wcześniej, w roku 1885, Riepin namalował wstrząsający obraz *Car Iwan Groźny i jego syn Iwan 16 listopada 1581 roku*. W odzwierciedleniu chwili po synobójstwie, gdzie zrozpaczone oczy okrutnika i spokojna twarz zabitego zderzają się z sobą, zderzają się też „radosne łzy” i „głęboki żal”, o których pisał po latach malarz w miniaturze *Śmierć*.

**6**  
Benefity. – Tylu ich znałem, tylu znam, ale rzadko mogę o nich przeczytać. Zmieniła się skóra świata: w naszej przestrzeni kulturalnej coraz częściej goszczą przybyłe skądinąd niż stąd. Jakby wszystkie instytucje kulturalne miejsca chciały ogrzać się przy wypalonych ogniskach. Najazd Świata na Prowincję trwa ku zadowoleniu niewiele rozumiejących dyrekcji instytucji miejsca. – Dalej tak! Niechże się

dokona pełna anihilacja Prowincji. – Tylko szkoda miejscowych grobów, o których podczas Najazdu Świata na Prowincję już nikt nie pamięta.

**7**  
Kochałeś? – „Kochałeś tego niedawno zmarłego człowieka, szanowałeś go. Teraz zaś jest on dla ciebie smutnym wspomnieniem, wspomnieniem smutnym i, być może, jednocześnie jasnym. Ale już go więcej nie kochasz, już go więcej nie szanujesz, tylko o nim pamiętasz. Bo jak, w swej istocie, kochać i szanować proch? Ale gdyby przypadkiem ten człowiek wciąż żył, nie wiem gdzie – w jakimś odległym kraju, w jakimś nieznanym kraju? Gdyby tylko był nieobecny, jak wielu innych twoich przyjaciół? Dlaczego więc nie odczuwasz do niego tych samych uczuć, jakie odczuwałeś wcześniej? Nie widzę tu żadnych przeszkód. A kult świętych. Wierzyć poważnie, sumiennie w nieśmiertelność duszy i nie szanować ludzi godnych naszego szacunku tylko dlatego, że nie żyją tutaj, na ziemi, czy nie jest to absurdalne?” (Piotr Czaadajew, *Fragmenty i różne myśli*, przekład mój, Katowice 2022, s. 57–58).

**8**  
Flesz. – Każda nowa informacja o czyjejś śmierci jest jak uderzenie w oczy halogenowym światłem. Lampa błyskowa. Nagle ktoś staje nam przed oczami i znika. A w oczach ćmi się ten czarny odbłysek, zdumienie, które nie chce ustąpić.

**9**  
Dawne groby. – Dawniej było jak teraz i na grobach jednych chowano innych, zacierając znaki tożsamości. Ziemia odczocho przyjmuje w siebie każdą osobę, która po niej chodzi. A przecież jest w nas troska o zachowanie tego jedyne-go miejsca, w którym spoczęła doczesna powłoka naszych bliskich. I choć przemija postać świata, chociaż powtarzamy, że z prochu powstajemy i w proch się obracamy, chcemy sprzeciwić się przemijaniu. Piramidy, mauzolea, granitowe sarkofagi, kamień z wrytym imieniem. Stąd oddawane honory, oczekiwane splendory, orgia świec i okręgi chryzantem.

**10**  
Chichot czasu. – „Zgromadziłem bibliotekę na trzysta lat z górą, a wszystko, czego teraz potrzebuję, to tych lat” (Elias Canetti, *Księga przeciwko śmierci*, przeł. Maria Przybyłowska, Sejny 2019, s. 132).

**11**  
Czas na mnie. – Wiersz Tadeusza Różewicza poświęcony Konstantemu Puzynie. To nie jest wiersz o śmierci, choć mówi o konieczności odejścia. To wiersz pocieszenie, współczesny *Tren XIX albo Sen*. Przychodzi Matka i mówi: „tak synku / to już wszystko”. Matka słowem „synku” ociepla odejście – „a więc to tylko tyle / tylko tyle”.

## Pejzaż z kobietą w tle

Na klifie stoi kobieta  
patrzy w dół  
Zachodzące słońce  
czerwieniejąc oświetla jej profil

Kobieta unosi dłonie  
być może modli się

z daleka odgaduję jej wilgotny oddech  
przymrużone od wiatru oczy

Na piasku plaży podryguje kormoran  
z złamanym skrzydłem

kona tak od kilku godzin

Widzi przelatujące obojętnie nad nim mewy  
Kutry odbijające się od fal  
rybaka unoszącego  
ciężkie wiosło nad jego głową

Kobieta gwałtownie opuszcza dłonie  
Odchodzi w głąb lasu



# Jak coś się robi z miłości do świata, to świat to potem oddaje

Z JACKIEM GŁOMBEM, dyrektorem Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK

**Kontaktował się Pan z szefem Torcidy? Bo z „grupą trzymającą władzę” na Zakaczwaniu toczyły się przecież przed premierą rozmowy.**

W Legnicy się na takie rozmowy wybrałem. Ale tam była inna sytuacja – byłem u siebie. Wiedziałem, że próby będą w Kolejarku [budynku starego kina w Legnicy, zburzonym w 2014 r. – KW] i troszkę się bałem o moich aktorów. *Balladę o Zakaczwaniu* robiłem 20 lat temu. Tu i teraz to inna sytuacja. Rozmowy z kibicami prowadziła Kasia Knychalska [autorka scenariusza *Chopców z Roosevelta* – KW]. Natomiast ja spotkałem się z Darkiem Chojnackim, który jest aktorem Teatru Śląskiego i zagorzałym kibicem Górnika Zabrze. Byliśmy na meczu Górnika, a potem wybraliśmy się do knajpy na dłuższą rozmowę.

**Czy to nie był jednak pomysł Jerzego Makselona? [do 1 września 2023 r. był dyrektorem Teatru Nowego w Zabrze – KW].**

Znam się z Jurkiem od dawna. Często rozmawialiśmy o klasyce, a czasem o lokalnych tematach. A nie ma przecież lepszego lokalnego tematu w Zabrzu, jak Górnik. I nie ma lepszej książki na ten temat jak książka Pawła Czado. A Kasia absolutnie nie jest kibicem, nie jest faną futbolu i właśnie dlatego zaprosiłem ją do napisania tego tekstu. Uważam, że potrzebny jest dystans wobec świata, żeby stworzyć dobrą opowieść.

**Ale Maciej Kaczor to chyba gra z miłości do futbolu?**

Maćka nie było w pierwotnej obsadzie. On napisał do mnie maila, że jest zakochany w Górniku, że grał w czwartej lidze... No i znalazł się w obsadzie, bo uznałem, iż bohaterem tego spektaklu musi być piłka i muszę mieć przynajmniej jednego zawodnika, który umie tą piłką operować. A robi to dobrze do tego stopnia, że Górnik zastanawia się, czy go nie włączyć do składu (*śmiech*). Wydaje mi się, że to jest bardzo ważny spektakl dla Zabrza. Tam jest też kibic wzorowany na jednym z najwierniejszych kibiców Górnika, Stanisławie Leonie Sętkowskim. Taki człowiek bardzo wpisany w tę piłkarską rzeczywistość. Po każdym meczu dawał koguta piłkarzom. Miał po śmierci prawdziwy piłkarski pogrzeb, zorganizowany przez kibiców Górnika.

**Bo to przecież nie jest spektakl tylko dla kibiców?**

Zamówienie było proste – mamy poszerzyć grupę społeczną ludzi, którzy chodzą do teatru w Zabrzu. Co zrobić, żeby przyciągnąć kibiców do teatru? Doszliśmy do wniosku, że Górnik Zabrze, obok Kardiologii, to wielka ikona miasta. Trzeba zrobić spektakl o złotych latach Górnika. Takie były ustalenia z Jurkiem. I to się w jakimś sensie udało. Mieliśmy generalną, na którą przyszli m.in. kibice Górnika. Potem była premiera, na któ-

rej pojawili się piłkarze ze złotej drużyny: Jan Banaś, Stanisław Oślizło, Hubert Kostka, Henryk Latocha. Przyszli widzowie na spektakl i on im się bardzo spodobał. Wie Pan przecież, jaki ja robię teatr. Najpierw musi być zauroczenie tym konkretnym światem, a potem przychodzi cała reszta.

**Światem w ogóle, czy tym – by użyć określenia Stanisława Bieniasza – światem najmniejszym?**

Oczywiście, że ten świat najmniejszy, świat wspólnot i małych środowisk jest mi bliższy. Ja jestem 64 rocznik, więc sukcesy klubu pamiętam jak przez mgłę. A wtedy Górnik to była naprawdę ogólnopolska sprawa, a nie tylko zabrzańska czy śląska. I to tłumaczyłem aktorom, bo przecież nie wszyscy są kibicami i nie wszyscy chodzą na mecze.

**Mnie zafascynowała nowa publiczność w Teatrze Nowym, która przyszła na przedstawienie – oglądali spektakl jak piłkarskie widowisko.**

Ludzie z reguły dobrze mówią o tym przedstawieniu.

**Czyli dla Pana, który na potrzeby teatru, potrafił zagospodarować najciemniejsze zakamarki Legnicy, to jest sytuacja naturalna – przedstawienie ma przyciągnąć do teatru publiczność, która jeszcze w nim nie była.**

Tak. Dobry jest przykład Zakaczwania. To była opowieść dla tej dzielnicy. Dopiero potem zobaczyliśmy, że to jest ważne dla Polski. Chcieliśmy zrobić przedstawienie dla tych ludzi, którzy wychodzą z sąsiedniej bramy albo piją tam wino. To było dla nich. Jak się coś robi z miłości do świata, to ten świat potem to oddaje. Taką mam dewizę.

**Przerzuca Pan pomost pomiędzy dolno – i górnośląskością? Tak odebrałem monolog Janiny Dębówny w *Balladzie o Zakaczwaniu* wypowiedziany po śląsku.** Gra ją Kasia Dworak, urodziła się w Bytomiu. Mówienie po śląsku nie było więc dla niej problemem. Jej koleżanka, Beata Pawlik, przepisała te kwestie, które zresztą w scenariuszu przewidziane były dla postaci, która miała nazywać się Jan Dąb. Ostatecznie zdecydowałem, że ta historia będzie lepsza, kiedy opowie ją kobieta. Zresztą kobiet jest wię-

fot. Paweł Janiński



Reż. Jacek Głomb *CHOPCY Z ROOSEVELTA* w Teatrze Starym w Lublinie luty 2023

cej na świecie i mam w zespole lepsze aktorki niż aktorów (*śmiech*).

### **Czy to wszystko miało jakiś wpływ na Pana teatralne wyprawy na Górny Śląsk?**

Nie miało. Zaczęło się od tego, że w 2004 r. zrobiłem swój pierwszy spektakl poza Legnicą – *Ryszarda III* w Bydgoszczy – i od tego momentu wszystko ruszyło. Potem jeszcze było w Zielonej Górze *Zabijanie Gomułki* [2007]. Często jestem wynajmowany do teatrów lokalnych i już mnie krew zalewa (*śmiech*). Ale rozumiem, jak ważne są te tematy dla lokalnej publiczności. Ja nie jestem kibicem Górnika, tylko Wisły Kraków. Jak Pan wie, Wisła ma „mocną kość” z Górnikiem i to jest historycznie umotywowane.

### **Wracam do pytania o śląski język na scenie. On dla mnie budował ciekawą ramę dla tej legnickiej opowieści. Tak szukał Pan języka lokalnego?**

Szukałem wtedy prawdy. Tak mi się wydaje teraz, kiedy próbuję to sobie po latach odtworzyć. Ale było też tak, że mnóstwo migrantów przyjechało po wojnie do Legnicy. To byli nie tylko ludzie z kresów, ale także ludzie ze Śląska. Dla mnie w tym kontekście było oczywiste, że jak artystka mówi po śląsku, to ja jej taką rolę powierzę, bo to ją rozwija, ale dla mnie będzie walorem spektaklu. A trzeba jeszcze dodać, że kino Kolejarskie mieściło się koło bocznic kolejowej, na której wszyscy wysiadali. Tam przyjeżdżały te transporty, więc naturalne było, że przyjeżdżający zajmowali najpierw Zakaczwawie; dopiero później szli do miasta, do centrum. Zakaczwawie to dzielnica zbudowana przez Niemców dla biednych robotników. Toalety na piętrze to codzienność zakaczwawian. I teraz trochę nie wiemy, co z tym zrobić. Obecna władza ma jeden pomysł na tę dzielnicę – burzyć kolejne kamienice...

### **Wróćmy na Górny Śląsk. Ja widziałem trzy Pańskie spektakle: *Czarny ogród*, *Wiele demonów* oraz *Chopcy z Rosvelta*. Czy coś przeczytałem?**

No jeżeli Bielsko-Biała jest na Górnym Śląsku...

### **Bielsko tak, Biała to Małopolska.**

Jeżeli tak, to jeszcze *Cesarz Ameryki* w Bielsku-Białej

### **To raczej historia wspólnoty galicyjskiej... *Manifest kontrrewolucyjny*, którego jest Pan współautorem [2011 r. – KW], zaczyna się punktem „w obronie wspólnoty”. Czy czasem udaje się Panu „odzyskać utraconą tożsamość” miejsca, o którym Pan opowiada?**

W jakimś sensie się to udaje. Jeśli robi się coś w dobrych intencjach, to świat to oddaje.



Bernard Krawczyk w spektaklu CZARNY OGRÓD

### **No tak, już ustaliliśmy, że z zewnątrz opowiada się lepiej.**

Oczywiście, że tak. Do *Ballady o Zakaczwawiu* wynajęliśmy Maćka Kowalewskiego, który w ogóle nie miał nic wspólnego z tą dzielnicą, z tym światem, z tą historią. My byliśmy z Krzyskiem [Kopka – KW] zanurzeni w tym świecie, zbieraliśmy te opowieści. My mu to przekazaliśmy, a on napisał dialogi i stworzył pełny scenariusz.

### **Jakbyśmy sobie krótko przypomnieli te dwa wcześniejsze spektakle... *Czarny ogród* to był reportaż historyczny? Współczesny? Interwencyjny?**

To była część projektu Roberta Talarczyka, mojego kolegi i faceta, który się wychował teatralnie na Legnicy i dlatego robi, między innymi, taki teatr, jaki robi. Robert miał pomysł, żeby reżyserzy spoza Śląska zrobili cykl spektakli o Śląsku.

### **I w ramach tego cyklu *Śląsk święty/Śląsk przeklęty* zdecydował się Pan przenieść na scenę reportaż Małgorzaty Szejnert?**

Pomyślałem o *Czarnym ogrodzie* w sposób naturalny. Po pierwsze ta książka mi się strasznie podobała. A po drugie uznałem, że to jest opowieść dla mnie.

### **Ale książka Małgorzaty Szejnert – bez głównego bohatera, z mnóstwem wątków, z wieloma planami czasowymi – była chyba bardzo trudna do przełożenia na język spektaklu?**

Nie odsłaniając kulisów tej historii, przyznaję, że mieliśmy problemy z wyrazistością opowieści, ale uważam, że wyszedł z tego ważny spektakl. Odkrywałem później, że w różnych nieoczywistych miejscach są ludzie, którzy to przedstawienie doceniali. Na przykład Karol Kołakowski, rzecznik prasowy Górnika Zabrze, napisał pracę licencjacką o tym spektaklu. Ale i pamiętam, że na premierę przyszła Małgorzata Szejnert i była za-

chwycona tym, że z nieteatralnej historii zrobiliśmy opowieść teatralną.

### **Końcówka tego spektaklu nie była już związana z tekstem, a z późniejszymi wydarzeniami – zabójstwem dyrektora kopalni Staszic. Chciał Pan chyba położyć mocniejszy akcent na śląskie tu i teraz, a w mniejszym stopniu na opowiadanie dziejów minionych?**

Nie robię „historycznych” spektakli. Jestem wprawdzie historykiem z wykształcenia, ale nie interesują mnie spektakle oddalone od rzeczywistości. Nie chcę opowieści o dawnym świecie na scenie, ale staram się, by historia, opowiadana tu i teraz, była dotkliwa dla ludzi.

### **Zapewne ta teatralna opowieść przeobrażała się w czasie przygotowywania spektaklu?**

Oczywiście. Krzysiek Kopka napisał szkielec, a myśmy go w czasie prób wielokrotnie zmieniali. Przecież robiłem ten spektakl z ludźmi ze Śląska, którzy przynosili ze sobą mnóstwo historii... Potem, po rozmowach bodajże z Olą Czaplą-Osliślo, dopisałem prolog w niebie.

### **Drugi spektakl, który Pan wyreżyserował w Teatrze Śląskim, to *Wiele demonów* na podstawie powieści Jerzego Pilcha.**

Zrobiłem *Wiele demonów* – żeby było jasne – bo wcześniej zrobiłem ten spektakl w Gruzji, w Batumi [premiera w Państwowym Teatrze Dramatycznym w Batumi w 2016 r. – KW]. Tam jednak „wyrzuciłem” wątek ewangelicki, co jest zapewne niewyobrażalne, ale w Gruzji ten wątek był nieistotny, niezrozumiały. Potem namówiłem na to Roberta. Ja jestem zakochany w Pilchu – to jest fantastyczna literatura.

### **Podzielam ten entuzjazm.**

*Wiele demonów* wydaje mi się jego najgłębszą i najdojrzałą książką. A na-



WIELE DEMONÓW (spektakl) Aleksandra Fielek i Agnieszka Radzikowska

turalne mi się wydawało, skoro Teatr Śląski mieści się niedaleko kościoła ewangelickiego, że robię to tutaj. To była w zasadzie ta sama adaptacja. Tutaj jednak przywróciliśmy wątek sporów ewangelicko-katolickich. Dlatego na katowicką premierę zaprosiłem ks. Waldemara Szajthauera, proboszcza Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Wiśle. Waldek mówił mi bardzo dobrze o Pilchu. Wspominał spotkanie autorskie w Domu Zdrojowym, którego się Jurek bardzo obawiał, bo bał się, że wiślanie będą mieli pretensje o to, co o nich napisał. A spotkał się z wielką, powszechną akceptacją.

**Czy przygotowując spektakl o Wiśle, miał Pan świadomość, że robi spektakl o Śląsku? Nie wszystkim Wiśla się ze Śląskiem kojarzy.**

Dla mnie to nie ma znaczenia, czy to jest o Śląsku, czy nie o Śląsku. Ja bardziej myślę o małych wspólnotach, o małych światach. Debiutowałem w teatrze w Tarnowie (pochodzę z tego miasta) spektaklem *Książeczka* na podstawie powieści Jana Bielatowicza, która jest hymnem na część przedwojennego Tarnowa. Co ważne, wychowałem się w domu na Strusinie (dzielnicy „kolejowej” miasta), w domu rodzinnym zbudowanym przez mojego dziadka w 1926 roku. Niestety, oboje rodzice zmarli w 2021 r., tato był dziennikarzem, mama polonistką w liceum, rodzice „nauczycieli czytania” (dedykowałem im książkę o Bielatowiczu zatytułowaną *Zielony Jasiek*).

**A wracając do książki *Wiele demonów*... Pilch zdecydowanie opisuje wspólnotę ewangelicką.**

Ale ci jego ewangelicy to nie są luteranie poważni, oficjalni, tylko tacy nasi; wiślańscy luteranie są specyficzni. Jednak są bliżsi światu niż luteranie w Katowicach. Przecież nie mamy bohate-

ra – ewangelika – nie licząc oczywiście postaci stworzonych przez Pilcha – w polskiej literaturze, czy w polskim kinie. A nam się ewangelicyzm kojarzy z tym smutnym pastorem pokazywanym przez Bergmana w filmach, a nie na przykład z ojcem Pilcha w Wiśle. Chodziło mi o to, żeby to odkręcić, żeby była jasność w tym świecie. Żeby nie było takiego smutku. I wydaje mi się, że – mimo iż jest to ponura powieść – to nam się to udało w *Wielu demonach*.

**Dla Pana Pilch to najważniejszy literacki twórca lokalnych światów?**

Dla mnie Pilch to w ogóle najlepszy pisarz w Polsce. I ubolewam, że w teatrze jest niewykorzystany. Przecież Jurek pisał świetne dialogi! A co aktor robi na pierwszej próbie spektaklu? Wertuje scenariusz, pod kątem tego, co będzie mówił w spektaklu. Więc aktora to bardzo interesuje i publiczność zresztą też. Utwierdziłem się w tym przekonaniu po sukcesie *Zabijania Gomułki* [premiiera adaptacji powieści *Tysiąc spokojnych miast* w Zielonej Górze 2007 r., *remake* w Legnicy 2013; Teatr Telewizji 2018 – KW]. To była moja pierwsza praca nad Pilchem. Pamiętam entuzjazm widzów w czasie monologów Józefa Trąby, które są przecież sążniste... Pamiętam, jak na nasz spektakl warszawski przyszedł Jurek. To było jedyne przedstawienie, które oglądał na żywo. Graliśmy w dzielnicy fińskiej w Warszawie, bo chodziło nam o przestrzeń magazynową. I tam, na tym spektaklu, wszyscy patrzyli na autora, śledzili każdą jego reakcję – na przykład jak się Jurek zaczynał śmiać, to wszyscy zaczęli zanosić się śmiechem.

**Robiąc *Chopców z Roosevelta* nie myślał Pan zapewne o tym, że powstała jakaś śląska trylogia... A gdyby przy-**

**jąc, że Wiśla jest częścią Górnego Śląska, to wręcz górnośląska.**

Mówi Pan o Górnym Śląsku, a mnie przychodzi na myśl taka sytuacja. Robiłem spektakl *Orkiestra* [premiiera w cechowni Zakładów Górniczych Lubin – 2011 r., Teatr Telewizji – 2015 r. – KW] poświęcony kopalni miedziowej... Bo wy macie super-mitologię. Macie trylogię Kutza, macie książki Twardocha, macie wszystko, nie? A tam jest Ziemia Odzyskana, tam nie ma nic... Jurek Kapuściński, ówczesny szef telewizyjnej Dwójki, bardzo chciał mi pomóc w promocji tego spektaklu. I zaproszono mnie do dyskusji w programie Kamila Dąbrowy *Kultura, ty głupcze*, w którym było pięciu ludzi z Górnego Śląska i ja jeden z Dolnego Śląska. (śmiech) A Warszawie wszystko jedno, czy to jest spektakl o Górnym, czy o Dolnym Śląsku.

**A właśnie – czy Pan jest dyrektorem śląskiego teatru?**

Jestem dyrektorem teatru dolnośląskiego. Nawet zaproponowałem marszałkowi województwa, by w związku z ogromnym problemem z finansowaniem teatru i z jego sytuacją prawną zmienić nazwę teatru na Dolnośląski Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy.

**Zatem jesteście teatrem dolnośląskim?**

Jesteśmy teatrem dolnośląskim i w tym sensie, że sami kreujemy pewne wydarzenia. Byliśmy jako Teatr włączeni w realizację projektu Wrocław – Europejska Stolica Kultury 2016. Robiliśmy taki spektakl *Skarb wdowy Schadenfreude* w 2016 roku. Robert Urbański napisał scenariusz, a śp. Lech Raczak (mój wielki teatralny mentor) reżyserował. Był taki projekt w ramach *ESK Teatr w podwórkach* i myśmy grali na podwórkach, rynkach, placach. Tak, Kochamy takie przestrzenie. Niestety mamy problem z tożsamością Dolnego Śląska. Ale to nie tylko nasz problem. Myślę, że dużo nad tym pracujemy: *Ballada o Zakaczawiu*, *Orkiestra*, *Łemko* – to chociażby są nasze dolnośląskie spektakle.

**Opowiedział Pan już wszystkie najważniejsze historie związane z Legnicą i okolicą.**

Tematy ciągle leżą na ulicach. Jednak nie możemy co miesiąc reżyserować spektakli lokalnych, a i mój zespół nie może takich grać tak samo często. Ale na przykład dzisiaj o 18.00 jest grany w Legnicy spektakl *Wodewil Liegnitz albo ostatnia noc Republiki Weimarskiej*. To jest kolejna nasza próba, tym razem musicalowa. I bardzo się cieszę z przyjęcia, bo już gdzieś nas nazwano teatrem muzycznym. Mnie to ucieszyło i skonfundowało. (śmiech)



**Już 30 lat działa Pan w Legnicy. W 1993 jako zastępca kierownika artystycznego w teatrze, a potem już jako dyrektor. Udało się Panu przez te trzy dekady wychować publiczność?**

Tak. Ona nie jest za duża. Z Teatrem Śląskim nie mogę konkurować. Nie dodają tej wartości Robertowi, ani nie umiję sobie. Po prostu dużo zależy od miejsca, w którym się robi teatr. Natomiast na pewno przez te 30 lat wychowałem sobie publiczność. Proszę pamiętać o tym, że wieczorami ten teatr w ogóle nie grał, zanim się tam pojawiliśmy. Teraz gra regularnie w piątki, soboty i niedziele. Czasami gramy przed południem. Każdy widz, który kupi bilet na wieczorne przedstawienie, jest dla mnie ważniejszy niż cała grupa. Przy całym szacunku dla grup. Legnica to specyficzne miejsce, to nie miasto branżowe. Jest tam publiczność ludowa: z jednej strony profesor uniwersytecki, z drugiej gospodyni domowa. Jest też tak, że ten język Legnicy przeniosłem na język Zabrze. I spektakl *Chopcy z Roosevelta* można odczytać na różnych poziomach.

**Robi Pan teatr eklektyczny?**

Teatr środka. Jeżeli ta nazwa cokolwiek znaczy.

**Zaczynał Pan od adaptacji *Trzech Muszkieterów* na dziedzińcu Zamku Piastowskiego. Czyli chciał Pan publiczność najpierw do siebie zwać?** Kiedyś ten zespół był nieco inny. Teraz mam jeden z najlepszych zespołów aktorskich w Polsce. Teraz gramy Dostojewskiego, nie Dumasa.

**Spod Pana ręki wyszli tacy aktorzy jak Tomasz Kot, Przemysław Bluszczyk, Janusz Chabior...**

To jest jedna sprawa. Ale świetni są też ci, co ich zastąpili. Transfery są ważne, także w teatrze (*śmiech*). To jest po prostu bardzo fajny zespół: dojrzały, świadomy, dobrze śpiewający.

**Pan dalej jest jednym z największych pracodawców w Legnicy?**

Ale to nie jest powód do dumy, bo Legnica się zwija, a nie rozwija.

**Czy przez te trzy dekady zmienił Pan Legnicę?**

Nie mnie o to pytać.

**Ale do idei teatru społecznego Pan się chyba przynajmniej?**

Robię teatr społeczno-polityczny. Myślę, że można go robić różnymi opowieściami, także Szekspirem. Nie tylko współczesnymi opowieściami publicystycznymi. Mój teatr jest o tym, co za oknem widać. Ten świat się zmienił i publiczność też się zmieniła. Ja nie będę narzekał. Kiedyś pol-

ska edukacja bardziej przygotowywała do odbioru spektakli, a słowo metafory cokolwiek znaczyło. Teraz już prawie nikt nie rozumie tego słowa. Być może w dużych ośrodkach jest prościej. Robienie teatru w Warszawie, Krakowie, Gdańsku czy Katowicach jest stosunkowo proste. Natomiast robienie teatru w Słupsku, Wałbrzychu i Legnicy to jest po prostu *piekło i szatani*. W dodatku my chyba jako jedyny teatr w Polsce publikujemy na naszej stronie także złe recenzje z naszych spektakli. Nie boimy się. Może dlatego, że większość jest dobrych... (*śmiech*) Sądzę, że teatr może zbawić świat. Ale na pewno może dać nadzieję pojedynczym ludziom. Nawet kiedyś wymyśliłem formułę „teatr z nadzieją” i odgrażałem się reżyserom, że muszą dać na końcu optymistyczną puentę.

**Szukam jeszcze tego, co łączy opowieść dolno- i górnośląską. Czy nie jest to na przykład rodzaj porozumienia z poniemieckością?**

Tym się różnię z prezydentem Legnicy. Ja lubię miasto z duszą, w szacunku dla kogoś, kto stworzył to miejsce. Legnica jest pięknym miastem, renesansowo-barokowo-secesyjnym. Ale jest też piękniwym światem. Anda Rottenberg, która przez lata mieszkała z rodzicami w Legnicy (wyleciała z liceum przez palenie papierosów – *śmiech*) opowiadała mi, że w latach 60. język polski nie brzmiał najczęściej na legnickich ulicach. Legnica to była swoista Wieża Babel. Należy działać w szacunku dla tych, którzy stworzyli ten świat. Nie wolno burzyć murów, tkanki miasta, a trzeba to umiejętnie remontować, prawda? Ja nie chcę walczyć z wiatrakami. Od Magistratu w małym miasteczku bardzo dużo zależy. Ale kiedy jeżdżę po Polsce, to słyszę, że większość Legnicę kojarzy z teatrem. To chyba nam się coś udało, prawda?

**W górnośląskich miastach ten wojenny dialog z niemieckością nigdy nie był łatwy.**

W książce Pawła Czado jest informacja, że stara, niemiecka część Zabrze była za Górnikiem, a część nowa, polska, była za Ruchem. To zostało wyrzucone ze scenariusza, żeby nie drażnić sytuacji. Tak, ja uważam, że trzeba z tym światem rozmawiać. Ale to musi być rozmowa twórcza. Bo przecież już nie ma resentymentów – niemieccy mieszkańcy Legnicy czy Katowic już nie żyją.

**Za to teraz mamy resentymenty rosyjskie. Jak Pan sądzi, jak wybrzmiałyby w tej chwili opowieść o miłości legniczanki do żołnierza Armii Czer-**

**wonej, o której opowiada Pan w *Balladzie o Zakaczawiu*?**

Wie Pan, mam w teatrze asystentkę, która jest z Chersonia. Jej rodzice służyli w Armii Czerwonej i kiedyś byli w Legnicy.

**O!**

Taka jest rzeczywistość. Nie ma sensu z nią walczyć. A to, że Putin jest wariatem, a Rosja zwiariowanym krajem, to jest inna sprawa.

**Ale przecież po wybuchu wojny teatry przestawały grać Dostojewskiego i Czechowa.**

Bardzo nad tym ubolewałem.

**To jakby dzisiaj opowiadać legniczantom o Rosji?**

Myśmy wykonali ogromną pracę, robiąc *Balladę o Zakaczawiu* czy *Wschody i Zachody Miasta* gdzie Rosjanie są pokazani i jako współobywatele, i jako okupanci. Moim zdaniem ta opowieść była uczciwa. To nie była historia z jakąś tezą, tak jak to chcą się widzieć teraz. Kiedy w 2013 r. robiłem projekt artystyczno-społeczny *Dwadzieścia lat po* (inspirowany wyprowadzeniem wojsk sowieckich z Polski) Anita Gargas napisała w „Gazecie Polskiej”, że Głomb sprowadził do Legnicy z powrotem Armię Czerwoną [do Legnicy przyjechali wtedy byli żołnierze Armii Czerwonej i ich potomkowie – KW] Więc pewnie bym nic nie zmienił. Ale pyta mnie Pan o tak odległą przeszłość... Jedno wiem na pewno: nie można zrobić tego, co zrobił Luk Perceval, który zamienił Moskwę na Kijów [3 *Siostry* w Teatrze Starym w Krakowie, reż. Luk Perceval, premiera 2021 r. – KW]. Przecież trzy siostry tęsknią za Moskwą, a nie za Kijowem. Moim zdaniem zmiana tego nie ma sensu. *Biesy* zrobiłem w 2017 r., już po pierwszej wojnie rosyjsko-ukraińskiej, a jeszcze przed wybuchem drugiej.

**Na zakończenie chcę wrócić do wątku głównego...W czasie moich rozmów na temat lokalnych opowieści teatralnych szukam ich początków. Część rozmówców wskazuje na *Cholonka* Janoscha, część na dramaty Stanisława Bieniasza. A to przecież Pan jest praojcem lokalnej opowieści teatralnej...?**

Absolutnie tak. Wielu chciałoby to pierwszeństwo nam zabrać, ale ja nie mam wątpliwości: opowieść lokalna w teatrze zaczęła się w Legnicy *Balladą o Zakaczawiu*. ■

Rozmowa odbyła się 23 września br. w Teatrze Nowym w Zabrzu.

**Jubileusz 100-lecia „Gościa Niedzielnego” to doskonała okazja, aby podsumować przeszłość i spojrzeć w przyszłość. Jaki był profil czytelnika „Gościa Niedzielnego” sto lat temu? Jak się zmienił? Jaki jest współczesny czytelnik?**

„Gość Niedzielnny” powstał w bardzo specyficznych warunkach. Było to bezpośrednio związane nie tylko z końcem zaborów i odzyskaniem niepodległości przez Rzeczpospolitą, ale również z wyjątkową sytuacją kulturową Górnego Śląska i Kościoła. Pamiętajmy, że na początku lat dwudziestych duszpasterzami na tym terenie byli zarówno Polacy, jak i Niemcy, bo i wierni należeli do tych dwóch narodowości. Szczególna więc była sytuacja, w której ks. August Hlond w pierwszym numerze określa „Gościa Niedzielnego” jako przyjaciele ludu, który „przychodzi z otwartym słowem prawdy. Nikomu nie chce schlebiać. Nie chce służyć żadnemu stronnictwu politycznemu” i będzie „niósł gałązkę oliwną”. Dziś te słowa mogą być uznane za manifest antydziennikarstwa, dlatego że ks. Hlond wyraźnie napisał, iż „Gość Niedzielnny” nie chce nikogo denerwować, a to w dziennikarstwie niedopuszczalne – przecież zadaniem dziennikarzy jest opisywanie rzeczywistości, a nie schlebienie komukolwiek. Myślę jednak, że ks. Hlond doskonale wiedział, co pisze! Był przekonany, że w bardzo podzielonej społeczności katolickiej pismo powinno gwarantować przynajmniej zachowywanie spokoju w prowadzeniu sporów, jeżeli już nie uda się doprowadzić do ich zaniechania. Z perspektywy czasu patrzę na to ze smutnym uśmiechem, ponieważ my dziś spieramy się równie zaciekle, a może nawet bardziej. To, co dzisiaj dzieje się w mediach, nie sprzyja łagodzeniu sporów, ale przeciwnie – prowadzi do podnoszenia ich temperatury i ogromnych emocji.

**No właśnie, ogromne emocje.**

Zwłaszcza media elektroniczne rządzą się takimi prawami i dlatego, twierdzę, bardzo ważne jest, żeby przetrwały te tradycyjne. Bo żeby wybić się z informacją i zainteresować odbiorcę mediów elektronicznych, zwłaszcza internetowych, trzeba podnieść temperaturę przekazu, spolaryzować mocno postawy. I do takiego czytelnika teoretycznie miałyby być kierowany dzisiaj tygodnik katolicki. Myślę, że trzeba być bardzo ostrożnym w wychodzeniu naprzeciw tym współczesnym trendom – nie można oczywiście zostać w tyle, ale jednocześnie trzeba zachować własną tożsamość, jako pisma katolickiego.

**Czyli „gałązka oliwna” jest aktualna?**

Myślę, że „gałązka oliwna” powinna być zawsze aktualna tam, gdzie mówimy o tym, co katolickie. Funkcjonował swego czasu powiedzenie, które przypomniał niedawno wioleletni zastępca redaktora naczelnego „Gościa” Andrzej Grajewski: „Jeżeli coś jest katolickie, to musi być najlepsze”. Zgadzam się z tym poglądem, ale też twierdzę, że jeżeli coś jest katolic-



# Nie trzeba babrać się w błocie

Z ks. dr. **ADAMEM PAWLASZCZYKIEM**,  
redaktorem naczelnym „Gościa Niedzielnego”  
rozmawia **PIOTR SKOWRONEK**

kie, to musi służyć dobru, a to znaczy, że powinno nieść tę „zieloną gałązkę oliwną”, jakkolwiek byśmy jej nie rozumieli. Tu nie chodzi o to, żeby pudrować nie najładniejszą rzeczywistość, czy naginać prawdę. Wręcz przeciwnie – prawdę trzeba koniecznie głosić, ale można robić to w rozmaity sposób. Uważam, że „katolickie” w przypadku dziennikarstwa powinno oznaczać również promujące dialog prowadzony umiejętnie, spokojnie, z poszanowaniem adwersarza.

**Czy konkurencja na rynku prasowym jest trudna? Myślę tu zarówno o piśmie katolickich jak i innej prasie.**

Konkurencja jest bardzo trudna, dlatego że w prasie drukowanej zaczynamy w pewnym sensie powielać niedobre wzorce z mediów elektronicznych. A jakie to wzorce? Wystarczy spojrzeć na okładki wiodących świeżych tygodników, by zauważyć, że promują one różne strony politycznego sporu. Manipulując czytelnikami i grając na ich emo-

acjach. W tym momencie dotyczy to najczęściej politycznych sporów w Polsce. Bardzo nie lubię używać słowa konkurencja w przypadku pism katolickich, chociaż koledzy redaktorzy naczelni to robią. Moim ogromnym marzeniem było, aby podczas obchodów jubileuszu 100-lecia „Gościa” usiedli obok siebie przy stole redaktorzy naczelni wszystkich katolickich tygodników ukazujących się w Polsce. I udało się to zrobić. Zresztą to nie jest tak, że my tylko konkurujemy ze sobą na rynku, udaje się nam również współpracować, bo przecież służymy temu samemu Kościołowi, chociaż robimy to na różnych poziomach, na różnych płaszczyznach i w różny sposób. Właśnie o tę jedność w Kościele chodzi. I chociaż o jedność opinii ostatnio jest trudno, myślę, że szansa na to, by jedność w Kościele – w tym wypadku w mediach katolickich – mogła istnieć.

### **Kim są czytelnicy „Gościa Niedzielnego”? Są wśród nich ludzie młodzi?**

Oczywiście że docieramy do młodszych czytelników, przede wszystkim przez media społecznościowe, bo drukowana prasa z całą pewnością nie jest domeną ludzi młodych, jeżeli tak nazwiemy tzw. Pokolenie Z. Oni siedzą przede wszystkim w smartfonach, już nawet nie w komputerach. Stamtąd, z tych swoich tzw. baniek czerpią wiedzę o świecie. Dlatego też „Gość” jest obecny w mediach społecznościowych i cieszę się z tego, że mam w zespole redakcyjnym ludzi, którzy potrafią to robić i faktycznie zakres tego oddziaływania jest szeroki. Natomiast jeżeli chodzi o tygodnik, to trzeba pamiętać, że cała prasa drukowana przeżywa ogromny kryzys. Udaje się nam zachować wysoką pozycję wśród tygodników opinii, chociaż też notujemy spadek. Wyprowadzają nas te pisma, które mają większą liczbę subskrypcji elektronicznych. Również pracujemy nad zwiększeniem liczby odbiorców „Gościa” dostępnego w tej formie, chociaż osobiście twierdzą, że to nie do końca jest tak, że osoby zainteresowane treściami dotyczącymi wiary i Kościoła, czy szukające materiałów opowiadających o świecie przez pryzmat Ewangelii, katolickiej nauki społecznej i nauczania Kościoła, szukają ich przede wszystkim w Internecie. Może z czasem to się zmieni i katolickie media internetowe będą odgrywały większą rolę niż obecnie. Ogromny wpływ na zmiany w sposobach docierania do czytelników o poziom czytelnictwa miały pandemia i zamknięcie kościołów, a potem wojna na Ukrainie i problemy z papierem. A kim są czytelnicy „Gościa”? Wielu z nich to osoby o tradycyjnych poglądach, mocno związane z religią i z Kościołem, praktykujące, raczej w dojrzałym wieku. Ostatnio jedna z dziennikarek zapraszała mnie do programu telewizyjnego dla seniorów, twierdząc, że przecież „Gość Niedzielnego” jest czytany przede wszystkim przez nich. Nie do końca się z tym zgodzę, choć oczywiście zasadnicza sprawa polega

na tym, jak definiujemy seniora... Ale tak, po drukowaną prasę, nie tylko po „Gościa”, z pewnością częściej sięgają ludzie starsi.

### **Jak kształtował się zespół redakcyjny? Mam wrażenie, że to spójny zbiór indywidualności?**

Muszę panu powiedzieć, że dla mnie to też jest ogromne odkrycie. Jest z pewnością tak, że każdy z redaktorów pracuje w „Gościu” już raczej długo i to w przypadku mediów jest dobre. Dzisiaj następuje w redakcjach ogromna rotacja. Dziennikarze przychodzą na chwilę, odchodzą, idą gdzieś dalej. Ja mam wrażenie, że cała ekipa „Gościa Niedzielnego” jest ze sobą bardzo mocno zżyta. Wszyscy wiedzą, na co ich stać. Mają już na swój temat nawet anegdoty. W jubileuszowym numerze powstała taka żartobliwa kreskówka – o każdym kilka słów pół żartem, pół serio. Jest to zespół nie tylko zgrany, ale i profesjonalny. Podchodzący poważnie do tego, co robi. Są oczywiście plusy i minusy takiej sytuacji, a być może pojawienie się nowych osób spowodowałyby pewne zmiany czy wniosłoby powiew świeżości. To musi oczywiście nastąpić, bo redakcja musi się rozwijać. Myślę, że w tym kontekście redakcja internetowa, którą chcemy poszerzyć, będzie miała poważne znaczenie.

### **Z drugiej strony pewna marka redaktorów sprawia, że czytelnicy mają do nich zaufanie. Ja na przykład szukam, co Marcin Jakimowicz ma do powiedzenia na dany temat.**

Jak najbardziej. Kapuściński kiedyś napisał, że dziennikarzem może być tylko dobry człowiek, bo tylko dobry człowiek jest w stanie wykrzesać z siebie tyle empatii, żeby stanąć obok tego człowieka, do którego idzie, czy to robiąc z nim materiały, czy to kierując do niego treści. To jest prawda. Oni się rozwijali, rozwijają i będą rozwijać z „Gościem Niedzielnym”. Mają swoją markę. To są nazwiska znane w całej Polsce i cieszę się z tego, że mogę z nimi współpracować. Myślę, że są prawdziwym dobrem dla tygodnika katolickiego, taki jest zresztą wymiar wszystkich mediów, które mają nie tylko informować, ale również formować. Każde medium formuje, świadomie bądź nie. Każda treść, którą otrzymuje czytelnik, wpływa na niego, na to, jakim jest człowiekiem. W przypadku dziennikarzy katolickich jest to szczególnie ważne, bo przecież wartości, które za nimi stoją albo za którymi oni stoją, to są wartości Ewangelii. Ona jest wymagająca, ale jest jednocześnie najpiękniejszą rzeczą, która mogła się człowiekowi przytrafić.

**Wróćmy do historii „Gościa Niedzielnego”. Jest niemal równolatkiem II Rzeczypospolitej. Jakie w niej były momenty trudne, tragiczne, doniosłe, zwrotne?** Myślę, że trudny był początek. Śląsk był wówczas, podzielony politycznie, ale też i narodowościowo. Działyły partie rady-

kalne i pojawiła się konieczność zaistnienia tak zwanego katolicyzmu społecznego. Wtedy „Gość” swoją funkcję spełnił. Potem, kiedy przyszła wojna, a za nią natychmiast komunizm, nastąpiły niełatwe lata, dlatego że zaczęto wydawać tygodnik w wersji dwujęzycznej, a potem na krótko go zawieszono. Podobnie było w czasie komunizmu, kiedy zostali wygnani z diecezji biskupi. To były bardzo trudne momenty dla Kościoła, w które wpisała się historia „Gościa Niedzielnego”. A potem, kiedy to doszło do obalenia komunizmu i zaistnienia demokracji w naszym kraju, kiedy nastąpił największy rozwój tygodnika, również musieliśmy się zmierzyć z trudnościami. Bardzo konkretnie doświadczamy ich w ostatnich latach, kiedy jestem redaktorem naczelnym. Pomijam fakt, że dzisiaj jest trudno kogokolwiek zatrzymać przy czytaniu dłużej niż półtorej minuty – znamy słynne portale, na których „ten tekst przeczytasz piętnaście sekund”. Na przykład, kiedy wybuchła pandemia, zamknięto kościoły. W związku z tym podstawowa formuła dystrybucji tygodnika – przez parafie – na jakiś czas przestała istnieć. Destabilizacja życia gospodarczego z powodu wojny na Ukrainie, a wcześniej pandemii, spowodowała problemy z papierem, ponieważ europejskie papiernie przestawiły się na produkcję opakowań, wykorzystywanych do sprzedaży wysyłkowej. To są prozaiczne problemy, z którymi musieliśmy, musimy i będziemy musieli się zmagać. Mam nadzieję, że w tym wszystkim pomaga wiara w Opatrzność i dzięki Bożej pomocy jako medium katolickie będziemy mogli w dalszym ciągu docierać do ludzi.

### **Co w pracy redaktora naczelnego jest najtrudniejsze, a co najważniejsze?**

Nikt nie zadał mi jeszcze takiego pytania. Myślę, że najtrudniejsze jest to, żeby przekonać współczesnego człowieka, również katolika, do tego, że nie musi stać nieustannie na pozycji obronnej. To znaczy bronić się przed wszystkim. Co oczywiście nie znaczy, że musi stać na pozycji ofensywnej, że musi atakować.

### **Myślę, że dobrą byłaby pozycja afirmatywna?**

Właśnie o tym mówię. Chodzi mi o to, żebyśmy jako katolicy, w pewnym sensie spadkobiercy, posiadający skarb, jakim jest Dobra Nowina, Ewangelia, potrafili afirmować innych i takim spojrzaniem zarażać resztę świata. To jest moje marzenie, ale jestem realistą i mam świadomość, że bardzo trudno jest przekonać katolików w Polsce do tego, że tak to powinno wyglądać. To jest może troszeczkę tak, jak z niedawnym wystąpieniem abp. Adriana Galbasa, który przekonywał, że mówienie, iż chrześcijanie w Polsce są prześladowani, jest poważnym nadużyciem, jakąś niesprawiedliwością wobec tych w świecie, którzy naprawdę są prześladowani, zdarza się, że i zabijani za wiarę w Jezusa Chrystusa.

## A co jest najważniejsze?

Najważniejsze jest chyba samemu nie przestać wierzyć, że kreowanie postawy afirmatywnej i pozytywnego spojrzenia na otaczającą rzeczywistość jest możliwe, a nie tylko babrzenie się w kryzysowym w błocie. Że jesteśmy w stanie pokazać prawdziwe oblicze Kościoła, który ma przecież swoje piękne strony, pomimo tego, że wciąż wychodzą kolejne afery i trudne sprawy.

## Chodzi o pewien dystans?

Sprawa jest o wiele głębsza, bo chodzi o pewien rodzaj postawy życiowej. Nie mogę przecież powiedzieć, że jako tygodnik katolicki promujemy stoicyzm. Jako tygodnik katolicki promujemy Ewangelię, a Ewangelia jest w tym zakresie jasna. Pan Jezus mówi: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie, a co nadto jest, od Złego pochodzi”. To znaczy, że nawołuje do tego, żebyśmy mówili prawdę – uogólniając oczywiście tę bardzo głęboką perykopę. To jest nasz podstawowy obowiązek, nawet jeżeli – wedle wezwania sprzed 100 lat – idziemy, niosąc oliwną gałązkę. Myślę, że może w tym zawierać się również zachęta do zachowania dystansu przede wszystkim do wszechobecnego sporu, który jest pomiędzy nami nie tylko w Polsce, na świecie również. Dzisiaj buduje się narrację na opozycji. Dzisiaj narracja, która przyciąga uwagę, musi być zbudowana na tym, że ktoś z kimś walczy, czy ktoś komuśrobi krzywdę. Naszym zadaniem jest w tej sytuacji powiedzenie ludziom: odejdźcie od tego, co was tak naprawdę wewnętrznie niszczy zamiast budować.

## Ważny jest zatem język?

To jest oczywiste. Niektórzy twierdzą, że język jest najważniejszy – nie jest ważne, co się mówi, ale jak się mówi. Ja tak nie uważam. Dbałość o język oznacza, że jako dziennikarze jesteśmy przekonani, że stoimy za czymś bardzo ważnym – to jest Ewangelia, Kościół, wiara w Boga. Mówimy o tym językiem wiarygodnym, ale też językiem, który nie chce pochwał, który nie stara się nikomu przypodobać, nie szuka pochlebstw. Choć z drugiej strony nie polaryzuje i nie zabija nikogo – językiem można przecież kogoś zabić. Dzisiaj jest to bardzo niepopularna postawa. Mnie by się marzyło, żebyśmy mogli jak najdłużej wytrwać, mówiąc dobrym językiem, który nikogo nie krzywdzi, chociaż mówi prawdę. Nawet jeżeli mówi o jakichś zjawiskach społecznych, to nie ośmiesza nie deprecjonuje ludzi. Nawet jeżeli mówi o ewidentnym złu i nazywa zło po imieniu, to zawsze ma na względzie, że nawet ten człowiek, który popełnia zło, jest też godzien tego, żeby się modlić o jego nawrócenie.

## A jednocześnie językiem żywym? Mam na myśli pogląd Miłosza o skłonności teologów do abstrakcji, do „gładkich kul”...

Powiem tylko, że „Gość Niedzielny” nie jest pismem teologicznym. Bo teologia jest

przecież nauką i zajmują się nią naukowe periodyki. Nieraz toczyliśmy w redakcji spory o to, czy poprosić teologa o dobry materiał do tygodnika katolickiego, który przecież trafia do masowego czytelnika. Teologowie zazwyczaj mają tendencję do używania hermetycznego, naukowego języka, który niekoniecznie jest zrozumiały dla szerokiego grona odbiorców. Ja jestem z wykształcenia kanonistą i widzę doskonale, jak się zmieniłem przez ostatnie 6 lat. Gdy mnie osiem lat temu proszono o wywiad, czy o napisanie czegoś na przykład z zakresu prawa małżeńskiego, to wychodził mi z tego specjalistyczny wykład, a pisanie w inny, prostszy, sposób oznaczało dla mnie odejście od profesjonalizmu. Dziś wiem, że to musi wyglądać inaczej, bo to nie jest tekst adresowany do innych kanonistów ani do naukowców, tylko do ludzi, którzy przychodzą do kościoła, kupują tygodnik i chcą się czegoś dowiedzieć. Dlatego trzeba nawet o trudnych sprawach pisać w sposób zrozumiały. I to jest jedna sprawa – ten profesjonalny język. Drugą jest to, że język musi zwłaszcza w wymiarze formacyjnym dotknąć duszy człowieka. Powinien więc jasno tłumaczyć sprawy życia wewnętrznego, czy relacje człowieka z Panem Bogiem, czy prawdy wiary. Myślę, że może to sprawiać pewne trudności dlatego, że obecnie ludzie mają coraz większy problem ze skupieniem uwagi i zrozumieniem słów. Zdarza się, że kilka osób czytających ten sam tekst rozumie go zupełnie odmiennie. O wierze powinniśmy pisać w taki sposób, żeby czytelników uformować. To nie jest łatwe. Nie chodzi przecież o cudowności, o święte łańcuszki i dziesięć razy powtarzane modlitwy, rzekomo mające mieć większą niż inne skuteczność. Chodzi o prawdziwą, głęboką, prowadzącą do zbawienia relację człowieka z Bogiem.

## Może ułatwieniem jest druga profesja? Ks. profesorowi Jerzemu Szymikowi czyba pomaga bycie teologiem i poetą?

Zgadzam się z panem, aczkolwiek nie wiem, co ksiądz Szymik by powiedział na ten temat, bo poetom czasem jest trudniej. Skłonność do metaforyzowania rzeczywistości może być bardzo pozytywna i może pomóc wiele zrozumieć, ale może też utrudniać zrozumienie, jeżeli człowiek nie jest właściwie poprowadzony w rozgryzaniu klucza metaforycznego. Myślę, że warto zapytać poetów, zwłaszcza księży poetów, czy na niwie dziennikarskiej się realizują bardziej czy mniej.

## Kościół, religia, polityka, kultura, nauka to podstawowe grupy tematyczne w „Gościu Niedzielnym”. Czy szykują się jakieś nowości? Redaktor Kucharczak stwierdził nieco humorystycznie w numerze jubileuszowym, że mimo wieku „Gość” ma jeszcze mocne zęby! Do czego są mu potrzebne!

Każdy, kto czyta Kucharczyka, wie, do czego są mu potrzebne mocne zęby! (*śmiech*).

Od lat jego felietony cieszą się niesłabnącą popularnością, chociaż w jednym z tekstów na temat „Gościa Niedzielnego” przeczytałem, że jak gdyby mu się troszeczkę te zęby starły po zmianie redaktora naczelnego. Czy mocne zęby są potrzebne tygodnikowi katolickiemu? Tego nie wiem, ale potrzebne są każdemu po to, żeby dobrze przyswajać i trawić treść. Oczywiście myślimy o przyszłości. Pracujemy nad pewnymi nowymi rozwiązaniami, również graficznymi. Chcielibyśmy unowocześnić tygodnik. Zakres naszych zainteresowań pozostaje niezmienny, bo on zawsze wyznaczany jest właściwie przez jedną tematykę – życie i nauczanie Kościoła wierne Ewangelii.

## W „Gościu” pracuje wiele osób z doktoratami, współpracuje tylu profesorów tytularnych, że można by powołać „Akademię Gościa”. Czy nie warto o tym pomyśleć? To byłaby szkoła dobrego, mądrego dziennikarstwa. Zadają to pytanie w imieniu jednej ze współpracowniczek tygodnika.

Zastrzelił mnie pan tym pytaniem, ale też ogromnie ucieszył. Na pewno warto tę propozycję przedyskutować w redakcji. „Akademia Gościa” brzmi dumnie. Czy miała to być jakaś akademie perypatetycka, na wzór arystotelesowskiej, że są to ludzie, którzy przychodzą, odchodzą, chodzą i rozmawiają. Tego nie wiem, ale mogłaby być wzorowana nowoczesnej burzy mózgow w tym, co dotyczy świata, Kościoła i tego, czym się zajmuje „Gość Niedzielnny”, a może i tego, czym na razie się nie zajmuje. Nie wiem. Nie prognozuję i nie prorokuję, ale sugestie mi się bardzo spodobała.

## Czego życzyć tygodnikowi na następnym 100 lat?

W ostatnim czasie słyszę to pytanie wielokrotnie i zazwyczaj w odpowiedzi przytaczam historię, którą w swojej książce opisał Mircea Eliade. To jest opowieść o człowieku, który w Noc Wielkanocną przechodził obok cerkwi i został trafiony przez piorun. Nie tylko, że nie stracił życia, ale zaczęło się z nim dziać coś dziwnego – jego proces starzenia zaczął się cofać, człowiek stawał się coraz młodszy. Przytrafiło mu się też jak gdyby remedium na jego największy kompleks. Był naukowcem i pragnął osiągnąć wiedzę absolutną. Po rażeniu piorunem wiedział wszystko. Ta książka nosi tytuł „Młodość stulotka”. Ja sobie ją przypomniałem po latach, w związku z jubileuszem „Gościa”. Pomyślałem, że stulotka „Gość Niedzielnny”, czy to jako pismo, czy jako zespół redakcyjny, nie musi wiedzieć wszystkiego i nie musi się nieustannie odmładzać. Wystarczy, że wierzy w to, że to, co wie i co ma do przekazania innym, jest nie tylko wiarygodne, ale może pomóc człowiekowi w rozwoju. Tego życzę sobie i całej redakcji.

**Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.**

# Katowicka Sykstyna

Ks. HENRYK PYKA

Integralną częścią wnętrza kościoła mariackiego w Katowicach jest kaplica Serca Pana Jezusa, znajdująca się w północno-zachodnim narożniku kościoła. Stojąc przed wejściem do tej świątyni spostrzegamy kaplicę z lewej strony, jako wyodrębnioną od korpusu budowli osobną bryłę architektoniczną. W przeszłości sprawowana tu była sporadycznie Msza święta. Rytm celebracji eucharystycznej wyznaczały kolejne pierwsze piątki miesiąca poświęcone Sercu Jezusowemu. Przestrzeń to niewielka. Dlatego kaplica służy dzisiaj jako miejsce osobistej modlitwy, wyciszenia i adoracji Najświętszego Sakramentu. Składano tu wota, palono świece. Kiedy w roku 1926 ksiądz Emil Szramek został proboszczem Parafii Mariackiej, wnętrze kaplicy przedstawiało się nader skromnie. Pierwotnie znajdowała się tu chrzcielnica, zaś gotyckie okna zdobiły dwa witraże, przedstawiające Świętego Jana Chrzciela i Anioła Stróża, co nawiązywało do udzielanego tu Sakramentu Chrztu. W kaplicy znajdowała się także niewielka nastawa ołtarzowa dedykowana Sercu Jezusowemu. Wnę-



Witraż, detal

trze to zmieniło swój charakter w wyniku zabiegów księdza Szramka, który w tym miejscu zapragnął dać wyraz obchodzonemu w całym kościele w latach 1933/34 Jubileuszowi Boskiego Roku Odkupienia. Dla nadania temu miejscu nowego wyrazu przesunięto chrzcielnicę, usunięto dotychczasowe witraże. Nastawa ołtarzowa powędrowała na Koszutkę, gdzie właśnie Ojcowie Oblaci rozpoczęli budowę tymczasowej kaplicy, poświęconej Sercu Pana Jezusa. Wokół powstającego na Koszutce kościoła, w nowoczesnej dzielnicy Katowic powstawała nowa parafia.

W tym samym czasie kiedy wzrastało nabożeństwo do Serca Jezusowego, tajemniczym biegiem wydarzeń na obchody jubileuszowe upamiętniające 1900 rocznicę Dzieła Odkupienia nałożyło się doświadczenie w roku 1933 Hitlera do władzy a w konsekwencji wybuch II wojny światowej. Został on Polaków 1 września w kościołach na nabożeństwach pierwszo piątkowych. Mimo nagłaśniania poprzez nowe media Orędzia Zbawienia, nie miało ono wystarczającej siły przebiccia. Radio stało się co prawda narzędziem ewangelizacji. Niestety jeszcze bardziej brutalnej propagandy i kłamstwa.

Było to wszak pierwsze w historii wystąpienie papieża przez radio. Kościół widocznie odniósł się ze zrozumieniem do nowych środków społecznego przekazu transmitując w wigilię Bożego Narodzenia 1932 roku drogą radiową przemówienie Piusa XI. Zawarta w nim była zapowiedź inauguracji Roku świętego. Jubileuszowe wrota Bazyliki świętego Piotra miały zostać otwarte następnego roku 2 kwietnia w Niedzielę Męki Pańskiej. W przemówieniu Piusa XI, które popłynęło na cały świat zawarty był program Jubileuszu. Wnien on być, podkreślał papież „dla całej ludzkości, nie tylko dla chrześcijan, wielkim krokiem naprzód ku Światłu i Prawdzie poprzez spełnienie wymagań nauki Chrystusowej”.

Program Jubileuszu Roku Odkupienia znalazł swoje odzwierciedlenie w programie wystroju kaplicy chrzcielnej kościoła mariackiego. Jej wnętrze w miarę postępujących realizacji artystycznych stało się przestrzenią w której Tajemnica Odkupienia Rodzaju Ludzkiego znalazła swój biblijno teologiczny wyraz plastyczny. Projektował on na bolesne doświadczenia ludzkości tutaj także przedstawione, świeżo wpisane w jej pamięć po zakończeniu Wielkiej Wojny. Miał powstać cykl obrazowy wypełniający kaplicę – podobnie jak w watykańskiej Sykstynie – malowidłami, składającymi do refleksji. Ksiądz Szramek był



UKRZYŻOWANIE, witraż

autorem programu przedstawień w tej kaplicy. Choć jak wskazują na to pamiętniki artysty, który malowidła wykonał – Adama Bunscha – program ten wynikał bardziej z rozmów jakie Szramek prowadził z artystą w swoim mieszkaniu. Bunsch nawiązując do tych rozmów zauważył intelektualny charakter tej przestrzeni w której rozmawiano, przestrzeni ducha, wypełnionej książkami i obrazami.

Pierwsza realizacja Adama Bunscha w kaplicy wynikała z wymiany witraży.



Jawnogrzesznice

Dotychczasowe usunięto i zastąpiono witrażami projektu Bunscha. Kartony tych witraży wystawione w warszawskiej „Zachęcie” i wyróżnione złotym medalem przyniosły młodemu artyście duży rozgłos już na początku współpracy artysty z księdzem Szramkiem, która rozpoczęła się w roku 1936. Pojawiły się życzliwe głosy krytyki. Jan Kleczyński, uzdolniony krytyk sztuki publikujący w wielu polskich czasopismach, przyjaciel Stanisława Przybyszewskiego pisał w trakcie trwania warszawskiego salonu „Zachęty”: „Adam Bunsch w młodym pokoleniu artystów polskich zajmuje odrębne stanowisko. Jego sztuka wyrosła z ducha, mówi o tym co rozkwitło w sercu artysty, jako przeżycia głębokie, o tym co na tle przeżyć przemieniło się w obraz, w konstrukcję malarską, w dzieło mające swoje własne życie, istniejące w wyższym świecie uczucia i intelektu”. Krytyk zapamiętał obrazy Bunscha z wcześniejszych wystaw w „Zachęcie” przypominając czytelnikowi „Polskie Zbrojne” gdzie drukował swoje teksty „Kulę karabinową” i „Jawnogrzesznice”. Pierwszy z obrazów jest alegorią ofiar walk legionowych. Kula jest uposiawiona jako kobieta która będąc ślepym bezlitosnym przeznaczeniem znaczący wyciągnięty palcem czoło żołnierza. „Jawnogrzesznica” to temat biblijny, który wcześniej pojawił się w malarstwie sztalugowym Bunscha i został powtórzony w polichromii kaplicy Serca Jezusowego jako zobrazowanie Bożego Miłosierdzia. Kaplica miała przeciwieństwo być hymnem uwielbienia ku czci Bożego Miłosierdzia, które pochyla się nad ludzką nędzą. Jawnogrzesznica to kobieta cudzołożna, odepchnięta przez nienawistny tłum, już nie ten faryzejski, biblijny, lecz przez złość ludzi, ar-

tyście współczesnych ubranych w kostiumy epoki Art déco. Nad tą kobietą Chrystus rozkłada swoje ramiona chroniąc ją przed niechybnym linczem.

Kartony witraży „Ukrzyżowania” za które „Zachęta” przyznała Bunschowi złoty medal prezentowane były w Warszawie jednocześnie z wybranymi kartonami polichromii. „Polska Zbrojna” w roku 1936 prezentuje dwa z nich: „Święty Jacek z ludem śląskim” i „Dobry Pasterz”. Kleczyński pisze na koniec swojej krytycznej wypowiedzi: „polichromia Adama Bunscha dla kaplicy kościoła Mariackiego, jak żadna z dotychczasowych jego wystaw świadczy o olbrzymim talencie tego artysty”. Krytykę warszawską urzekło nowatorskie ujęcie tematów religijnych. W czasie powstawania nowych stylów artystycznych takich jak Art nouveau, Art déco, Kubizm, dra-

pieżny w formie „Blau Reiter” wydawało się że nie ma już miejsca dla „ogranych” tematów. Sztuka religijna jakby nie miała już odpowiedniego medium, które poniosło by jej treści nagłaśniane przez Kościół w Jubileuszowym Roku Odkupienia. Tymczasem treści te w sposób nowatorski znajdują swój właściwy kontekst obrazowy. Chrystus umiera na hałdzie w przemysłowym pejzażu Górnego Śląska, jak przedstawia to Bunsch w witrażu Ukrzyżowania. Przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie znajduje swój nowy kontekst na polach bitewnych Wielkiej Wojny: brat rozpoznaje brata choć obydwaj mają na sobie mundury wrogich armii. Jako obywatele dwu zaborów mówią jednak obydwaj tym samym językiem Matki – Polski. Więź zrozumienia widać w ich oczach. Kompromitująca krytyka ludzi ukrytych interesów prowadzących do wojny, to także temat dla artysty. Przedstawia ich artysta jako kurtyne mrocznych knozań, przed którą na oczach świata jawi się ludzkie cierpienie.

Wszystko to formą plastyczną tak dalekie jest od tego co Unierzyski wcześniej wykonał dla ozdoby kościoła mariackiego. Dalekie od uznanej przez na ogół konserwatywne duchowieństwo tradycji eklektyzmu i malarstwa historycznego. Jeszcze w dwa lata po wykonaniu kartonów, „Kurier Warszawski” w roku 1938 pisał: „dyskusję o charakterze zasadni-

czym wywołała w „Zachęcie” wystawa obrazów Bunscha, a stała się tym gorętsza, iż podobno śląskie władze kościelne uznały te dzieła za odpowiednie do ozdoby świątyni”. Sprawa stała się sporna pisał „Kurier” z powodu „unowożytnienia kostiumów postaci, tłumaczących odwieczne prawdy ewangeliczne”. Przemiana w rozumieniu funkcji sztuki w kościele dokonała się przede wszystkim w świadomości inwestora. Był nim ks. Szramek, który dostrzegł w przekazie wizualnym nie tylko narzędzie ewangelizacji w tradycji „Biblii Pauperum”. Odkrył w nim przede wszystkim medium przekazu odwiecznego przesłania, które w obrębie formy artystycznej musi być głoszone formą zrozumiałą i przekonywującą.

Przyrównywanie Kaplicy Serca Jezusowego z watykańską Sykstynią jest z pewnością nader śmiałe. Jest jednak w Europie wiele takich kaplic, które zawierają program dydaktyczny służący nie tyle oświeceniu człowieka sztuką artystyczną, ile zrozumieniu zbawczego przesłania. Tę funkcję kaplica Kościoła Mariackiego doskonale spełniała. Zmysłowa natura człowieka potrzebuje obrazu. Kiedy pytano Bunscha o „rozplanowanie” obrazów w kaplicy, odpowiedział: na dekorację kaplicy wpłynął kształt ścian, który zmusił mnie do rozmieszczenia malowideł w trzech sferach determinujących tematy przedstawień. Dół to ziemia: Alarm wojenny, Pole bitewne a na nim Miłosierny Samarytanin opatrujący na polu walki rannego żołnierza. Więźniowie. Opuszczone dzieci. Katastrofa w kopalni. Przedstawienia te obrazowały woła-



Chrystus w Jordanie



Chrystus wśród dzieci

nie człowieka o nadejście czasu Zmiłowania bez wojen, przemocy, ludzkiej bezradności w nieszczęściu. Sugestywnie ten temat, ludzkiego krzyku, wyciągniętych ku niebu rąk pojawił się w dwu witrażach Bunscha, które zaprojektował w późniejszym czasie dla kościoła Wspomożenia Wiernych w Dziedzicach i londyńskiego kościoła Matki Bożej Częstochowskiej i św. Kazimierza na Devon Road. Dostrzegamy w tematyce tych przedstawień to samo wołanie ludzkości rozlegające się w kaplicy, zwrócone ku źródłom Bożego Miłosierdzia, a tak lapidarnie ujęte w modlitwie Kościoła: „Ad te clamamus, exules filii Evae”.

Kondygnacja środkowa przedstawień wyraża znane z Ewangelii wydarzenia zbawcze, które dokonały się poprzez namaszczonego Duchem Świętym wiastuna Dobrej Nowiny ubogim – Jezusa Chrystusa. Chrzest w Jordanie. Chrystus wśród dzieci. Chrystus i Jawnogrzesznicza. Przebicie boku Ukrzyżowanego. Obietnica zbawienia darowana Łotrowi na krzyżu. Do dzieł Miłosierdzia zaliczył także artysta patronat nad bracią górniczą świętej Barbary i posługę świętego Jacka Odrowąża jako przewodnika Ludu Śląskiego na drodze wiary. Artysta w tych przedstawieniach wykorzystał jako modeli swoje dzieci, a także niektóre znane osoby: Proboszcza Parafii, Pawła Stellera, Gustawa Morcinka, aktywnych Parafian. Twarz świętego Jacka jest autoportretem artysty. Kulminacją przedstawień podobnie jak w kaplicy sykstyńskiej jest scena Sądu Ostatecznego, lapidarnie traktująca temat sprowadzając go do wizji Sędziego na łuku tęczowym w towarzystwie Matki Bożej i Michała Archanioła. Dwa monu-

mentalne malowidła przebiegające wzdłuż całej ściany niczym kłamra spinają całą kompozycję. „Dobry Pasterz” odpoczywający wraz ze swymi owcami na zielonym pastwisku jest przecież transpozycją Psalmu 23. Powabny efeb ufrizonowany podług ówczesnej mody a la „Bubikopf” jako Dobry Pasterz, uzyskał wysoką ocenę w oczach Kleczyńskiego. Jest to jedna z tych realizacji pisał, w których Bunsch dołączył do najświetniejszych prac w warszawskiej „Zachęcie” „olśniewających bogactwem wyobraźni, rozmachem, świetnością rysunku, siłą wyrazu, pięknem koloru. Ponieważ Miłosierdzie Boże dotyka spraw, które dzieją się między Niebem a Ziemią, nie mogło w tym ciągu przedstawień zabraknąć „Drabiny Jakubowej”. Bunsch jest jednym z tych artystów, którzy potrafili rysować. Stąd lekkość i elegancja aniołów na Drabinie sięgającej Nie-

ba. Ich wydłużone postacie przypominają manierę El Greca, który w ten sposób definiował transcendencję przedstawianych osób. Artysta w tym miejscu dotyka istoty mistycyzmu: aby zstąpić do ludzi niosąc im ocalenie, trzeba wpięć wstąpić do Nieba i nim się zachwycić.

Realizacja zespołu przedstawień w Kaplicy Serca Jezusowego spotkała się z dużym wsparciem materialnym ze strony lokalnej społeczności parafialnej. Witraż ufundowała Straż Honorowa, czyli stowarzyszenie religijne żyjące duchem Objawień Serca Jezusowego. Malowidła opłacono ze składek parafian. Niezwykle hojny dar spłynął ze strony mniejszości niemieckiej zamieszkującej parafię. Poprzez katowicki Oddział „Deutsche Bank” wpłynęła na konto Parafii niebagatelna dotacja 12.000 polskich złotych. Przekazała ją miejscowy stolarz Joseph Schimchal, tytułem wyposażenia kaplicy. Prace zlecono krakowskiemu rzeźbiarzowi Bogusławowi Langmanowi. Artysta miał wykonać w drewnie trzy, zachowane do dzisiaj rzeźby: Serca Pana Jezusa, świętego Augustyna i mistyczki świętej Marii Małgorzaty Alacoque. Ołtarz ponad którym stanąć miały rzeźby Langman wykonał z czarnego marmuru dębnickiego. Odczucie żywych związków z Krakowem i polską kulturą, kazało Szramkowi dać wyraz w wyznaniu, jakie złożył przed całą lokalną społecznością pisząc w „Wiadomościach Parafialnych”: „ołtarz w naszej kaplicy powstał z tego samego marmuru co ołtarze w Katedrze Wawelskiej”.

Na koniec chciałbym moich czytelników podprowadzić pod tę kaplicę, objaśnić detale. Niestety tego co było w tej kaplicy już nie ma. Malowidła uległy destrukcji. Wobec nowych projektów do-

stosowania wnętrza kościoła do wskazań wynikających z zaleceń Soboru Watykańskiego II nie było też woli poddania malowideł zabiegom konserwatorskim. Gdyby malowidła w kaplicy zachowały się, byłyby dzisiaj niewątpliwie wielką atrakcją turystyczną Katowic. Pozostała przestrzeń modlitwy. W duchu zamierzeń błogosławionego księdza Emila Szramka nadal jest to miejsce skupienia, modlitwy i adoracji. ■



Święty Jacek z Ludem Śląskim

**II Silenzio – Studium w szarości**

Mężczyzna siedzi przy stole  
książki na parapecie przysłaniają mu światło

W półmroku czyta wiersz Roberta Lovella o umieraniu  
od dłuższego czasu próbuje zrozumieć swoją śmierć – rozpisuje ją  
nieomal w sposób sceniczny  
jakby stawiał znaki interpunkcyjne przy każdym oddechu

już wie że można być scenarzystą reżyserem i aktorem  
a gra w każdym akcie komedii  
jest niczym wpływanie małego strumienia  
w ciszę oceanu

zauważył że znajomi telefonują do niego coraz rzadziej  
w gruncie rzeczy  
nie przeszkadza mu to – odczytuje jako znak umykającego czasu

W wyobraźni stara odnaleźć siebie dawnego  
słucha grającą na trąbce *Il Silenzio* Melisse Veneme  
aż do tego momentu  
w którym orkiestra włącza się w krwiobieg utworu

powraca do książki Lovella  
szelst kartek wytrąca równowagę w pokoju  
powietrze przepływa spokojnie przez jego wyciągniętą dłoń

i ginie gdzieś w zupełnie nieokreślonej przestrzeni  
za otwartym oknem

Kiedyś myślał że śmierć nigdy nie będzie jego udziałem

dziś dostrzega – każdego dnia jakaś maluteńka część ciała  
opuszcza go  
przemierza ogromne przestrzenie kosmosu

pozbawiona jego oddechu  
prerażona ginie w cisza nie do zaakceptowania

to codzienność i jej tło  
odczytane jakby znajdowało się za brudną szybą  
którą swoją obecnością  
pokaleczyły liczne sztormy krzyki mijających pór roku

nadal próbuje odnaleźć nieodległe przecież fragmenty młodości  
i dzieciństwa do których chce się uśmiechnąć  
ale wargi zaledwie wykrzywają się  
w jakimś niezrozumiałym szaleńczym grymasie niepokoju

mężczyzna odkłada książkę na stolik  
przez chwilę zatrzymuje dłoń na jej okładkach – jest w tym czułość  
całej biologicznej potęgi wszechświata

powrót do muzyki wydaje mu się zbyt śmiały

dlatego odwraca się do światła  
i przez moment kieruje wyobraźnię  
do pobytu Norwida w Domu Świętego Kazimierza w Ivry  
być może przywołuje kogoś jakiegoś Michała Zaleskiego

czuje narastający ucisk w piersi  
próbuje podnieść dłoń na wysokość serca

słyszy coraz głośniejszą muzykę  
natrętność grającej trąbki wydaje mu się nie do wytrzymania





*il Silenzio* wyszeptuje  
chcąc wzrokiem odnaleźć płaszcz którym mógłby się przykryć

trąbka milknie

dłoń podniesiona do serca opada takim gestem  
który wyrównuje wszystkie niedoskonałości naszego świata

## Kwiaty magnolii

Przez szparę w uchylonych drzwiach wpada smuga światła  
i muzyka mówię wyraźnie nie przepadam za rock'n'rollem  
w okresie początkowego szaleństwa słuchałem Edith Piaf  
Louisa Armstronga szwendałem się po piwnicach z muzyką jazzową  
Wzruszali mnie trzej panowie na głoskę sz: Szopen Schumann i Schubert

Zbierałem płyty z nagraniami Orkiestry Drezdeńskiej  
Do dziś szeroko otwieram oczy  
kiedy na bazarach z starociami dostrzegam okładki tych płyt

Podobno w Central Parku pod koniec pierwsze dekady lipca  
opadły liście z krzaków magnolii  
i opadały nadal  
gdy na cmentarzu Al. Hibbler z wysoko uniesioną twarzą  
na której szklily się w lipcowym słońcu łzy i kropelki potu  
zaśpiewał *Nobody Knows the Trouble I've Seen*

To było w tym momencie kiedy Fred Robbins  
zauważył że zmieniając marynarkę  
nie przełożył kartki z mową którą miał wygłosić na pogrzebie Louisa

Nie pamiętam gdzie wtedy stali Bing Crosby i Ella Fitzgerald

Jak też nie mogę odgadnąć kto oprócz żony i Johannes Brahmsa odwiedzał  
Schumanna w zakładzie dla nerwowo chorych w Enderlich koło Bonn

To wtedy w parku w Bonn w ostatnich dniach lipca zwiędły krzewy magnolii  
Widział je siedzący na ławce Albrecht Dietrich chmurzyło się tego sierpniowego dnia więc  
z niepokojem patrzył w niebo  
I słuchał muzykę chmur zawieszonych nad nieodległym przecież cmentarzem

Nie wiem, czy w grudniowy dzień sześćdziesiątego trzeciego roku  
Ubiegłego wieku ktoś położył kwiat magnolii na grobie Edith na cmentarzu Pere Lachaise

Być może nikt z czterdziestu tysięcy zgromadzonych  
nie widział jej starego zdjęcia  
z tym kwiatem we włosach

Kiedy w Ivry grzebano Cypriana Kamila Norwida  
na poboczu cmentarza pod jego murem właśnie kwitły magnolie

dziś trudno mi powiedzieć  
czy choć jeden kwiat znalazł się  
na żółtym piasku świeżo wykopanej mogiły

List który nie ma adresata



# Wspominki o męczennikach z okresu powstań śląskich i plebiscytu

TADEUSZ LOSTER

**W listopadzie wspominamy tych, których męczeńska śmierć miała odstraszyć Ślązaków od opowiedzenia się za Polską.**

Nauczyciel **Wincenty Janas**, Polak, Ślązak. Urodził się w 1891 roku w Dąbrówce (obecnie dzielnica Piekar Śląskich). Pracował jako górnik. Był działaczem organizacji Eleusis, szerzącej wstrzemięźliwość od nałogów i katolicką pobożność, a ideowym jej celem była odnowa narodu polskiego. Od 1913 roku uczęszczał do prywatnego gimnazjum w Krakowie. W czasie wielkiej wojny walczył jako żołnierz w armii niemieckiej, będąc kilka razy ranny.

Po powrocie z frontu zdał egzamin nauczycielski w Zabrzcu. Jako nauczyciel w Rudzie Śląskiej organizował kursy języka polskiego i historii. Po wybuchu powstania – jako działacz narodowy, propagator polskości – stał się celem działań represyjnych ze strony Niemców. 21 sierpnia 1919 roku zostaje wyciągnięty z domu w Rudzie Śląskiej przez żołnierzy Grenzschutzu. Bity i kopany ucieka do pobliskiego domu. Wywleczony z domu był nadal bity. Żołnierze kopniakami wybijają mu zęby, a jeden z nich wyłupuje mu prawe oko. Skatowanego nauczyciela żołnierze stawiają pod drzewem, a gdy osłabiony upada, przesywa go 15 kul.

Ks. proboszcz **Wincenty Ruda**, Polak, Ślązak urodzony 1882 roku w Wójtowej Wsi (obecnie dzielnica Gliwic). Był pro-

boszczem w parafii Marcinki-Makoszyce. Nie wypierał się pochodzenia polskiego. Za odprawianie mszy w języku polskim oskarżony o szpiegostwo. 15 stycznia 1919 roku został aresztowany przez oddział Grenschutzu. Doprowadzony do pobliskiego lasu został rozstrzelany oraz kilkakrotnie pchnięty bagnetem. Następnego dnia zwłoki jego zostały znalezione przez mieszkańców i pochowane na cmentarzu w pobliskim Sycowie.

**Piotr Niedurny**, Polak, Ślązak, urodzony w 1880 roku w Raduniu na Opolszczyźnie. Mieszkał w Nowym Bytomiu (obecnie dzielnica Rudy Śląskiej). Robotnik pracujący w Hucie „Pokój”. Mimo robotniczego pochodzenia miał szerokie spojrzenie na problemy narodowe i społeczne. Działał na rzecz polskości Śląska oraz w polskim ruchu zawodowym. Był organizatorem kółek śpiewaczych w Bytomiu, Pawłowie, Zabrzcu, Gierałtowicach, Knurowie i Nowej Wsi. W 1919 roku brał udział w utworzeniu „Koła Polskiego”, kolportującego polską prasę, popularyzującego śląskie obyczaje i stroje. Był prezesem Towarzystwa Gimnastycznego Sokół w Nowej Rudzie.

Piotr Niedurny jako związkowiec był prezesem filii Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. W 1919 roku został wybrany przewodniczącym Rady Ludowej, działającej na rzecz złączenia Górnego Śląska z Macierzą. W tymże roku wstąpił w szeregi POW Górnego Śląska oraz został radnym Rady Miejskiej Miasta Bytomia. Jego działalność pro polska nie uszła uwadze władz niemieckich. 29 stycznia 1920 po kilku dniach ukrywania się przyjechał do Nowego Bytomia. Tu spotkał się z dyrekcją huty „Pokój”, która oskarżyła go o podburzanie robotników. Po wieczornym spotkaniu z przyjaciółmi w Polskim Towarzystwie Śpiewaczym udał się do domu. W pobliżu huty został zatrzymany przez umundurowanych Niemców, którzy przedstawili mu nakaz aresztowania. W czasie transportu do Bytomskiego więzienia został ciężko pobity. Nieprzyjęty do więzienia został odwieziony z powrotem do Nowego Bytomia. Nad ranem dnia 30 stycznia 1920 niedaleko folwarku w Szombierkach znaleziono ciało skatowanego i zastrzelonego Piotra Niedurnego. 6 lutego 1920 odbył się jego pogrzeb. Stał się on wielką manifestacją narodową, w której uczestniczyło 30 tysięcy ludzi.

Ks. proboszcz **Franciszek Marx**, Niemiec, Ślązak. Urodził się w Mysławiu-



cach w 1880 roku. Studiował teologię na Uniwersytecie Wrocławskim. Darzył sympatią Polaków, w czasie studiów należał do Kółka Polskiego przy konwiktzie biskupim. W 1917 roku został kuratorem podejmując się budowy plebanii w Starym Oleśniu. Ks. Franciszek sprawując posługę kapłańską nie dzielił swoich wiernych na Niemców i Polaków, byli to dla niego katolicy. Podczas plebiscytu agitował i głosował za Polską co było przyczyną jego śmierci. Dnia 11 maja 1921 roku ponad 30 niemieckich bojówkarzy napadło na plebanię. Pojmanego księdza zaciągnięto do piwnicy, bito i torturowano. Po przeprowa-



dzeniu rewizji plebanii w poszukiwaniu pieniędzy i broni ks. Franciszek został wywleczone na podwórko i przykuty do pompy. Korzystając z chwili nieobecności i nieuwagi oprawców przyjął komunię świętą przyniesioną mu przez matkę. Po przyprowadzeniu jeszcze trzech mężczyzn z Olesna bojówkarze zaciągnęli ich wraz z księdzem do lasu gdzie torturowano ich i rozstrzelano. Oprawcy ciała zakopali w lesie, jednak wrócili po ciało księdza Franciszka, które spalili w kluczborskiej gazowni.

Ks. dziekan **Augustyn Strzybny**, Polak, Ślązak. Urodził się w Cyprzanowie koło Raciborza w 1876 roku. Studiował Teologię na Uniwersytecie Wrocławskim. W czasie studiów należał do Kółka Polskiego. W latach 1901–1903 był wikarym w kościele pod wezwaniem Krzyża Świętego w Opolu. Został prefektem konwiktu teologicznego we Wrocławiu,



opiekując się Kółkiem Polskim. W 1908 roku został proboszczem w Modziurowie w powiecie kozielskim. W gorącym okresie powstań i plebiscytu nie ukrywał swojego polskiego nastawienia. Katechezę i kazania głosił po polsku. Z tego powodu nie minęły go szykany ze strony władzy. Urządzone w parafii kilka rewizji, poszukując broni. Musiał uciekać i ukrywać się, gdyż grozono mu śmiercią. Po plebiscycie – ostrzeżony, że grozi mu śmierć – nie opuścił parafii w Modziurowie. 31 października 1921 wieczorem, po ukończeniu posługi spowiedzi, ks. Augustyn w drodze z kościoła do domu został zamordowany przez „nieznanych sprawców”. Zwłoki księdza dziekana na drodze znalazła jego siostra.

Lekarz **Wincenty Styczyński**, Polak, urodził się w 1872 roku w Śremie. Studiował medycynę we Wrocławiu, a dyplom doktora nauk medycznych uzyskał w Lipsku. W 1903 roku osiadł w Gliwicach, gdzie rozpoczął praktykę lekarską.



Był członkiem Banku Ludowego w Gliwicach, współzałożycielem Towarzystwa Lekarzy Polskich na Śląsku, a także Towarzystwa Czytelni Ludowych. W 1914 roku został zmobilizowany do wojska niemieckiego jako lekarz batalionowy w szpitalu wojskowym w Gliwicach. Po wojnie był aktywnym działaczem na rzecz przyłączenia Górnego Śląska do Polski. W 1919 roku został radnym miasta Gliwice, gdzie przewodził frakcji polskiej.

Podczas II Powstania Śląskiego pracował jako lekarz powstańczej Komendy Etapowej na powiat Gliwice. Był członkiem Polskiego Komitetu Plebiscytowego na miasto i powiat gliwicki oraz powołany został przez Komisję Międzysojuszniczą na doradcę technicznego przy kontrolerze koalicyjnym. Po podziale Górnego Śląska, pomimo ostrzeżeń przed represjami, pozostał w Gliwicach. 18 kwietnia 1922 podczas przyjmowania pacjentów w domowym gabinecie „nieznany sprawca” oddał do doktora dwa śmiertelne strzały z rewolweru. Morderca zdołał zbiec. Dr Wincenty Styczyński został pochowany na cmentarzu św. Wojciecha w Poznaniu.

Dr medycyny **Andrzej Mielęcki**, Polak, ur. 1864 w majątku Hucisko (ob. woj. łódzkie). Studiował medycynę w Monachium i Berlinie, a dyplom doktora



nauk medycznych uzyskał w Lipsku. Jako lekarz pracował w Saksonii, a potem w Zagłębiu Dąbrowskim. Po zamieszaniu w Katowicach prowadził na miejscu prywatną praktykę przez 21 lat. Zastąpił w Katowicach nie tylko jako znany lekarz, ale także jako współzałożyciel i członek wielu polskich towarzystw. W 1900 roku został członkiem zarządu Towarzystwa dla Zrzeszenia Elementarzysty Polskich na Górnym Śląsku. Zasiadał we władzach Towarzystwa Lekarzy Polaków na Górnym Śląsku. Brał udział w obradach Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu, współpracował z polskim ruchem wyborczym w Rzeszy Niemieckiej. Wchodził w skład Centralnego Komitetu Pomocy dla Dzieci w Katowicach. W 1918 roku był członkiem Powiatowej Rady Ludowej w Katowicach. Członek POW na Górnym Śląsku. Podczas powstań sprowadzał broń dla powstańców. Był członkiem Polskiego Komitetu Plebiscytowego w Katowicach.

17 sierpnia 1920 doszło do zamieszek na ulicach Katowic, wywołanych przez bojówki niemieckie. W pobliżu mieszkania dra Mielęckiego do bojówek demolujących polskie sklepy zaczęli strzelać francuscy żołnierze. Kiedy doktor udzielał pomocy rannym, został zaatakowany przez niemiecką bojówkę. Tak męczącą śmierć Andrzeja Mielęckiego opisuje Józef Piernikarczyk w „Księdze pamiątkowej Górnego Śląska”, wydanej w roku 1923 w Katowicach:

*Podniosły się kije, laski, żelazne druty, siekąc niemiłosiernie ciało lekarza. Ubranie poszarpane w strzępy, wkrótce pomieszało się z krwią i ziemią, tworząc jakąś bezkształtną, łączącą masę. Ludzie-zwierzęta na chwilę ochłonęli na widok tak sponiewieranego człowieka. A działo się to w oczach jego żony i córki, które przerażone tak straszliwym męczeństwem swego męża i ojca, bezładnie usunęły się na ziemię.*

*Zajeżdżał wóz sanitarny. Mordercy, myśląc że dr Mielęcki nie żyje, porwali leżące ciało i rzucili je do wozu. Nie szczęśliwa ofiara bestialskich instynktów motłochu, który znów z dzikim rykiem rzucił się na wóz i popędził z nim w stronę rzeki – Rawy. Nad brzegiem wyrzucono konające ciało z wozu, ażeby dopełnić zemsty na „polskim królu”. A jest to rzeczywiście król polskich męczenników górnośląskich.*

*Oprawcy zdarli z niego resztki odzieży i zaczęli tak długo bić i kopać, aż nie pozostało na nim ani jedno zdrowe miejsce. Kilku zwyrodniałych opryszków wytoczyło deski z wozu ratunkowego, dobijając dra Mielęckiego. I gdy przed nimi leżał tylko nieruchomy, poszarpany, sinokrwawy trup bez kształtu, masa z błota i krwi, rzucono go do brudnej, mętnej rzeki.*

# Śląskie czereśnie jak magdalenki

RYSZARD BEDNARCZYK

Coraz częściej do pisania powieści Co Górnym Śląsku zabierają się jego mieszkańcy, obecni lub byli. Sięgają po tematykę szeroko znaną z publicystyki, ale także kreują w polskiej prozie zupełnie nowe oryginalne narracje wysnute z indywidualnych przeżyć. Do takich autorów należy Michael Sowa, od wielu lat mieszkający w Niemczech Ślązak z Opolszczyzny. Z zawodu doktor fizyki na politechnice w Akwizgranie, nauczyciel w Berlinie, gdzie literacką karierę zaczynał od tłumaczenia niemieckiej i polskiej krótkiej prozy. Jego samodzielnym debiutem prozatorskim była opublikowana w 2021 roku przez warszawskie Wydawnictwo Lira powieść *Tam, gdzie nie pada*. Pisarz zainspirowany wspomnieniami z dzieciństwa stworzył utwór oparty na kanwie założenia przez emigrantów z Opolszczyzny wsi Panna Maria pod San Antonio w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Podjął się karkołomnego zadania, bo temat to mocno oklepany, jednak pisarz podolał trudnościom, tworząc dzieło na wskroś oryginalne i interesująco napisane, co było niełatwe, choćby ze względu na gwarowe wtręty językowe.

## Portret społeczności wiejskiej

Prozaik sięgnął po klasyczną wszechwidzącą narrację trzecioosobową pasującą do opisywania dziewiętnastowiecznych dziejów. Indywidualne losy postaci ukazane zostają na szerszym historycznym tle, co pozwala lepiej zrozumieć kontekst opisywanych wydarzeń „To był rok 1853; rok, w którym Brytyjczycy, Francuzi i Turcy w mundurach i z bronią w ręku poczęli zwiedzać przepiękny czarnomorski półwysep Krym; rok, w którym Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nabyły na wyprzedzący po korzystnej cenie od Meksyku część północnych ziem tego kraju. To był ten sam rok, w którym urodził się z dwojgiem uszu Vincent van Gogh i w którym Ignac Maciołek stracił trzy zdrowe zęby (dwa u dołu, jeden u góry) w bójkę z Hankiem Poradą, a przyczyną jak zwykle była pewna dziewczyna” – w taki sposób pisarz z globalnego punktu widzenia przechodzi do rzeczywistości opolskiej wsi.

Akcja powieści rozgrywa się dwutorowo; w Teksasie, gdzie ksiądz Leonard Moczygamba szykuje miejsce dla zamierzającej emigrować do Ameryki jego najbliższej rodziny, oraz we wsi Płużnica

ca pod Strzelcami Opolskimi, z której na wieść o możliwości osiedlenia się na nowym kontynencie planuje wyjechać więcej chłopskich rodzin. Michael Sowa udanie charakteryzuje społeczność śląskich chłopów, ukazując ich przywary i zalety. Celnie opisane są wiejskie konflikty i postacie wsiowych urzędników i dziwaków. Dostaje się też dziedzicowi niedbającemu o majątek rodowy, próżniaczko trwoniącemu dorobek przodków, przy okazji wykorzystując poddańskich, wprawdzie uwolnionych od pańszczyzny, ale nie mogących spłacić czynszu za użytkowaną ziemię. Życie bez perspektyw zmusza wieśniackie rodziny do poszukiwania odmiany marnego losu za oceanem.

Postaci opisane w powieści to zarówno bohaterowie historyczni, znani z dokumentów, przykładowo ojciec Moczygamba, posiadacz ziemski hrabia Hermann Albert von Posadowsky-Wehner, urzędnicy pruscy czy amerykańscy w rodzaju Johna Twoigh'a. Natomiast liczna rodzina Poradów, z której wywodzi się przedsiębiorcza Marysia, to osoby fikcyjne, podobnie jak zarządca hrabiowski Alfred Szpyra. Wymyślony przez autora jest też konflikt pomiędzy Poradami a Szpyrą.

Trzeba przyznać, że prozaik nie oszczędza zarówno stworzonych przez siebie postaci, jak i historycznie istniejących. Jednakowo obnaża ich wady, z humorem i znajomością rzeczy opisując chłopskie swary. Z satyrycznym zacięciem demaskuje chłopski spryt, chciwość, zawiść, chęć awansu społecznego i chuci pożądanie.

Świetnie opisane są scenki rodzajowe w karczmie: „Trzy, długie na dziesięć metrów ławy kompletnie obsadzone były niedzielnymi gośćmi. Każdy z nich trzymał w ręku kufel świeżego, piąnego się piwka. Niektórzy palili poskręcane lulkę, inni przegrzali nasiona słonecznika, wpływając łuski bezpośrednio na podłogę (ku utrapieniu arendarza, ma się rozumieć), w dwóch, trzech grupkach grano w skata. Sale wypełniał monotony gwar, raz po raz przerywany krótkim śmiechem bądź okrzykiem zdziwienia lub niedowierzania”, podobnie jak wyszukbki w chałupie Poradów. Widać, że twórca doskonale zna chłopskie obyczaje, opisywane w werystyczny sposób, jakby chciał ocalić je przed zapomnieniem na stronach powieści i dać pohulać nostalgicznym wspomnieniom.



Michael Sowa

## Zmodyfikowana gwara

Drwiącą optykę obiera także Sowa do opisu układów panujących w Teksasie, gdzie Moczygamba oczekujący przyjazdu rodziny musi zagospodarować przybyłych z nimi chłopów z Płużnicy, wcześniej oszukany zostaje przez Martinezę. Wojowniczy Indianie znani z powieści Karola May'a pod piórem prozaika to zwykłe koniokrady. Za to nie szczędi podziwu dla przemiany mentalności Marysi Porady, Ignaca Maciołka i Arnolda Szpyry. Ciekawie prezentuje się w powieści wątek kota przemyczonego do Ameryki. Przyjmując perspektywę widzenia i odczuwania zwykłego dachowca autor daje opis fantastycznych kocich dywagacji na temat ludzi.

Wątkiem obecnym natrętnie w debiutanckiej prozie Michaela Sowy jest podkreślanie przez narratora bądź powieściowych bohaterów odrębności śląskiej mentalności. „Polok zawdy w dupa dostanie, tak jak Ślonzok. Ino Ślonzok przy tym larma nie robi. Polok bydzie się targoi i na krzywe pyski z Niemcami zawsze przidzie. A my ino łeb umiemy schylić, pysk trzymać i robić to, co nom się koże” – narzeka Maciołek w rozmowie z Juliuszem Poradą. Warta odnotowania jest także gwara, którą mówią postaci prozy Michaela Sowy. Jak zapewnia autor, ojczystą mowę Ślązaków nieco zmodyfikował, żeby była zrozumiała dla Polaków, czemu służy także zamieszczony na końcu książki słowniczek. Dobre przyjęcie pierwszej powieści skłoniło pisarza do napisania i opublikowania kolejnego dzieła.

## Wrastanie w rzeczywistość

Owoce z tytułu jego drugiej powieści *Czereśnie od Świętej Anny* pełnią w fabule rolę, taką jak smak magdalenki w prozie Marcela Prousta, pomagają odnaleźć w pamięci minione wydarzenia wpływające na teraźniejsze życie postaci, ułatwiają rozliczenie z utraconym czasem. Stają się symbolem początku nieszczęść

bohaterki Heleny Gralik, ukazanej na pierwszych stronach powieści jeszcze jako Lenchen podczas ucieczki przed nalotem we wrześniu 1944 roku w rodzinnych Wielkich Strzelcach. Jednak opowieść o losach kobiety nie układa się w linearny ciąg zdarzeń. Ramy czasowe akcji powieści obejmujące kilkadziesiąt lat; od powstań śląskich poprzez międzywojnie ze Śląskiem podzielonym między dwa państwa, wojnę i okres budowy ludowej Rzeczypospolitej, pełne są retrospekcji i poszukiwania przyczyn wydarzeń w przeszłości.

Podobnie jak czas akcji poszatkowana jest narracja prozy Michaela Sowy. Chwilami trzecioosobowa, ale wyrzekająca się wszechwiedzy, pełna ekspresyjnych zdań i kolokwializmów. Innym razem opowiadanie przybiera formę prywatnych listów lub pism urzędowych. Zmiana formuły narracyjnej urozmaica treść, czyniąc ją ciekawszą, zaburzając równocześnie jednolity punkt widzenia autora, dając swobodę interpretacji i przybliżając sposób myślenia bohaterów oraz motywację ich działania.

Gdyby skupić się tylko na opisie trudnego życia Heleny książka *Czereśnie od Świętej Anny* byłaby zapisem wrastania śląskiej kobiety w nową polską powojenną rzeczywistość, ze świetnymi opisami pracy w przedsiębiorstwie socjalistycznym czy układania sobie życia rodzinnego wśród krewnych męża Achima, doskonale scharakteryzowanych przez prozaika. Te fragmenty powieści spełnione są scenkami rodzajowymi tak autentycznymi, że zachodzić może podejrzenie, iż zaczerpniętych z biografii autora. Lokowałyaby się proza Sowy doskonale w nurcie prozy małego realizmu, ale autor nie pragnie wcale afirmować przemian zachodzących na Śląsku. Wręcz przeciwnie, w narracji można natknąć się na wiele krytycznych uwag wobec władzy nie tylko polskiej, także i niemieckiej.

### Krowa Korfantego

Autor, nawet jeśli nie sprzyja śląskiej etniczności, nie stroni – podobnie jak w prozatorskim debiucie – od narracji i polifonicznych dialogów w gwarze, podkreślających odrębność Ślązaków: „my to ani Niemcy, ani Polacy, tylko takie coś pośrodku, jak się wyrażała. A jak się stoi w środku tego śląskiego bajzlu, mówiła, to lepiej wszystkie rzeczy ogarnąć, bo do wszystkiego trzyma się odpowiedni dystans” – pisze w liście jeden z bohaterów powieści. Unikanie narodowej frazeologii widoczne jest zwłaszcza we fragmentach powieści dotyczących trzeciego powstania śląskiego. Insurenci Paweł Majewski, Edmund Skowronek pozbawieni są patriotycznych uniesień, w oddziale znaleźli się przez przypadek, trochę pod przymusem dowódcy Mru-gacza. W bitwie o Górę św. Anny w okopach przeciwnika dostrzegają takich jak oni autochtonów. Bój pozbawiony jest heroizmu i przypomina wojnę domową. Taki punkt widzenia autora, mieszkającego w Niemczech, zbliżony jest do oceny powstań śląskich przez niemieckich historyków.

Przejawia się także w groteskowym ukazaniu w powieści obietnic Wojciecha Korfantego. „Obiecali, że będzie ziemia i krowa, tak Korfanty pedziol” – przekonuje Edmund. Prozaik z odrobiną drwiny rozprawia się na stronach powieści z mitem korfanciorzy. Symbolem upadku propagandy dyktatora powstańczego staje się krowa skubiąca trawę na łące rozdzielającej pozycje bojowe powstańców i Freikorpsu, rozszarpana na szczątki przez pociski. „Pierwsza jednak na linii frontu pole-gła Bogu ducha winna krowa, stając się przy tym prawdziwą bohaterką zbrojnego konfliktu na śląskiej ziemi. Niestety, nikt jej później nie wystawi pomnika, bo krowy na tym świecie, zdominowanym przez ludzka agresję, nie-nawiść i żądzę, nie są warte tego, żeby

o nich pamiętać” – kpi narrator powieści. Jednym słowem patriotycznego posągu złotego cielca nie będzie.

### W stronę kiczu

Polemiczne narodowościowo fragmenty powieści Sowy należą do najbardziej interesujących, gdyż doskonale obrazują stosunek autochtonów do państw narodowych, odbrązawiają powstańcze losy postaci i demaskują propagandowe stereotypy z czasów Polski Ludowej. Całościowe wrażenie psuje jednak kiczowate rozwiązanie akcji na równi z tandetnym naszkicowaniem postaci Pawła Majewskiego. Drażni zwłaszcza małe prawdopodobieństwo psychologiczne tego bohatera, który w powojennej rzeczywistości objął stanowisko wysoko postawionego partyjnego sekretarza i nie myślał o niczym innym, jak tylko o zemście na Adamie Graliku, który odbił mu w młodości narzeczoną Annę Kramer.

Paweł Majewski, jeden z trójki kolegów, którzy w 1927 roku wybrali się na rowerach pod Górę św. Anny, do poznanych wcześniej dziewczyn, to człowiek bezideowy Jak typowy poputczyk robi karierę w aparacie partyjnym socjalistycznej Polski. Autor nie rozmija się z prawdą, tak charakteryzując negatywnego bohatera powieści, jednak obsesyjne pragnienie zemsty towarzyszące mu przez kilkadziesiąt lat jest psychologicznie mało prawdopodobne. Wyraźnie widać, że prozaik wymyślił ten motyw postępowania postaci, żeby urozmaicić fabułę i połączyć rozsypane w czasie wątki w jednolitą sensacyjną całość, wskazując jako przyczynę nieszczęść powieściowych postaci i zła poczynania Majewskiego. Nie od rzeczy będzie zwrócenie uwagi na wydumany wątek sowieckiego oficera wymierzającego po latach sprawiedliwość, bo ta musi tryumfować jak w każdej brukowej powieści, którą końcowe fragmenty prozy Michaela Sowy wyraźnie przypominają.

Bardzo jednostronnie, wręcz schematycznie, opisane są w powieści motywy opuszczenia przez bohaterów rodzinnego Śląska. Z reguły winni temu są przedstawiciele polskiej władzy czy ogólnie rzecz biorąc sytuacja w kraju. Wybawieniem staje się emigracja do Niemiec, które wcale nie stają się rajską krainą, choćby z powodu tęsknoty za porzuconymi miejscami dzieciństwa. Taka śląska kwadratura koła. ■



Michael Sowa, *Tam, gdzie nie pada*. Wydawnictwo Lira, Warszawa 2021, s. 393.

Michael Sowa, *Czereśnie od Świętej Anny*. Wydawnictwo Lira, Warszawa 2022, s. 329.

## Nostalgicznie, po kolei...

JAROSŁAW KAPSA

Wcieniu obecnej polityczno-wojennej atmosfery toczył się, w wąskim kręgu elit częstochowskich, spór o dworzec kolejowy. PKP dysponując nadmiarem ambicji (a być może też pieniędzy) przedstawiło koncepcję wyburzenia dworca głównego i wybudowania w jego miejsce nowego, na miarę potrzeb XXI. Wiza nowego zazwyczaj wygrywa z tradycjonalizmem, ale w tym wypadku zapowiedź zrodziła umiarkowany entuzjazm. Pojawiły się za to głosy sceptyków.

„Stary” dworzec nie jest taki stary. Oddano go do użytku w listopadzie 1996 r., w uroczystości otwarcia, nawiązującej do 150-lecia kolei warszawsko-wiedeńskiej, uczestniczył ówczesny Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Kształt architektoniczny, dzieło krakowskiego projektanta Ryszarda Frankiewicza, robił wrażenie. W niedawnym plebiscycie „Gazety Wyborczej” na lokalną „ikonę III RP”, błękitna ściana frontowa zdobyła, głosami czytelników, pierwsze miejsce. W latach 90-tych był to jeden z największych, a jednocześnie najnowocześniejszy dworzec w Polsce. Wymiar odpowiadał ambicjom „stolicy pielgrzymkowej”, powierzchnia hal wynosiła ponad 40 tys. m<sup>2</sup>. Był też obiektem wyjątkowym. Pierwszy dworzec, zbudowany w 1846 r., wraz z linią kolei warszawskiej, o niebanalnym kształcie przypominającym parowóz, został w imię postępu wyburzony w latach 60-tych XX w. Przez kolejnych 30 lat częstochowianie korzystali z prowizorycznych erzaców: szklano-stalowej ciepłarni zwanej „akwariem” (od strony al. Wolności) i z baraku z melaminą (od ul. Piłsudskiego). Przez owe 30 lat mieszkańców karmiono wizjami

nowoczesnego dworca, ale jak wiemy socjalizm składał się prawie wyłącznie z pięknych wizji.

Na wieść o planach wyburzenia nowego-starego dworca zjednoczyli się plastycy z historykami, architekci z regionalistami, i zaczęli bombardować rządzących protestami przeciw wyburzeniu. Przyniosło to efekt, bo akurat jednym z adresatów był poseł częstochowski Szymon Giżyński, piastujący funkcję wiceministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przekonany przez swój elektorat minister doprowadził do wpisania dworca częstochowskiego do rejestru zabytków. Projektant Frankiewicz mógł z dumą prezentować siebie, jako drugiego, po Adolfie Szyszko-Bohuszu, twórcę, którego dzieło stało się zabytkiem nim się postarzało.

Sceptycy i tym rozwiązaniem nie są zadowoleni. Dworzec jest przewymiarowany zwłaszcza, że zarządca bardziej interesuje się inwestycjami niż pasażerami. W 2018 r. z częstochowskiego dworca korzystało rocznie 6,2 mln ludzi, w ostatnich latach ta liczba stopniała do 2–2,5 mln. Zaniedbania, przy budowaniu i użytkowaniu, powodowały, że wielkie gmazysko brzydko się starzało. Ściana frontowa nadal jest piękna, ale wnętrze odstrasza... Wpisanie do rejestru zabytku powoduje zakonserwowanie stanu istniejącego, zablokować może konieczne remonty i przebudowę. Mamy w Częstochowie sporo obiektów, które po nobilitacji i uznaniu za dziedzictwo kulturowe, stoją opustoszałe, popadając w ruinę.

Decyzja ministra inicjuje możliwość organizacji w listopadzie (w rocznicę budowę linii warszawskiej oraz starego i staro-nowego dworca) okazjonalnych uroczystości. Zwłaszcza, że i niepodległościowe tradycje też się z dworcem wią-

zały. Wolność w 1918 r. zaczęła się od zajęcia dworca przez polską Straż Obywatelską; uczcili to kolejarze w pierwszą rocznicę manifestując na Alejach z tekturową makietą lokomotywy.

Nie miałbym nic przeciwko takowym uroczystościom jako mieszkaniec i częsty klient PKP. Chciałbym jednak by bardziej zwrócono uwagę na dobro pasażera, a nie dworca, przypominając, że rozwój naszego miasta wiązał się mocniej z torami, a mniej z pałacami.

Potrzeba jest matka wszelkiego postępu. Budowa linii z Warszawy do stacji Granica, w latach 1845–1847, dało mojemu miastu impuls rozwojowy, lecz zbyt mały w stosunku do rosnących potrzeb regionu. Zwłaszcza regionu. Korespondent wydawanego w stolicy gubernii, Piotrkowie Trybunalskim, „Tygodnia” pisał w 1876 r. *„Dostać się z Piotrkowa do Wielunia nie jest to tak łatwo, jak niejeden z was, mili czytelnicy, myśli. Wprawdzie przez Bełchatów, Szczerców i Osyaków, jest niby najprostsza droga, ale brak łatwej komunikacji, czyni ją niepodobną do przebycia w pilnym zwłaszcza interesie; – przez Radomsk znów, Brzeźnicę i Działoszyn także niepodobna się przedostać, gdyż pomiędzy Radomskiem i Wieluniem nie kursują stale nawet jakie wehikuły. Wobec więc tak utrudnionych w prostym kierunku środków komunikacyjnych, puścić się byłem zmuszony najdłuższą, ale nieco od powyższych dogodniejszą drogą, przez Częstochowę, Kłobuck, Krzepice i Prądkę”*. Jego opis przypomina relację z podróży po Afryce, dwa dni zajęło mu pokonywanie piaszczystych, lesistych i pagórkowatych bezdroży od stacji kolejowej w Częstochowie przez Kłobuck itd. do Wielunia, jednego z większych i ważniejszych ośrodków administracyjnych guberni piotrkowskiej. Wyobraźmy sobie spójność naszego województwa, gdy dwa dni trwała podróż z Katowic do Raciborza.

Spójność administracyjna to drobiazg wobec potrzeb gospodarczych. Koniec XIX w. to czas wielkich fabryk i przemysłowej eksploatacji dóbr natury. W Złotym Potoku, w dobrach Raczyńskich, według projektu Michała Girdwoyna, powstała największa w Europie hodowla pstrągów. Interes był przedni, bo smakosze warszawscy płacili pół rubla za świeżą rybę z górskich potoków. Ale jak tą rybę dostarczyć do stolicy Kongresówki? Pakowano żywe pstrągi do kadełki, następnie wożono furmankami do

fot. Tomasz Bienek



stacji kolejowej w Myszkowie. Podróż, do 1904 r., gdy hr. Karol Raczyński za-inwestował własne pieniądze w budowę szosy, trwała 11,5 godziny, bo konie nie dawały rady uciągnąć towaru po piachu pod górę. Kolej warszawska przyjmowała większość towarów, przy stacjach rosły miasteczka (Myszków, Poraj, Kłomnice) będące lokalnymi centrami logistycznymi. Takie Kłomnice przyjmowały produkty z fabryki metalurgicznej wybudowanej przez Potockich w Koniecpolu, z cukrowni pod Maluszynem, drewno z lasów Lubomirskich, Potockich i Ostrowskich, produkty rolne ze wsi połowy powiatu częstochowskiego. Korespondent „Tygodnia” opisywał w 1899 r. „przechodzę do choroby ogólnej – do dróg naszych. Jedną z nich, z Koniecpola do Kłomnic – to istna topiel, rzeka błota nie droga publiczna; nic też dziwnego, że niejedyn podróżny jadąc do stacyi kolejowej jak przez kraj Papuasów, wywraca w osławionym lesie Garnkowskim lub w samej wsi Kłomnice i, skąpany po uszy w błocie, przyjeżdża na koleją, jak nieboskie stworzenie. Chwała Bogu, że chwilowe przymrozki, przynajmniej na pewien czas uwolnią nas od tych przyjemności”. Przez taki kraj Papuasów, wyspecjalizowani wozacy z Przyrowa, wieźli z Koniecpola tony wyrobów z tamtejszej huty.

O koniach mechanicznych i dostosowanych do nich dróg asfaltowanych, nikt jeszcze nie marzył. Koń zwykły nie mógł podołać wyzwaniom transportowym. Wiadomym było od dawna, że ziemia podczęstochowska kryje zasoby rud żelaza, wydobywano je i przetwarzano w kuźnicach od XIV w. Rozwój tej branży, istotny w wieku węgla i stali, zależny był od transportu. Żłaza pod Praszka, w dobrach Potockich, nie opłacało się eksploatować, bo furmanką nie dało się sforsować miejscowych bagien. Największym wyzwaniem i jednocześnie największą potrzebą, było połączenie Częstochowy z granicą pruską, z niemieckimi kolejami, a dzięki tego ze światem. Częstochowa stała się wielkim ośrodkiem włókienniczym, jej funkcjonowanie zależne było od sprowadzanych surowców – juty i bawełny. Drogami wśród lasów, od przejść granicznych Herbach, Olszynie, Bodzano-wicach ciągnęły furmanki wożące tony nieprzetworzonych surowców.

W lutym 1894 r. piotrkowski „Tydzień” wyrażał obawy: „Do zagadnień też należy, czy Częstochowa będzie się rozwijać, czy też skostnieje w swym obecnym stanie? Fabryki idą dobrze, ale brak zbytu nie skarżę się, warunki dla fabryk są tak dobre jak prawie nigdzie, gdyż węgiel blisko a woda pod bokiem, tymczasem jakoś nowych fabryk nie przybywa, nowych źródeł dochodu miasto nie widzi”. Bez poprawy warunków komunikacyjnych miasto skazane było na regres.

W październiku 1894 r. odbyła się narada przedsiębiorców częstochowskich i łódzkich ustalająca konieczność budowy drogi żelaznej Częstochowa – Herby. Inicjatywa ta spotkała się z niechęcią ze strony zarządców kolei warszawsko-wiedeńskiej oraz potencjalnych partnerów z kolei niemieckiej. Z ich punktu widzenia korzystne było utrzymanie, jako jedynego, połączenia międzypaństwowego przez Sosnowiec i Mysłowice. „Tydzień” w sierpniu 1895 r. oddał panujące w tej sprawie opinie: „Cały ruch wwozowo-przywózowy naszego miasta, przeobraca się przez komorę Herby, którą, pomimo znacznej odległości linii kolejowych po obu stronach granicy, transport wypada o wiele taniej niżeli przez Sosnowiec lub Granicę. Projekt przeto budowy kolei podjazdowej, wąskotorowej z Częstochowy do Herbów, obudził żywe zainteresowanie w kołach przemysłowo-handlowych”. Opinią tej nie można było lekceważyć, bo dzięki inwestycjom fabrycznym, w ciągu 10 lat liczba mieszkańców uległa podwojeniu, przekraczając 40 tys. Konieczność inwestycji w transport wiązała się już wówczas nie tylko z koniecznością dostaw surowca do fabryk włókienniczych. Warszawski przemysłowiec Bernard Hantke zdecydował o budowie dużej huty żelaza, opartej o przerób wydobywanej w okolicach miasta rudy żelaza.

Niechęć zarządu kolei warszawskiej blokowała inwestycję. Dużo szybciej „zielone światło” zapalano dla budowy linii uzupełniających jej ofertę. „Budowa nowej odnogi kolei wiedeńskiej z Łaz do Ogródzieńca, osady w pow. olkuskim, ma się zacząć w tych dniach. O budowie tej kolejki postarano się nowe towarzystwo akcyjne, które założyło fabrykę cementu w Ogródzieńcu, na piątej wiośście traktu szosowego z Zawiercia do Pilicy. Na budowę nowej odnogi, przekraczającej granicę gub. piotrkowskiej, pozwolenie dość szybko zostało udzielone, ze względu na przemysłowe znaczenie Ogródzieńca, w którego sąsiedztwie o 2 wiorsty znajduje się jedyna w kraju fabryka prochu. Oprócz tego, w Ogródzieńcu znajdują się duże cegielnie, zasilające fabryczne Zawiercia” – pisał w sierpniu 1899 r. „Tydzień”. Tymczasem kwestia połączenia z Herbami nadal była procedowana w stolicy Rosji. „Jak zapewnia „Kraj”, na posiedzeniu komisji przy departamencie dróg żelaznych, pod prezydencją n. r. st. Zieglera, odbytem 28 go z. m., rozpatrywaną była kwestya budowy kolei z Częstochowy do Herbów. Z ośmiu ubiegających się o budowę kandydatów pozostało tylko trzech, którzy się na warunki, przez komisję proponowane, zgodzili: ks. Stefan Lubomirski, reprezentowany w komisji przez inżyniera Święcickiego; pułkownik sztabu generalnego Niczkoładow i p. Siemiczow. Ponieważ propozycje wszystkich trzech kan-

dydatów okazały się identycznymi, przeto komis. nie wybrała formalnie żadnego z nich, wyraziwszy tylko mniemanie, że najbardziej pożądanem byłoby oddanie budowy p. Siemiczowi. Decyzja zależeć będzie od ministrów skarbu i komunikacyi” / „Tydzień” nr 46 z 26.11.1899 r/.

Impas przełamano w 1900 r. gdy majątek zagórski, „własność Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, wskutek Najwyższego rozkazu z d. 17 czerwca 1899 r., został oddany w wieczyste posiadanie Jego Cesarskiej Mości Następcy Tronu, Wielkiemu Księciu Michałowi Aleksandrowiczowi”. Do majątku tego należała m.in. huta w podczęstochowskiej Błachowni, kopalnie rudy w Gnaszynie i Łojkach, zespoły leśne wokół Ostrowa. Rozwój „państwa zagórskiego” zależny był od właściwego systemu transportowego. „Tydzień” z września 1900 r. mógł już donieść z entuzjazmem. „W krótkim już czasie będą rozpoczęte roboty budowy kolei żelaznej od Herbów do Częstochowy. Główny nadzór za robotami, towarzystwo owej kolei powierzyło, jak nam donoszą, inżynierowi Batalinowi./.../ Dowiadujemy się, że towarzystwu metalowych zakładów B. Handke w Warszawie pozwolono na przeprowadzenie dwóch konno-żelaznych kolejek podjazdowych dla prywatnego użytku: od huty „Częstochowa” do kopalni „Konopiska”: (10 wiorst) i od st. D. Ż. W”. Rok później, Ministerstwo Komunikacji zatwierdziło projekt wybudowania gmachu i plantu dworcowego na stacji kolei Częstochowa – Herby; dworzec połączony miał być z komorą celną. „Tydzień” we wrześniu 1901 r. pisał: „Roboty przy budowie kolei elektrycznej Częstochowa-Herby postępują szybko /.../. Kolej ta ma długości 16 wiorst i jak wiadomo, łączyć będzie Częstochowę z granicą niemiecką. Tym sposobem droga z Warszawy na Sosnowiec do Wrocławia skróconą zostanie blisko o 100 wiorst. Pracownicy niemieccy zostali usunięci, gdyż stosownie do przepisów, przy podobnych robotach nie mogą być zatrudniani poddani zagraniczni. Budowa nowego dworca kolei postępuje rażno, wkrótce mury pokryte będą dachem. Kolej elektryczną otrzyma kilka odnóg do fabryk położonych pod Częstochową”. Wkrótce prasa mogła już poinformować: „na kolei Herby-Częstochowa został wprowadzony prowizoryczny ruch pociągów towarowo-pasażerskich. Pociągi w dzień powszednie kursują trzy razy dziennie tam i z powrotem. W niedziele 4 razy. Pasażerowie są przewożeni w wagonach towarowych, w których poustawiano ławki. Bilet z Częstochowy do Herbów kosztuje 24 kop. W ubiegłą niedzielę przewieziono 1000 osób w obie strony. Ładny park kolejowy w Herbach, muzyka, dobry i niedrogi bufet ściągają zarówno mieszkańców Częstochowy jak i ze strony pruskiej” / „Tydzień” nr 40 z 5 10 1902/ „Na kolei

*Herby – Częstochowa otwarty został d. 24 b. m. prawidłowy ruch osobowy i towarowy na odnogach: od st. Stradom do st. Hantke i od st. Gnaszyn do st. Łojki. Oprócz tego zacznie się prawidłowy ruch osobowy na odnodze od st. Ostrowy do st. Blachownia; prawidłowy ruch towarowy na tej odnodze trwa już od d. 24 sierpnia.* / Przemysłowo-Handlowy Kurier Sosnowiecki nr 48 z 15 listopada 1903 r/. W 1904 r. „Ministryjum komunikacyi w porozumieniu się z przedstawicielami kolei pruskich ostatecznie przygotowało projekt umowy pomiędzy Rosyją a Niemcami w celu połączenia kolei wązkotorowej Herby-Częstochowa: z szerokotorową lubliniecko-herbską linią. Techniczna trudność tego połączenia polega na tem, że tor szerokiej linii pruskiej będzie doprowadzony do stacji Herby linii tutejszej, a tor wązki Herby-Częstochowa będzie przedłużony do stacji Herby w linii pruskiej” / „Tydzień” nr 48 z 27.11.1904 r./

Po przełamaniu oporów petersburskiej biurokracji powstała linia łącząca ośrodek fabryczny z przejściem granicznym. Przejście w Herbach podniesiono do wyższej kategorii, wzmocniona tam została służba celna i graniczna. Transport osobowy i towarowy odbywał się kolejką elektryczną, podobną ówczesnym łódzkim tramwajom. Był pomysł by podobną linię tramwajową wybudować w Częstochowie dla usprawnienia przewozu osób. Dla rozwijającego się wielkiego przemysłu taka kolejka nie wystarczała. Koniecznym też było nie tylko połączenie z granicą pruską, lecz i nowe linie umożliwiające transport produktów w głąb imperium. W początkach XX w. takie wyroby częstochowskie jak worki jutowe, guziki, kapelusze, tapety, zabawki masowo wywożono do Rosji, zyskiwały zbyt nie tylko w zachodnich imperiach, ale i dalekowschodnim Władywostoku i Harbinie.

Jesienią 1900 r., gdy dopiero rozpoczęły się prace nad budową herbskiego połączenia, prasa poinformowała o nowej inicjatywie. Kapitał prywatny lokalnych ziemian i przedsiębiorców zamierzał inwestować w budowę kolei wązkotorowej łączącej Częstochowę z Kielcami i dalej z Buskiem-Zdrój i Sandomierzem. „Tydzień” pisał: „projektowana kolejka przechodziłaby guberniję piotrzkowską przez Mstów, Krasice, Knieję, św Annę, Ulesie i Koniecpol, oraz guberniję kielecką przez Chrzastów, Secemin, Czarncę, Włoszczowę, Nieznanowice, Kozłów, Małogoszcz, Chęciny. Zważywszy, że kolejka ta przechodziłaby przez gęsto zaludnione okolice, pozbawione dobrych komunikacyj, mając na drodze dwie krochmalnie, fabrykę żelaza, niedaleko cukrownię, duże obszary leśne i pokłady torfu – zdaje się, że miałyby wszelkie warunki powodzenia.”/ nr 44 z 4.11.1900 r/. Inicjatywa spotkała się z wsparciem opinii publicz-

nej, o czym świadczył list zamieszczony w piotrzkowskim czasopiśmie: „Jako mieszkający na tym trakcie, mam niejaki pojęcie o ruchu towarowym (a mianowicie: cukru, krochmalu i zboża), jaki obecnie, nawet z poza Włoszczowy przeciąga do Częstochowy. Nadto znaczne pokłady wybornego torfu, kamienia wapiennego i glinki, dotąd prawie zupełnie nie eksploatowane dla braku komunikacyi, dałyby koleje duże dochód, gdyż każdy właściciel wydobywałby skarby ukryte w ziemi lub na jej powierzchni /.../ dotychczasowe bowiem drogi nasze są w opłakanym stanie, a z wiosny i na jesieni, z przyczyny rodzaju gruntu, z ciężarem są nie do przebycia. Ruch osobowy byłby także nie mały/.../ Kolejka więc podjazdowa Kielce – Częstochowa ma wielką ekonomiczno-handlową i pasażerską przyszłość dla powiatów i miasteczek, przed które przechodzić będzie, a dla przedsiębiorców, którzy ją wybudują, kolosalne zyski przyniesie, tem więcej, że teren od Częstochowy do Kozłowa jest prawie równy, a przez to nie potrzebujący dużych kapitałów na roboty ziemne” / Tydzień nr 46 z 18.11.1900 r/.

W 1902 r. zarząd kolejki Częstochowa – Herby wystąpił do ministerstwa o zgodę na prace koncepcyjno-projektowe wydłużenia linii do Kielc. Pozwolenie takowe uzyskano w sierpniu 1903 r. Równocześnie tworzyły się inne inicjatywy, w tym kolei łączącej Częstochowę z miastem Końskie, obsługującą m.in. Mstów i cukrownie Silniczka pod Maluszynem. Pomysł ten w 1904 r. uległ weryfikacji. Nowa linia omijać miał Częstochowę, łącząc, najkrótszą drogą, komorę celną w Praszce w powiecie wieluńskim z miastem Końskie w gub. Radomskiej; długość jej planowano na 140 wiorst, przechodzić miała przez dobra Parzymiechy, miasteczka Działoszyn i Pajęczno, dobra Grzymalina Wola, Pytowice, Kocierzowy, Klizin, Przerąb, Korytno, Przedbórz, Bąkową Górę, Czermino, Rudę Malenicką do Końskich, gdzie połączyć się miała z linią Dęblin – Dąbrowa. Podobno zainteresowanie inwestycją wyrazili arystokraci: hr. Potocki, Lubomirscy, Ostrowscy, baron Kronenberg, Reszkowie i inni.

Tego typu inicjatywy nie mogły się przebić przez bariery biurokratyczne rosyjskiego państwa. W dodatku rozpoczęła się wojna z Japonią, a to narzuciło inne priorytety. Do idei połączenia Częstochowy z Kielcami powrócono po zakończeniu wojny i rewolucji. Decydowały o tym względy militarne, spodziewany konflikt Rosji z Niemcami wymuszał konieczność inwestowania w linie umożliwiające przerzut wojsk. Mimo tej, oczywistej konieczności, nowa kolej traktowana była jako przedsięwzięcie komercyjne realizowane przez kapitał prywatny. Zarząd kolei herbskiej w ramach przygotowań zainwestował w badania geologiczne, zostały one opubli-

kowane w broszurze napisanej Jana Lewińskiego, wydanej w języku polskim w 1912 r. W maju 1909 r. „Gazeta Kielecka” mogła donieść, że ostatnie przeszkody zostały pokonane, fundusze zebrane. Trasa wytyczona z Częstochowy prowadzić miała do Kielc najkrótszą drogą, liczącą 107 wiorst. Inżynierem odpowiedzialnym za inwestycję mianowano Władysława Starzę Jakubowskiego. Teren, przez który poprowadzono tory, był lekko pagórkowaty, tylko w Ludyni musiano przekopać się przez stromą górę. Na trasie wyznaczono stacje: Częstochowa, Olsztyn (dziś Kusieja), Złoty Potok (Julianka), Koniecpol, Żeliszawice, Włoszczowa, Ludynia, Małogoszcz, Piekoszów, Kielce towarowa, Kielce osobowa. Linia zaprojektowana została jako szerokotorowa i na taką, równocześnie, rozpoczęto przebudowę połączenia z Herbami.

W połowie 1910 r. „Kurier Zagłębia” donosił o trwających pracach. „Linja od Częstochowy do Złotego Potoku jest już ukończona. Budowę dworców stacyjnych między Kielcami a Częstochową prowadzi przedsiębiorstwo warszawskie. W tych dniach ukończony będzie budynek stacyjny w Koniecpolu. Od Kielc do Częstochowy ułożono już 25 wiorst linii szerokotorowej. Za trzy miesiące cała linja od Kielc do Częstochowy ma być zupełnie gotowa — a na 1 grudnia stanąć mają wszystkie budynki. Upewniają, że z końcem grudnia rozpocznie się ruch osobowy na kolei Herby-Kielce” / „Kurier Zagłębia” nr 168 z 22.06.1910 r/. I tak się stało. W 1911 r. formalnie nowa linia została oddana do użytku, po wybuchu wojny stając się, zgodnie z przewidywaniami rosyjskich strategów, jedną z najważniejszych arterii komunikacyjnych. Wpłynęła także na przyspieszenie rozwoju Kielc, w krajobraz tego miasta wojewódzkiego wpisując egzotyczną nazwę stacji: Kielce Herbskie.

Plany dalszego rozwoju częstochowskiego węzła kolejowego nie ograniczono do tranzytu wschód-zachód. W 1910 r., z inicjatywy przedsiębiorców rozpoczęto prace nad koncepcją drogi żelaznej Częstochowa – Wieluń – Sieradz. Inicjatywa ta oczekiwała dość długo na realizację, stała się początkiem budowy połączenia miasta z linią Śląsk – Porty, koleją Częstochowa – Siemkowice, oddaną tuż przed wybuchem II wojny światowej.

Dworzec, choćby najpiękniejszy i najnowocześniejszy, to tylko statyczny budynek. Jego funkcjonalność zależna jest od ruchu pociągów i przewozu pasażerów. Nie ma sensu wchodzić w dyskusję, co w Częstochowie było pierwsze, kura czy jajko... Czy rozwój przemysłu wpływał na rozwój tutejszego węzła kolejowego, czy odwrotnie – to połączenia kolejowe przyczyniły się do rozwoju fabryk. Ważne by pamiętać o tym związku i zadbać, by ktoś mógł czymś do naszego miasta dojechać. ■



# Czas pisania i czas organizowania

Z BARBARĄ JANAS-DUDEK i JACKIEM DUDKIEM rozmawia WERONIKA GÓRSKA

**B**arbara Janas-Dudek i Jacek Dudek – poeci, animatorzy kultury, organizatorzy Portu Poetyckiego oraz chorzowskich konkursów poetyckich (imienia Barbary Dziekańskiej, imienia Marka Hłaski oraz „Okno”), właściciele Macondo – Pensjonatu i Domu Pracy Twórczej, Laureaci Nagrody Prezydenta Chorzowa w dziedzinie upowszechniania kultury. Barbara Janas-Dudek jest autorką książek poetyckich: „Oczy na uwięzi”, „Alfabet lęku”, „Zakład Pracy Chronionej” (wyróżnionej przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek), „Za wczesnie na rytuały”, „Mamidło” oraz monodramu „Zakład Pracy Chronionej”. Jacek Dudek wydał książki poetyckie: „Biała ryba”, „Homo Silesius”, „Imiona Tkanek”.

**Weronika Górską:** We wrześniu odbyła się dwudziesta pierwsza edycja Portu Poetyckiego. Przez ten czas z kameralnej imprezy, organizowanej co kilka miesięcy, rozrósł się on w ogólnopolski festiwal, mający miejsce raz w roku. Poza prezentacjami wierszy Port obejmuje targi książki, warsztaty literackie, koncerty, wernisaże. Zmieniliście również lokalizację z tawerny Stary Port (obecnie Kraken) na Szttygarkę. Czy od początku planowaliście taki kierunek rozwoju?

**Jacek Dudek:** Absolutnie nie! Impreza jednak z edycji na edycję się rozrastała, przyjeżdżało coraz więcej osób, również spoza Śląska. Przy czterdziestu ludzi zaczęło się robić ciasno w Starym Porcie. W międzyczasie zmienił się właściciel i zaczął krzywo patrzeć na wydarzenie, które wyłącza lokal z użytku, a nie generuje dochodów, bo wiadomo, że części poetów się nie przelewa i potrafią spędzić cały wieczór przy jednym piwie.

**Barbara Janas-Dudek:** I wtedy Jacek zaczął rozglądać się za innym miejscem, chętnym, by nas gościć, aż w końcu trafił do Szttygarki. Ogromna przestrzeń, jaką oferuje ten kompleks, pozwolił nam rozwinąć skrzydła i zorganizować wiele wydarzeń towarzyszących.

**W.G.:** Czego nauczyła Was organizacja Portu?

**B.J.-D.:** (*śmiech*) Tego, że poeci bywają... Hm... Specyficzni. Zachwycająco wrażliwi, a zarazem męcząco nadwrażliwi. Poza tym tego, że nawet mając pełnych dobrych chęci pomocników, należy wszystkiego dopilnować samemu i być gotowym na dodatkową pracę, bo ich wizja może różnić się od naszej. Poza tym zdarzają się przypadki losowe, choroby,

niedyspozycje, które wyłączają pomocników z prac organizacyjnych.

**W.G.:** Czy Nagroda Prezydenta Miasta Chorzowa stanowi dla Was motywację do podejmowania po raz kolejny tego ogromnego, organizacyjnego trudu?

**J.D.:** To miłe, że nasze starania zostały docenione, chociaż byłoby jeszcze miłej, gdyby stało się to przed dwudziestą edycją. Miło też, że po tej nagrodzie zwiększyło się dofinansowanie imprezy z Urzędu Miasta.

Naszą motywacją nie są jednak wyróżnienia, ale ludzie, którzy co roku wracają na Port. Podczas trzymiesięcznych przygotowań, załatwiania spraw organizacyjnych i promocyjnych, czujemy się bardzo zmęczeni i sfrustrowani. Co roku proponuję Basi: „Niech to będzie ostatnia edycja, zakończymy Port w jego apogeum i nareszcie odpoczniemy”.

**B.J.-D.:** A ja co roku wściekam się i zadaję sobie pytanie, po co mi to było? Ale kiedy impreza się udaje, to negatywne emocje ustępują pozytywnym. Zimą odpoczywam, nabieram dystansu, a wiosną, gdy uczestnicy dopytują, kiedy kolejna edycja, dochodzę do wniosku, że zorganizuję ją przynajmniej jeszcze jeden raz.

**W.G.:** W Domu Pracy Twórczej Macondo organizujecie kameralne spotkania poetyckie. Czy są one powrotem do korzeni Portu Poetyckiego?

**B.J.-D.:** Zdecydowanie tak! W Macondo znajdujemy to, czego nam brakuje w Porcie, odkąd stał się wielkim festiwalem – intymne spotkanie z tekstem i autorem, rozmowy po świt o sztuce i życiu w małym, doborowym gronie, bez konieczności skupiania uwagi na sprawach organizacyjnych. Cieszymy się, że bywają tutaj te same osoby, co na Porcie, a także, że pojawiają się nowe. Spotkania w Macondo nigdy się nie rozrosną, bo nie ma ku temu warunków – ani finansowych, ani noclegowych, ani dojazdowych, w końcu to dom pod lasem w tym tkwi urok tego miejsca.

**J.D.:** Zarówno w Macondo, jak i na Porcie Poetyckim, obserwujemy piękną rzecz – integrację środowisk twórczych. Początkujący autorzy zyskują możliwość prezentacji oraz konfrontacji z wierszami i opiniami bardziej



doświadczonych kolegów. Spotykają też krytyków oraz wydawców, którzy pomagają im rozwinąć skrzydła. Kontakt face to face pomaga zapamiętać poetę pośród wielu innych, nadsyłających wiersze do wydawnictw.

**W.G.:** W jaki sposób łączycie animację kultury z własnym pisaniem? Czy te dwie aktywności wzajemnie się uzupełniają, czy raczej konkurują?

**B.J.-D.:** Każda z nich wymaga zupełnie odmiennych cech osobowości i kompetencji. Nigdy ich nie łączę. Dla mnie istnieje czas organizacji Portu i spotkań w Macondo, czas na pracę zarobkową, życie rodzinne i towarzyskie oraz czas na literaturę. Kiedyś byłam w stanie pisać między praniem a odkurzaniem, olśniewające myśli spadały na mnie jedna za drugą i musiałam natychmiast je zapisać. Teraz czuję się znacznie bardziej przebudzowana, a muza bywa kapryśna, przychodzi do mnie tylko w ciszy i spokoju. Czasami, kiedy jadę do pracy autem, czasami podczas urlopu czy w długie zimowe wieczory, kiedy ani nie organizuję imprez, ani nie mam zbyt wiele pracy w domu i ogrodzie. Im bardziej jestem odcytana, tym bardziej dostrzegam też niedostatki swojego języka, który rzadko jest w stanie wyrazić dokładnie to, co czuję i myślę. Nie mam wielkich ambicji literackich, ale zależy mi na utrwaleniu tego, co widzę i w czym uczestniczę, a co wydaje mi się ważne.

**J.D.:** Ja najchętniej tworzę zimą. Musi opaść ze mnie cała znakomita poezja, którą słyszę podczas letnich spotkań w Macondo i podczas Portu, żebym mógł pisać sobą, a nie innym poetą.

**W.G.:** Dziękuję za rozmowę, życząc Wam wiele pozytywnej energii i sukcesów!

# Literatura zawsze wyprzedza nas o krok

RADOSŁAW KOBIERSKI

Drugiego października w siedzibie Miasta Ogrodów odbyło się kolejne już spotkanie w ramach Śląskiej Sceny Literackiej. Chciałbym przypomnieć, że do tej pory prowadzący projekt zaprezentowali publiczności twórczość Anouk Herman, Weroniki Murek, Katarzyny Zwolskiej-Płusy oraz Marzeny Wiczowskiej – pisarek i poetek z różnych literackich konstelacji, pokoleń i tradycji, mieszkających na Śląsku i w Zagłębiu, w mniejszym lub większym stopniu odnoszących się do dziejów i geografii regionu, a czasem wykraczających poza lokalność. Punktem, który ma łączyć ze sobą różne biografie i strategie literackie, są metamorfoza i transgresja. Oba te pojęcia i ich praktykowanie są ściśle powiązane, naszym zdaniem, z tożsamością, a ściślej rzecz biorąc – z płynnością tożsamości. Ta dotyczy zarówno zjawisk w makro jak i mikroskali, zarówno lokalności i regionu jak i indywidualnej egzystencji.

W ostatniej dyskusji i prezentacji wzięli udział: Anna Cieplak, pisarka i aktywistka społeczna, autorka powieści „Ma być czysto”, która w 2016 roku zgarnęła niemałą pulę nagród i nominacji (Nagroda Konrada za debiut, Nagroda Gombrowicza, nominacje m.in. do Paszportów Polityki i Nagrody Literackiej Nike), „Lata powyżej zera” (Znak 2017, Paszport Polityki za 2017), „Lekki bagaż” (Znak 2019) czy powieści mającej premierę we wrześniu 2023 „Ciało huty” (Wydawnictwo Literackie) oraz Stanisław Jaglarz, poeta debiutujący w tym roku w serii *Ut Pictura Bibliotheca* Biblioteki Śląskiej tomikiem „Gościć sójki” – nominowanym już do prestiżowych nagród poetyckich, wrocławskiego Silesiusa i Nagrody im Wisławy Szymborskiej.

Anna Cieplak w swojej prozie zawsze była blisko problemów współczesnych. Społeczny aktywizm (na wielu polach), praca z młodzieżą, zaangażowanie w sprawy lokalne, praca z osobami wykluczonymi

społecznie pomogły jej w tym, co w pracy literackiej jest najważniejsze – w stworzeniu wiarygodnych portretów psychologicznych, w rzetelnym opisanu zjawisk społecznych, socjologicznych, ale również w empatii wobec wykluczonych i najsłabszych – własnych bohaterów. Wiem, że „empatia” nie bardzo pasuje do kategorii krytycznoliterackich, ale przypominijmy sobie, że jeszcze do niedawna nikt – przynajmniej do wystąpienia noblowskiego Olgi Tokarczuk – nie podejrzewał istnienia „czułego narratora”. Co się nie wydarza, a nie zostaje opowiedziane, przestaje istnieć i umiera – pisze Tokarczuk w słynnym eseju – Czyta się, żeby przeżywać. Ludzie, którzy czytają [...] mają szerszą świadomość, żyli bowiem żywotami innych ludzi, choćby na chwilę. Ale przede wszystkim – pisze się, żeby przeżywać, ludzie którzy piszą, mają szerszą świadomość.

Anna Cieplak jest pisarką, którą zajmuje nie tylko indywidualny wymiar egzystencji – a oddaje go ona z całym skomplikowaniem i pogmatwaniem, na jakie jest skazany – ale również wymiar zbiorowy, pokoleniowy. Przygląda się komunikacji międzypokoleniowej, diagnozuje ją – zarówno jako stan permanentnego kryzysu jak i w sensie transgresywnym – bo przecież bohaterowie, a zwłaszcza bohaterki jej powieści próbują się porozumieć (zrozumieć), próbują sobie podać ręce nad przepaścią. W „Ciele huty”, powieści wielowątkowej, opisującej transformację w sensie dosłownym i symbolicznym, epickiej – bo obejmującej ostatnie 70 lat naszej historii widać to zjawisko i problem bardzo wyraźnie, „Ciało huty” również bardzo śmiało wchodzi na teren „ekologii”, zderza ze sobą idee przemysłowego postępu, w awansu i niewypowiedziane (markowane, przeczuwane) tęsknoty za środowiskiem naturalnym, które zostało zniszczone – a jego formy przetrwalnikowe (szczepki, sadzonki) – wędrują przez deka-

dy i pokolenia (i karty tej powieści), żeby zasiedlić miejsca utracone. Jest to już jakiś punkt wyjścia do jednej z najważniejszych dziś – śmiem tak twierdzić – gałęzi humanistyki czyli ekopoetyki.

I tu, proszę państwa, wkracza nasz drugi gość, Stanisław Jaglarz, ze swoim poetyckim projektem (proszę wybaczyć termin), który nie ma precedensu w historii literatury. Owszem, można doszukać się w „Gościć sójki” różnych wpływów – od barokowych „Uwag” X. Baki, przez poezję młodopolską, Leśmiana po Rymkiewicza a nawet Paula Celana, odnaleźć wiele dzieł biegnących równoległe („Tlen” Julii Fiedorczuk, „Matecznik” Małgorzaty Lebdy, ekopoetyckich wierszy Ilony Witkowskiej czy Konrada Góry), ale w takim zamyśle, w którym następuje wycofanie podmiotu, oddanie głosu tym, którzy głosu nie mają (roślinom, zwierzętom, zjawiskom), zmiana kierunku antropocentrycznego na fizjocentryczny, zamyśle, w którym *vanitas* nie jest ukierunkowany na religijną nirwanę, lecz zerwaniem z tą iluzją i przywróceniem człowiekowi miejsca w szeregu biologicznym (życia i śmierci), takiej poezji jeszcze nie było. Oczywiście – wiemy to doskonale – taki projekt jest niemożliwy. Gdybyśmy rzeczywiście zamierzali oddać głos naturze, radykalnie, poezja musiałaby zacząć zanikać (tak jak to się dzieje u Celana czy Krynickiego) i w końcu stać się zupełnym milczeniem.

Spróbujmy sobie teraz odpowiedzieć na pytanie (niezadane w końcu podczas spotkania), w którym kierunku może pójść literatura tworzona na Śląsku lub mniej lub bardziej związana z regionem? Wiemy już, że towarzyszy przebudowie symbolicznej i społecznej, próbuje opowiedzieć tę przedziwną i oczekiwaną transformację, nadzieje z nią związane i niebezpieczeństwa. Może literatura – nie powinno nas to w końcu dziwić – wie coś, czego jeszcze nie wiemy i wyprzedza nas o krok?

wrona ma czarny ogon dziś jest ucieczką piaskiem na który opada  
jaskółki jeszcze nie zlepiły gniazda stracone piskiem pustulek  
szczur tonął w poidle owcy i nie upiła mu śmierci  
*lecz czyja jest wina*  
świerszcze drążą otwory na ich ustnikach zbierają ślinę dolin  
która przewodzi dźwięk  
noc ociera usta wypluwa pancerze  
a kosteczki myszy szeleszczą w sowich piórach

----

wtedy jest poderwanie ptaków złączenie granic zbłąkane ślepe  
chodzenie polem wchodzenie w dym odchodzenie zwierząt  
krążenie okiem które u kresu boli a potem jest berłem  
jeszcze trudno spojrzeć w twarz i nie opadły piaski  
wtedy suszona trawa żelazne pręty kucanie w słońcu  
skuleni w mchu rozdrapują grzybnię już nic nie urosnie  
a ugniecione runo stanie się gniazdem

----

jest w oku zwierząt przeniesienie światła  
kierunek padania troską nagłej śmierci  
księżyc już podjął wiązki wysupłał z nich czaszkę  
łagodnie złożoną w seledynach sadu  
są takie źródła przewodzenia o których wiesz  
tętno ma barwę dolin a liście ukrwione dłonią  
którymi obejmują ramię  
odwrot jest odzyskaniem ze wszystkich stron schodzą się luny  
i stają się gałką nie do przekręcenia  
plamką na lśniącej kuli łasic  
co sama jest jednym otwarciem na oścież

---

panie znasz moje drogi bez tych kilku ścieżek jestem nic oddałem krew  
i ucieszone śniegiem oczy ciemniejszego niż ja nie ma we wsi

eternit płonie tak cicho ale głośnie są trzaski kości  
jest wigilia o tam grupa ludzi pochyla się nad bogiem

mówisz *balsam* i głaszczesz lekkie ciało mówisz *potem* i odwracasz głowę  
tam w śniegu leży rozciągnięty w skoku zając ściągnięty śrutem rozwarty w śmierci

ach gdybym umiał grać wziąłbym go jak harmonię a on ożyłby w moich rękach  
i zatańczył melodię ale jestem cichy najcichszy we wsi i płacząc w rękaw

---

jest przechodzenie przez ogród i nie nazwiesz go innymi słowami  
*to umieranie* bo jest próchno ogrodzeń i pnące się wino  
są truchła zwierząt wykopane przez psy myszy wysychają w słońcu  
ablucje much pieszczotliwe ocieranie oczu jakby widziały znów i znów  
w każdym odbiciu oka na końcu jest wiadro *ach jak dawno cię tu nie było*  
tak kiedy cię tutaj nie było topił się w nim ptak drobniejszy niż twoje serce  
skurczone teraz nagle *jeśli nie może ominąć mnie ten kielich* bo nie umiem pływać  
inaczej niż jest to zapisane inaczej niż w mowie deszczu

Przyszedłbym do Ciebie kiedyś przebrany za piękną kobietę, muszę tylko zgolić brodę. Poznałbyś mnie? Przecież mam na sobie cekinową suknię babci, dłonie, które układają się tak jak je nazywasz „paluszki do komputera”, na głowie coś innego niż te włosy, które lubisz. Poznałbyś? Pamiętasz moje imię? To już nie Konik. A jednocześnie on. Nie bój się, bo jestem taki jak ty... niestety. Ale może heteroseksualność nie kłóci się z biromantycznością? Czasami facet zachwyca poza kutasem i czasem. Poza kosmosem. Ty tak mnie zachwycasz...

Heraklit mówił, że nie istnieje punkt a jedynie ruch. Noe poszarpał synem. Dobrze zrobił. Nigdy nie uwierzyłbym, czym jest wychowanie, gdyby nie ten dzień, w którym ojciec wystawił mnie za drzwi i powiedział „Idź ochłonać”. Szwendałem się wtedy, piętnastoletni i myślałem jak zacząć. Sam, w nocy, w nowej rzeczywistości, konkretny pośród świata i murów, które wałęsają się na mnie, zamiast budować mój nowy wspaniały świat. Wróciłem ze strachu i spojrziałem na drzwi klatki. Wtedy spotkałem ojca. Ocierał mną o cegły w swoim strachu. Obaj się baliśmy. Trafiła się kobieta, która krzyknęła coś o policji. Zawsze zdarzy się pewna jagoda w dżungli. Ale dżungla pochłania. Niesamowicie kocha. I kocha się ją. Bez przewodnika trudno się błędzi. Większość nie wraca. Czasem ku rzece prowadzi matka azymut.

Gdyby przyjąć od biedy niszowe jak sushi porównanie, że życie jest jak ruletka, trzeba by opisać je na czerwono i czarno. Podobnie można namalować mamę (matka kojarzy się z siekierą). Ona mieniłaby się na czarno i białą, podobnie jak szachy. W relacji syna z mamą te barwne strony są zmienne w ciągu minuty, sekundy, emocji. Kocham śpiewy do białego rana, blade światło lampy gdy płacemy nad losem bohaterów filmów, gotowanie i ziola na białomarmurowym blacie. Czarne jest pukanie do drzwi w ciągu nocy, gdy cudza fabuła stara się zastąpić trochę jutra. Śmierdzące fusy kawy w ekspresie też pyłą kuchnię, blat i śmiech. Ta ciągła opieka nad dzieckiem i „niedzieckiem” chłozcze biczem wolność. Łatwo usnąć gdy fala wciąż na wietrze.

W starej gęstwinie obok pradziada rośnie babka, z babki rośnie ojciec, obok niego córka. Dążą w swoje strony. Wszystkie kierunki trzyma jeden korzeń. Każde kolejne rozszerza jego pędy. Światło gwiazdy w ciemności. Im wyżej tym dziwniej. Pofałdowana powierzchnia i prosty krzywy kształt, coś pomiędzy i żadne w pełni. Najgorzej z koroną, która ciągle chce więcej. Słabe jest mokre i podatne. Znośnie jeden cykl. I my wszyscy w tym wszystkim i my niczym w tym niczym.

Polacy otrząsnęli się z rodzinnej tragedii braterskim gestem i znudzeniem mediów. Chociaż bez ubezpieczenia, ale za półtora stawki. W maju 2023 na maturze pojawiło się *Przedwiośnie* Żeromskiego. Piękna polska lektura o tragediach w Związku Radzieckim wszystkich nie radzieckich. O dziesiątkach narodów i domach, które śnią koszmary o rozstrzelaniu. Gdy doczekają wagonów starszka może nieść piękną dziewczynę bez nóg. „Gdzieś są twoje szklane domy?...”

Ściągamy okulary, by nie zachlapały ich łzy. Gówniarze myślą, że się zatracają, a to tylko zagubienie, albo samobójstwo. Zatraca się latami. Zatrącenie widać na twarzy. Dlatego tak rzadko zdejmujemy okulary. Ukształtowanie, dobrze, ale terenu, polodowcowe. Jesteśmy trochę nieprzystosowani. Ta szczególna soczewka rozprasza nasze barwy. Jedna potrzeba wobec różnych miejsc, kobiet, myśli. Tajemnica kąta padania.

Policjant, który ma córkę z byłego małżeństwa i chce rozwiązać coraz cięższe sprawy, ale trupy zostają tylko tam, w głowie. Budowlaniec gotowy zbudować wszystko, w domu i za granicą, którego nikt w pasji nie rozumie. A wystarczyło zapytać i wziąć czasem do kina. Gdy ciężko wziąć czasem jej stronę. Gdy jasno wziąć na spacer. Gdy wieczór wziąć w ramiona. Gdy traumy i nalogi, suki i męskości, wziąć siebie, kurwa, w garść. Zawsze możemy być sami. To wszystko w nas i z nami.

Gdzieś w prawdziwej przyjaźni istnieje pakt. Połączenie, choćby nieświadome, spaja szlaki i plany. Lata rozłąki, różne drogi i pojęcia niosą wspólny ideał. Ręka w rękę. Nawet los odrzędwia trochę krzywy klucz od ogrodu, w którym razem będą śpiewać w rytm.

„Oddycham powietrzem. Przytuliłem rodziców. Przyznałem się do błędu. Wzruszyłem się, ale nie miałem przy sobie chusteczki, więc szedłem tak z tym cztery przystanki, bo nie stać mnie na samochód. Kupiłem keczup z pomidorów”. Powiedziałem ten ciąg truizmów przy znajomych, którzy mieli z tego ubaw, podobny jak przy stand upie. Jeden, który studiuje politologię nawet to nagrywał. Drugi zapisywał. Pisarz. Następnego dnia powiedział mi, że dawno nie słyszał tylu szczerych słów.

Na styku nieba i ziemi, mówią niektórzy. Niebios uniesienie? Spode mnie wyziera? Czy może spada kropla po kropli, a Zbawiony w strachu ich unika? Może nie przed tym ten strach? Może podział nie przedstawia styku, tylko wnętrze, które kielkuje tak ważnym dla mężczyzny dzieciństwem. Przykładowo tydzień przed Pierwszą Komunią Świętą dostrzegł pierwszy raz jak ojciec dotkliwie leje mamę. Nie była mu dłużna, ale nie da się pominąć biologii patriarchy. Wyskoczył wtedy goły z kąpielni, z prysznicą pełnego błękitnych kafelek i w pianie wołał na korytarzu pomocy. Wołał w pustą ziemię, aż ojciec nie zgarnął go ramieniem do mieszkania. W czasie święta mama miała zamaskowane makijażem podbite oko. Żuła gumę, symbol luzu. Nikt nie poznał. Syn był na styku. Chyba wszystkiego: nieba, ziemi, rodziny.

Prapradziadek Piotr kopał ziemiankę w czasie wojny. Wzruszenie i czułość. Wchodźcie, zawsze smalec i chleb się znajdzie. Chyba był rodzinną legendą. Do dziś jego zegar idzie co do minuty. Podobno wyniesiony z płonącego domu. Urządzili niezłe wesele. Syn Stanisław był przywódcą nawet w urzędach, daleko poza polami. Ile kosztuje przeniesienie wnuka do rezerwy? Chory kręgosłup nie miał tu nic do rzeczy. Dziadkowie kochają. Witek też uśmiechał się na mój widok. Był już słaby, o lasce, ale odwoził wnusia przed przedszkolem. Był nawet na Komunii w ostatnich chwilach i o ostatnich siłach. Dla wnuka zjadł zniechęconą oliwkę. Nie mówię o setkach, które go zęgały, bo większość płakała nad żalem jedyne wnuka. Przez okno wdarł się jasnej maści gołąb, który chciał podnieść nasze głowy. Tak jakby był w nim dziadek, zaraźliwie wesoły.

Jakie powieści dystopijne lubisz? Jesienią, kiedy w parku Kościuszki liście przypominają kompost, ciężko stwierdzić. Gdyby śmierdziały alkoholem pewnie nie pokochałabyś. W sumie czy nie znalazłaś weneckiego lustra? Kobiety tajemniczo dobierają ukochanych podobnych do swoich ojców. Kłątwa, kochanie? Żółwica rodzi na plaży i porzuca. Po co skorupa skoro wybiera idealnie? Człowiek bywa bardziej romantyczny. Przyjemnie gdy świtająca natura pokonuje bunt. Czego można nauczyć się z własnego sosu?

Czy wiecie, zamierzchnie *ubit' masterov*, że to słowa plastikowego Jezusa? Indianie znali angielski, ale w barze wąsaty polak musiał zacytować wobec nich „no dogs, no indians!”. Podniesienie pięści daje socjalizm i śmierć posągom, których części stanowiły dawne pałace. Dziś duchy podpierają narzędzia w laubach i wychodku, zbudowanym z wapna i kułaka. Dzisiaj kiedy mówimy prawie tak samo, burzymy mosty. A gdzie zaprawa? Całowałem szwagierkę Ukrainkę, a jej męża całowała moja żona. Widzimy się, Kochamy się, jesteśmy jednością.

Czuję się dobrze. Trochę podszyte pewną karnawałową grą. Tylko nic nie odsłaniaj. Wzniesiony kieliszek ukryje twoje nałogi. Znalezienie modnego męża i sesje zdjęciowe ukryją przrzuty do twarzy. Maską jest piękna tylko dla badaczy sobowtórów. W ciekawy sposób wpadamy w sidła złego i dobrego snu. Niestety rano dłoń jest pusta. Wtedy czas zedrzeć gardło, kopnąć w co popadnie, z nadzieją, że działa. Niech te kopnięcia pozwolą marzyć. Do dziś widzę potraktowane kopniakiem drzwi szafki podczas lekcji mojego ulubionego etyka poety. Czuję się dobrze.

Piękna, młoda Monica Bellucci kryjąca się pod parasolem legendarnego już wtedy Alaina Delona. Widoczny jest ten parasol. Metafora parasola. Czuję ją, bo zawsze gdzieś ją czułem. Kontroluję siebie i to mnie otacza, osłaniam się przed tym, co mnie odstrasza. Jestem tym kim chcę, by mnie widziano, tańczącym w deszczu nad brukami. Ale jestem dzieckiem, które wychowano, pijące wódki ojców i tworzące nalewki swoim synom, by nie dać octu wnukom z potomkami. Daję im tylko moje falowanie.

Niektórzy ludzie są potężni. Potrafią mówić, tak naprawdę mówić. Albo mówić, by ich słuchano. Ludzie, którzy potrafią osiągać. Ludzie mający moc. Mający władzę. W pięści. Whisky szkodzi ich Beksińskim, aromatem, laserunkom, nie świecą. Są też z chałupy fajne chopy, którzy lubią larmo przed oknem. Albo nie lubią. Idą nad Rawę i czytają Kutza. Nie wiedzą co czują, kim się czują. Ale czują. Przeszkadza im murek zrujnowany przez kiboli.

Skurwysyn wywróżył te przepite pralki. Każda dobra myśl przychodzi, kiedy ręce są w tym, czy innym zlewie, nie do papieru.

Tym razem mokra ryza nie spłonie. Ciężko pobrudzić ją czymś bez znaczenia. Wsiąka wszystko. Coś pęka i wylewa na kilka przestrzemi. Trzeba by na kredyt coś nowego albo podobnego. Przyjaciel pisarz może coś pożyczyć.

Jeśli chlałeś dostatecznie dużo, by na starość dostać Parkinsona to znaczy, że możesz nazwać się artystą delirkiem. Pilch już zbiera na pralkę dla Osbourne'a i Claptona. Poprzednia Fala oskarża mnie o plagiat. Mistrz *Żółtego szalika* też jakby gładził swoje mieszane włókna. I walą czymś zamiast pięści w coś zamiast moich drzwi. Stara jamniczka i tak szczeka, mnie też serce wali, chociaż mówią, że mam tam chuja. Wpuściłem tylko Izabelę Trojanowską, bo wie *Wszystko czego dziś chcę*.

W nocy, po kłótni z kobietą lub bez, po bojaźliwym dotknięciu palcami chłodnego naczynia, zaczyna otwierać się półtora wiata. Taka mrowiąca zaciągająca grawitacja, zwłaszcza na rowerze, kiedy ściąga w kierunku drogiego zegarka. Wtedy otwiera się w nabłonku uczuć. Można wdziac takie szaty jak *rympał* i spróbować i spróbować szafranu. Może zaprowadzi do szczęścia.

Przyjmijmy, że jest teraz zima i pobliskie jezioro skuł gruby, ale przezroczyły lód. Szyba, pryzmat, lustro. Oko i światło, postać i obraz. Dziewczyna w oczach męża podobna jest do Belli, w której sama widzi mętny воск. W oczach baby nawet Napoleon bliżej ma do małpy. Piękna i przystojny to karykatury, surowe jest smaczne a wino wytrawne. Królowa jest życia a wyspa miłości. Warszawa jest stara a w niej Władza chce czynić wszystkich równymi.

Niesamowite jak podróże mogą odbywać się w jednym miejscu. Sanatorium. Spodziewałem się, że każdy kamień będzie tam omśzały. Są ławki, na których każdy śmieje się inaczej. Jest palarnia, której linii nie można przekroczyć. Są tacy co by mogli kupić pół miasta i tacy, co nie mają dokąd wrócić. Są pozoranci z przymusu. I są demony. Wewnątrz znakomitych ludzi. Ale szkliste przezroczyte oczy mówią. Każdy pije dużo kawy. Nie dziwi, że połowa patrzy w dół, paląc papierosy. Niech pali. Tutaj każdy pali. Przekroczenie granicy to wypuszczanie dymu ku niebu. ■



# Ocalić powstańcze groby

Z JANEM KWAŚNIEWICZEM rozmawia PIOTR SKOWRONEK

**„Powstańcy to wiara, nadzieja i cud”. Ocalmy groby Powstańców Śląskich od zapomnienia! Z takim przesłaniem zwracacie się jako IPN z prośbą o przekazanie informacji o grobach powstańców śląskich. Kto był inicjatorem tego projektu?**

Pomysł akcji powstał na kanwie prowadzonych przeze mnie wizytacji miejsc pamięci narodowej w ramach obowiązkowych wykonywanych w Oddziałowym Biurze Upamiętnienia Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach. W ich trakcie zwróciłem uwagę na stan zachowania grobów powstańców śląskich. Temat wydał mi się szczególnie istotny w kontekście prowadzonej przez OBUWiM Katowice w roku 2018 analizy przestrzeni upamiętnienia powstańców śląskich i poszukiwania sposobu na włączenie się w rocznicowe obchody. Zainspirował mnie do przygotowania akcji ewidencjonowania i ratowania grobów powstańców śląskich. Przygotowany przeze mnie projekt został zaakceptowany przez dyrektora Oddziału IPN w Katowicach dr. Andrzeja Sznajdera, który udzielił dużego wsparcia w trakcie realizacji inicjatywy. Realizacja projektu nie byłaby jednak możliwa, gdyby nie zespół ludzi pracujących w OBUWiM Katowice, a w szczególności p. Stanisława Twardocha oraz p. Danuty Mikoda.

Pracę rozpoczęto od analizy Ewidencji Miejsc Pamięci Narodowej Województwa Śląskiego, która była wcześniej prowadzona przez Śląski Urząd Wojewódzki. W roku 2016 roku rozwiązana została Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a zadania związane z miejscami pamięci zostały przypisane do IPN. EMP WŚ to wykaz miejsc pamięci, który zawiera: groby, groby wojenne, pomniki, tablice, czasem dęby pamięci. Są one zewidencjonowane z zachowaniem podziału administracyjnego województwa śląskiego na gminy i miejscowości. Każdy z tych obiektów jest krótko opisany na podstawie karty ewidencyjnej miejsca pamięci narodowej. Karty są zakładane przez poszczególne samorządy i takie działanie jest równoznaczne za uznanie danego miejsca lub obiektu za lokalne miejsce pamięci narodowej. Analiza bazy przyniosła zaskakujące wnioski. Liczba znanych grobów powstańczych okazała się być mizerna w zestawieniu z liczbą około 60 tys. osób biorących udział w powstaniach. Nawet zakładając, że na terenie naszego województwa powinna spoczywać tylko część powstańców, to jednak należy się spodziewać na terenie naszego województwa kilkudziesięciu tysięcy grobów. Tymczasem we wspomnianej ewidencji znajdziemy 58 zbiorowych grobów wojennych w 35 miejscowościach i 100 indywidualnych grobów w 26 miejscowościach.

Mówiąc o grobach powstańczych trzeba wyróżnić kilka ich kategorii wynikających z funkcjonujących w Polsce aktów prawnych. Groby wojenne to te, w których są pochowani powstańcy polegli w ramach działań wojennych, więc liczby, które przytoczyłem dotyczą osób, które poległy w czasie powstań, a ich groby się zachowały i są w rejestrze prowadzonym w ciągu dalszym przez wojewodę. Idąc dalej tropem grobów wojennych, bo to jest jedna z ważniejszych kategorii, trzeba pamiętać, że nowe groby wojenne powstańcze powstały w czasie II wojny światowej. Niemcy wkraczając w 1939 roku do Polski mieli przygotowane listy proskrypcyjne i na nich byli między innymi powstańcy śląscy. Wielu z nich padło ofiarą egzekucji albo trafiło do obozów koncentracyjnych, czy do ciężkich więzień. Część z nich wzięła udział w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku. Wśród mogił, które się zachowały z tego okresu jest 11 grobów zbiorowych w 9 miejscowościach i 3 indywidualne w 3 miejscowościach. Drugą kategorią grobów, które znajdują się w tej ewidencji są groby, które samorządy uznały za szczególnie ważne dla swojej historii i tożsamości i objęły je ochroną, mimo że z przepisów sensu stricto nie wynikały takie obowiązki. Kategoria ta obejmuje 29 grobów w 9 miejscowościach. Reasumując. Dane, które przytoczyłem, mówią o liczbie poniżej 300 grobów, która w zestawieniu z 60 tys. wypadła bardzo błado. Oczywiście, trzeba założyć, że w niektórych grobach zbiorowych spoczywa więcej osób, ale nawet, jeżeli to uwzględnimy, to dojdziemy zaledwie do kilku procent tej liczby grobów, których powinniśmy szukać.

**Wynikałoby z tego, że najwięcej jest grobów indywidualnych nieoznaczonych?**

Taka hipoteza wydaje się najbardziej prawdopodobna. Są to zazwyczaj indywidualne groby rodzinne. Na niektórych zapewne znajdziemy informację o udziale w powstaniach, jednak nie przekłada się to na dostępne ewidencje, jednak będzie to niewielki procent.

**Chyba że o owo oznaczenie zadbała rodzina zmarłego, umieszczając informację, że spoczywa tam powstańca śląski?**

Tak i to właśnie stało się punktem zaczepienia dla naszej instytucji. Depozytariuszami pamięci o uczestnikach powstań są bowiem rodziny, znajomi czasem sąsiedzi. Założyliśmy, że dotarcie do nich będzie kluczowe dla ustalenia nieznanych dotąd miejsc pochówku. Postanowiliśmy więc wystąpić z apelem do mieszkańców naszego województwa. Ukażał się on na stronach internetowych IPN-u, na łamach „Gościa Niedzielnego”, „Dziennika Zachodniego”, był emitowany przez TVP Katowice, Polskie Radio Katowice czy Radio



EM, wyświetlany w pojazdach Tramwajów Śląskich S.A. Nawiązaliśmy również współpracę z diecezjami – zwróciliśmy się do biskupów diecezji katowickiej, opolskiej, sosnowieckiej i gliwickiej z prośbą, aby komunikat o poszukiwaniu grobów przez IPN był ogłaszany w kościele. We wszystkich powyższych kanałach komunikacyjnych znajdowała się informacja, aby korzystać z formularzy, które znajdują się na naszej stronie internetowej. Na niej zamieściliśmy także wykaz pozyskany z Urzędu Wojewódzkiego, co miało zapobiec dublowaniu się grobów. W odpowiedzi zaczęły spływać do nas zgłoszenia.

**Jaki był odzew?**

Odzew był spory i jest nadal, bo akcja wciąż trwa. Do tej pory wpłynęło około 300 zgłoszeń, ale codziennie wpływają nowe. Trzeba pamiętać, że nasza akcja przypadła także na czas pandemii, która w pewien sposób wyciszyła aktywność społeczną i na pewno przeszkodziła w przekazywaniu informacji.

**Dlaczego pamięć o powstańcach i miejscach ich pochówków jest ważna?**

Celem projektu jest odnalezienie jak większej liczby mogił powstańczych, które są wciąż na śląskich cmentarzach, zresztą nie tylko na śląskich. Opracowanie możliwie pełnej ewidencji i przywrócenie pamięci o tych bohaterach lokalnych społeczności. I wreszcie uhonorowania bohaterów i ich rodzin. W tym celu przygotowany został kolejny etap naszej akcji, w trakcie którego następuje oznaczenie grobu znakiem pamięci „Tobie Polsko!”. Ma ono miejsce zazwyczaj w ramach uroczystości, którą organizujemy przy grobach.

**Jak reagują rodziny powstańców?**

Najczęściej spotykaną reakcją jest wzruszenie. Także zdziwienie, że ktoś chce o ich krewnych rozmawiać, ktoś chce ich odznaczyć czy przypomnieć. Ale nie tylko. Często jest to też zdumienie dlatego, że zgłaszają się czasem do nas osoby, które nie wiedzą zbyt wiele o swoich krewnych i informacje, które odnajdujemy w trakcie kwerend są dla nich zupełną nowością. Na pewno duże poruszenie towarzyszy samej uroczystości. Jesteśmy wielokrotnie świadkami też.

Głosy sprzeciwu zdarzają się rzadko. Czasem ktoś nie otrzymał informacji, że grób krewnego zostanie oznaczony. Trzeba dodać, że jest z tym pewna trudność, bo jeżeli Instytut otrzymuje zgłoszenie na przykład z parafii, a w księgach parafialnych nie ma informacji o tym, kto jest dysponentem i nie ma bezpośrednich krewnych, to trudno jest znaleźć rodzinę. Akurat w tym przypadku, o którym mówię, rodzina wyemigrowała do Kanady. Zdarzyło się też, że ktoś przychodził na uroczystość i zaczynał kwestionować akcję, pytając dlaczego jego dziadek nie został też tak uhonorowany. Negatywny głos jest po prostu wynikiem niewiedzy. Żebyśmy ujęli dziadka, ktoś musiałby go do nas wcześniej zgłosić. Wtedy jest to kwestia nieporozumienia i pewnej roszczeniowości. Czasem zdarza się, że rodzina mimo zgłoszenia grobu, nie chce, żeby został on oznaczony. Trudno zrozumieć mi taką sytuację, bo z jednej strony mamy kontakt, relacje, a z drugiej strony niechęć. Być może jest to kwestia braku zaufania, lęku, że IPN będzie rościł sobie jakieś prawo do własności grobu. Muszę uspokoić, że nic takiego nie ma miejsca. Oznaczenie grobu i procedowanie wniosku nic nie zmienia w kwestii prawa do dysponowania grobem.

#### Co się wówczas dzieje?

Odstępujemy od uroczystości oznaczenia, ale w ewidencji grób pozostaje.

#### Jak wygląda procedura postępowania? Grób zostaje zgłoszony i co dalej?

Po otrzymaniu wniosku weryfikujemy jego kompletność. W formularzu są rubryki z informacjami: o personaliach osoby, która jest zgłaszana, o jej udziale w powstaniach, o ewentualnych odznaczeniach; o lokalizacji grobu, kto jest w nim pochowany (czy jest to grób samodzielny czy zbiorowy), lokalizacji cmentarza, stanu technicznego. Oczywiście pożądane jest dołączenie zdjęć i wskazanie dokładnej lokalizacji. Kopie dokumentów, które potwierdzają udział przodka w powstaniach, jeżeli rodzina nimi dysponuje.

#### A jeżeli dokumentów nie ma, a rodzina o tym po prostu wie?

Takie sytuacje rzeczywiście się zdarzają. My również szukamy potwierdzeń. Kwerenda obejmuje bogatą literaturę dotyczącą powstań śląskich, dokumentację odznaczoną z Wojskowego Biura Historycznego i Archiwum Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Ponadto jest zbiór dokumentów w Archiwum Państwowym w Katowicach po Związku Powstańców Śląskich. Są także dokumenty po ZBOWiD-owskie, również zgromadzone w tym archiwum oraz w Urzędzie do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Część dokumentów znajduje się także w Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach oraz w Muzeum Śląskim w Katowicach. Natomiast rzeczywistość czasem zdarza się, że żadnej informacji nie uda się nam uzyskać i wtedy samo ustne potwierdzenie i oświadczenie może stać się niewystarczające.

#### Kiedy nie ma się pełnej dokumentacji, nie należy się obawiać przesłania wniosku?

Brak dokumentacji nie jest podstawą dyskwalifikacji wniosku. Pracownicy IPN pomagają w dotarciu do dokumentów i weryfikują te, które do nas zostały przesłane. Trzeba pamiętać, że w czasie II wojny światowej wiele rodzin paliło dokumenty i mundury powstańcze w obawie przed agresorem i w ten sposób wiele rzeczy zginęło bezpowrotnie. Część z powstańców nie angażowała się po II wojnie światowej w życie kombatancko-społeczne, więc rzeczywistość materiałów może nie być, ale zazwyczaj coś się udaje jednak znaleźć. Kiedy wniosek do nas wpływa, to abstrahując od czynności, o których już rozmawialiśmy, procedujemy go w oparciu o ustawę o grobach weteranów walk o wolność i niepodległość Polski. To jest ustawa, która została uchwalona przez Sejm RP w 2018 roku, a weszła w życie na początku roku 2019. Na jej podstawie zgłoszone do Instytutu Pamięci Narodowej na specjalnym formularzu groby mogą uży-

wać status grobu weterana walk o wolność i niepodległość Polski. Procedowanie polega na weryfikacji aktowej osób zgłoszonych, które oczywiście musiały albo brać udział w walkach zbrojnych o wolność i niepodległość Polski albo należeć do władz cywilnych powstań (w przypadku powstańców śląskich i jeden i drugi warunek jest możliwy do spełnienia). Po weryfikacji i opracowaniu wniosku przez IPN podejmuje decyzję o wpisaniu grobu do ewidencji. Ewidencja ta jest publikowana w naszym Biuletynie Informacji Publicznej. Po takim wpisie osoba, która zgłasza grób otrzymuje tabliczkę informującą, że jest to grób weterana walk o wolność i niepodległość Polski. Do administracji cmentarza zostaje wysłana stosowna informacja. Wpis ten uprawnia także do starania się w Instytucie Pamięci Narodowej o dotację albo świadczenie pieniężne na remont lub utrzymanie grobu. Pracownicy OBUIWIM również procedują zgłoszone miejsca pochówku w oparciu o tę ustawę, więc każde z nich pomijając to, że znajdzie się w ewidencji; że może zostać oznaczone znakiem pamięci, staje się grobem weterana i rodziny uzyskują możliwość wsparcia finansowego przy remontach. Trzeba powiedzieć, że większość grobów zgłoszonych do nas jest w bardzo złym stanie technicznym i wymaga takiej pomocy.

#### Jak często rodziny z tego korzystają?

Świadczenia pieniężne są procedowane przez Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa. O dane statystyczne należałoby się zwrócić więc do naszej Centrali. Warto jednak zaznaczyć, że IPN może także remontować takie groby z urzędu. Oczywiście mamy mnóstwo zadań i niewielki budżet, więc to nie są to jakieś ogromne liczby wyremontowanych przez nas grobów. Natomiast jest też taka możliwość i staramy się z niej korzystać.

#### Czy w znalezionych grobach powstańców spoczywają osoby znane z kart historii?

Staramy się zorganizować co roku serię uroczystości. Honorujemy kolejne groby, zwłaszcza w tych miejscowościach, w których uroczystości jeszcze nie było. Zależy nam na tym, żeby przypominały one w środowiskach lokalnych inicjatywę Instytutu. To, że przynosi ona wymierny efekt, a powstańcy przywołani są uroczystości z przestrzeni niepamięci. Przede wszystkim ta informacja jest przekazywana wśród rodzin i znajomych tych osób, które w niej uczestniczą, tudzież wśród społeczności uczniowskiej. To jest także skuteczny kanał komunikacyjny. Oczywiście osoby znane z kart historii też wśród nich są i kilka przykładów bardzo chętnie przytoczę. Bardzo ważną mogiłą jest grób Józefa Grzegorzka, który znajduje się w Katowicach na parafialnym cmentarzu przy ulicy Francuskiej. Jest to grób, który został odnaleziony przez nas w ramach akcji. Józef Grzegorzek był współorganizatorem pierwszego powstania śląskiego i pierwszym komendantem Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Był



współzałożycielem Chrześcijańskiego Zjednoczenia Ludowego, a w czasie plebiscytu sekretarzem Wydziału Polityki Wewnętrznej Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego w Bytomiu. Oczywiście był uczestnikiem trzeciego powstania śląskiego, członkiem Komitetu Wykonawczego Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych, a w latach 1921–1922 członkiem Naczelnej Rady Ludowej na Górnym Śląsku. Warto podkreślić, że był też autorem bardzo ważnej książki mianowicie *Pierwszego powstania śląskiego 1919 w zarysie*. Ta wydana w 1935 roku publikacja jest jednym z ważniejszych źródeł do badań nad historią pierwszego powstania. W czasie II wojny światowej uwięziony przez Niemców trafił do KL Dachau. Po wojnie pełnił funkcję starosty powiatu tarnogórskiego. Zmarł w 1961 roku. Był wielokrotnie odznaczany. Wspomnę tylko Srebrny Krzyż Orderu Wojskowego Virtuti Militari czy Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Znalazienie tego grobu nie było łatwe. Długa i skomplikowana kwerendę w tej sprawie przeprowadził pracownik mojego biura dr Dominik Ablałowicz. Co interesujące, nawet rozpytanie znawców historii powstań nie przyniosło nic nowego. Dopiero przeglądnięcie archiwalnych nekrologów pozwoliło ustalić gdzie i kiedy odbył się pogrzeb śp. Józefa Grzegorzka. Odnaleziony grób był zaniedbany. Dzięki naszym działaniom i funduszom grób został odremontowany, a personalia uzupełnione o istotne fakty z życia J. Grzegorzka oraz zdjęcie porcelanowe. To dobry przykład osoby, której przywrócono pamięć. Ważną mogiłą jest grób Stanisława Krzyżowskiego z Pszczyny. Był to oficer Wojska Polskiego, powstaniec śląski, jeden z inicjatorów pierwszego powstania śląskiego, komendant Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska na powiat pszczyński, bardzo ważny działacz regionalny i bliski współpracownik Wojciecha Korfańtego. Jego grób został zgłoszony przez parafię. Są też osoby, które zostały zupełnie zapomniane. Należy do nich m.in. Jan Koj z Gliwic. Był on działaczem Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, Komisarjatu Plebiscytowego, uczestnikiem drugiego i trzeciego powstania śląskiego, członkiem Naczelnej Rady Ludowej Górnego Śląska, ale co ważne był pierwszym polskim burmistrzem Mikołowa. Pełnił tę funkcję w latach 1922–1939. Ponadto był posłem na Sejm Śląski dwóch kadencji, posłem na Sejm Rzeczypospolitej w latach 1935–1938, członkiem ruchu oporu podczas II wojny światowej. Po II wojnie światowej był prezydentem Nysy, Gliwic, posłem niezrzeszonym na Sejm RP. Jego grób w Gliwicach był również całkowicie zapomniany. Bez żadnej informacji o zmarłym. To są przykłady osób, których pamięć trzeba i należy wydobyc z niepamięci. Akurat grób Jana Kojy został już wpisany do ewidencji, natomiast jeszcze czekamy na uroczystość dlatego, że udało nam się też dotrzeć do jego wnuka. Myślę, że przy współudziale samorządów, w których pełnił tak ważne funkcje, udało nam się zrobić piękną uroczystość.

**Jak fizycznie wygląda oznaczenie grobu?** Groby oznaczone znakiem pamięci „Tobie Polsko!” posiadają małą tabliczkę, wykonaną z porcelany nagrobnej. Ma ona formę proporczyka o rozmiarach 20cm na 8cm. Na czerwonym tle został umieszczony orzeł i inwokacja „Tobie Polsko!”. Orzeł otoczony jest datami powstań, a poniżej znajduje się napis: grób powstańca śląskiego i nazwa Instytut Pamięci Narodowej. Proponuję nawiązać do historycznego artefaktu, mianowicie jest wzorowany na sztandarze powstańczym „Tobie Polsko!”, który został wykonany w latach dwudziestych w pracowni „Katolika” w Bytomiu. Oryginał tego proporcza znajduje się w zbiorach Muzeum Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny. Proponuję być niesiony przez mieszkańców wsi Osiek (województwo opolskie) w czasie uroczystości upamiętniającej Konstytucję 3 maja w 1920 roku. Należy pamiętać, że była to jedna z pierwszych legalnych uroczystości na Górnym Śląsku związana z przeprowadzeniem plebiscytu. Instytut zdecydował się do tego proporcza nawiązać dlatego, że te dwa słowa „Tobie Polsko!” i polski orzeł są tak wymowną inwokacją i symbolem, że właściwie nie trzeba już niczego więcej. Tabliczki są umieszczane na grobach zgodnie w wolę rodziny. Czasem na steli grobu, tam gdzie są zazwyczaj dane identyfikacyjne, a jeżeli jej nie ma, to na płycie poziomej. Przez to, że tabliczka ma czerwone tło zdecydowanie się odróżnia wizualnie. Trochę się czasem śmieję, że ludzka ciekawość jest ciekawością sroki. Jeżeli, ktoś zobaczył coś błyszczącego z dala, to podejdzie, żeby zobaczyć, co wyróżnia te groby. Warto dodać, że do przygotowania projektu znaku zainspirowała mnie rozmowa ze znanym katowickim malarzem Grzegorzem Chudym.

### **Czy planowany jest jakiś rodzaj publikacji?**

No to pytanie nie znam jeszcze odpowiedzi. Przygotowanie publikacji w moim odczuciu musiałaby nastąpić po zakończeniu projektu tak, aby mogła ona stanowić pewną zamkniętą całość. Początkowo zakładałem, że akcja będzie prowadzona tylko w ramach stulecia powstań i stulecia powrotu Górnego Śląska do Polski, ale odzew jest duży i wnioski cały czas napływają, więc podjąłem decyzję, że akcja będzie trwać nadal. Natomiast nie wykluczam, że jej przebieg stanie się przedmiotem wystawy poświęconej grobom powstańców śląskich. To jedna z możliwości. IPN planuje stworzenie aplikacji, na której będą znajdować się wszystkie miejsca pamięci narodowej, więc może to jest kolejna przestrzeń do jej eksponowania. Do tego dochodzą wystąpienia na różnego typu konferencjach, sesjach i publika-

cje pokonferencyjne. We wrześniu bieżącego roku odbyła się organizowana przez Polską Akademię Nauk Oddział w Katowicach konferencja dotycząca miejsc pamięci na terenie Katowic. W jej ramach wygłosiłem referat o losach grobów powstańców śląskich.

### **Wiele miejsc pamięci w czasie II wojny światowej zostało zniszczonych. Podejrzewam, że nie tylko przygotowano listy proskrypcyjne ale również wykazy grobów i pomników przeznaczonych do likwidacji. Widziałem na przykład w Pszowie zdjęcie i informację na temat nieistniejącego już pomnika powstańców w miejscu, w którym wcześniej stał. Czy IPN planuje również taki rodzaj upamiętnienia powstańców?**

Niemcy rzeczywiście zniszczyli większość pomników powstańczych. Kilka się zachowało, dzięki temu, że zostały rozebrane i ukryte. Swego czasu powstał pomysł, aby w miejscach, w których stały pomniki zamontować tablice informacyjne, ale póki co nie doczekał się jeszcze realizacji. Między innymi dlatego, że przestrzeń publiczną podlega dynamicznym zmianom i często w tych miejscach nie ma już możliwości odbudowania pomnika. Dlatego bardziej celowe wydaje się pokazywanie ich historii. Natomiast jeżeli chodzi o zlikwidowane groby, to przeprowadzenie rekonstrukcji jest jeszcze bardziej skomplikowane. Najpierw, ktoś musiałby taki grób nam zgłosić. Musiałaby być też możliwość odbudowy grobu, nie zajęta kwatery itd. Takie sytuacje się zdarzają, natomiast raczej są to kwatery likwidowane po II wojnie światowej. Przykładem jest historia grobu Teodora Wilka, uczestnik trzeciego powstania śląskiego w 1921 roku, który zginął w bitwie pod Bukowem i został pochowany na cmentarzu w Pogrzebieniu. Były niemieckie plany zniszczenia tego grobu, ale nie zostały utrzymane w tajemnicy. Kiedy rodzina dowiedziała się, że Niemcy chcą zniszczyć grób, zdemontowała krzyż z inskrypcją nagrobną. Niemcy przyszedli na cmentarz, ale nie potrafili znaleźć grobu i uszkodzili sąsiednią mogiłę. Oryginał nagrobek wrócił na swoje miejsce dopiero po wojnie, ale on też został naruszony przez czas. Znając tę historię uważałem, że trzeba ją przypomnieć. Odremontowaliśmy obiekt i w 2021 roku powstał zupełnie nowy nagrobek, więc akcja próby niszczenia grobu przez Niemców nie tylko nie przyniosła żadnego skutku, a dzięki niej ta historia dzisiaj żyje. Zapewne są też inne historie związane z likwidacją grobów powstańczych, ale często jest to niestety wiedza, która nadal krąży tylko w kręgach rodzinnych.

**Dziękuję bardzo za rozmowę.**

**Jan Kwaśniewicz** – pracownik Instytutu Pamięci Narodowej od 2006 r. W roku 2016 otrzymał zadanie organizacji Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Katowicach, którego naczelnikiem został w roku 2019. Z wykształcenia magister teologii, specjalizujący się w historii Kościoła w okresie PRL-u.



# Łaźnia łańcuszkowa – inspiracja i motyw literacki

JACEK OKOŃ

Wygląd łaźni łańcuszkowej znany był do niedawna wyłącznie jej zwykłym użytkownikom, którzy pewnie nie dostrzegli tam nigdy poezji (!), magii (?), piękna (?). Ot, proza życia. Kafelki na ścianie, odpływy w podłodze, prysznic, mydło. Łańcuszki i kłódki, by złodziej czego nie ukradł.

W zbiorze Muzeum Górnictwa Węglowego co jakiś czas przybywają nowe dzieła plastyczne, przedstawiające tę prozaiczną, ale i intymną rzeczywistość. Trzeba jednak trafiać lub ukierunkowanego poszukiwania, by kompletne opisy łaźni łańcuszkowej znaleźć także w literaturze. Ruska *bania*, fińska *sauna*, czy rzymskie *termy* trafiają się w literaturze nierzadko. Ale i one nie są tam raczej, jak w dziele plastycznym, tematem samym w sobie, zamkniętym, skończonym. Raczej tylko stanowią scenerię, przydatą do fabuły.

Słownik Górnicy Gismana definiuje łaźnię kopalnianą, umieszczając w jej obrębie szatnię, natryski i wanny. W innym haśle tego słownika pojawia się jeszcze osoba doglądająca: łaźnienny, łaźnienny. Przymiotnik łańcuszkowa nie pada w Słowniku w tym kontekście.

W kopalni nie da się uniknąć brudu i pyłu. Do dziś można poznać górnika po specyficznie podkreślonych oczach, które przypominają kobiecy *make up*. A to tylko pył węglowy na powiekach. Kiedyś w kulturze górniczej znane było zjawisko 'mycia ojca'. Dzieci wychodziły ojcu naprzeciw, brały od niego lampę górniczą i torbę, by mu ulżyć. W domu czekała przygotowana kąpiel. Jednym z obowiązków dzieci, było pomagać matce w przygotowaniu wody do moczenia nóg dla ojca (motyw mycia nóg mężowi podany jest w filmie K. Kutza *Perła w koronie*). Dopiero potem honorowe miejsce przy stole i najlepszy, największy kęs mięsa przy obiedzie. (I. Bukowska-Floreńska, *Rodzina na Górnym Śląsku*, 2007). To mycie było codziennym rytuałem.

Musiała nieraz temu lub owemu nasuwać się myśl, że można by się obmyć jeszcze w obrębie kopalni. Zwłaszcza od drugiej połowy XIX wieku tworzenie ułatwień socjalnych stało się powszechne i objęło sfery znacznie szersze niż tyl-

ko budowę łaźni (osiedla patronackie, ochronki, szpitale brackie itp.).

W encyklopedycznym *Zarysie górnictwa* W. Budryka i W. Lesieckiego (1949) rozdział poświęcony szatni i łaźni pomieszczony jest w części definiującej funkcje budynków i placów powierzchniowych kopalni, m.in. lampiarni, stacji ratownictwa, znaczkowni (markowni), warsztatów, magazynów, zarządu kopalni i in. Także opisane jest obszerniejsze:

*Przed zjazdem udają się robotnicy do szatni, gdzie zmieniają swoje codzienne ubrania na robocze. Szatnie, służące tysięcznej rzeszy robotników, to wysokie hale, w których wyciągnięte wysoko pod więzania dachowe wiszą na łańcuszkach ubrania pracowników. Drugie końce łańcuszków biegną do oparc ławek dla rozbierania się; gdzie w specjalnych uchwytach są zamknięte na kłódki. Ze względu na potrzebę wysuszenia częstokroć przemoczonej w kopalni odzieży, zakłada się w szatni kaloryfery i stwarza przewiew. Łaźnie mają na celu umożliwienie robotnikom umycie się po pracy. Zazwyczaj przedstawiają się one w postaci szeregu natrysków, do których doprowadza się zimną i ciepłą wodę ze specjalnej kotłowni. Przy łaźniach przewidziane są ambulatoria pierwszej pomocy tak dla doraźnego opatrzenia drobnych skaleczeń nieuniknionych w czasie pracy, jak i poważnych nieszczęśliwych wypadków przed przybyciem lekarza.*

Sama nazwa łaźnia łańcuszkowa może być myląca dla osoby spoza górnictwa. Przymiotnik łańcuszkowa określa szatnię kopalnianą, zwykle przyłazienną, podzieloną na dwie części: czystą i brudną. Pomiędzy obiema częściami architekt może umieścić łaźnię właściwą. W czystej szatni zawieszają się ubrania domowe, w których przyszło się do pracy i w których opuści się potem bramę kopalni; w brudnej czekają na górnika znoszone, brudne łachy, które ubierze do pracy, a potem zostawi na miejscu, gdzie poczekają na niego do kolejnej szychty.

W łaźni właściwej górnicy pozostają dłużej dopiero, gdy wyjadą z dołu i podwieszają brudne ubrania pod sufitem. Zanim przywdzieją ubrania czyste, w których wrócą do domu, muszą wykapać się. Ale rano, gdy znów zmierzają do pracy,



Romuald Nowak, W STAREJ ŁAŹNI, olej na szkle

obywa się bez kąpeli: „Wchodzisz tedy do szatni czystej, szaty czyste w szafce zamykasz, przełazisz na golasa przez łaźnię właściwą w poprzek budynku do szatni brudnej, wdziewasz szatki dołowe i maszerujesz do lampiarni, potem do markowni, a stąd już blisko do szybu” (A. Jarczewski, *Szychtownica*, 1998).

## Łaźnie czy szatnie łańcuszkowe?

Niektóre łaźnie i szatnie łańcuszkowe można już zwiedzać, porównywać, oglądać naocznie lub na fotografiach współczesnych i dawnych, także na przedstawieniach plastycznych, prawdziwie artystycznych i amatorskich. Dostępna jest w ten sposób np. łaźnia łańcuszkowa kopalni zabytkowej „Królowa Luiza”. Są prysznic, wieszaki, łańcuchy, kłódki.

Podobnie jak w całej architekturze, i tu istnieją style, podobieństwa i różnice. W budownictwie przemysłowym przy projektowaniu bierze się pod uwagę przede wszystkim funkcję, przeznaczenie budynku. Ważna jest wygoda użytkowników, czyli to, co dziś nazywamy ergonomią. Rozwiązania praktyczne nie muszą być takie same, choć zapewne bywają lepsze i gorsze, oryginalniejsze i śmielsze, także ryzykowne.

Natrafia się na łączenie, ba, utożsamienie szatni z cechownią, nie z łaźnią. Bywa, że to tam (w cechowni) pod sufitem wiszą górnicze ubrania domowe. Tak było w Wieliczce i tak to ujmuje tamtejsza wystawa stała. W odrębnych tradycjach środowisk pracowniczych węgla kamiennego (Śląsk) i soli kamiennej (Wieliczka, Bochnia) może to rodzić nieporozumienia. Dla przykładu przytoczę komentarze pod wpisem na Facebooku (Kopalnia Soli „Wieliczka”), gdzie cechownia utożsamiona jest z szatnią.

Da się odczytać śląskie pochodzenie komentatorów: „Cechownia, to cechownia, a łaźnia to łaźnia. Nie ma inaczej” (Jerzy Nawalany); „Na cechowni robi się felezunek, a nie wyszo-

galoty czy inne szakiety” (Jerzy Tokarz); „Łaźnia pełni rolę szatni na kopalni, ma dwie części: czystą i brudną przedzielone prysznicami. A cechownia to z reguły duże pomieszczenie, gdzie poszczególne [członkom] załogi i górnikom rozdzielano pracę” (Stefan Kazykalewicz). To tyle górnicy śląscy (prawdopodobnie oni właśnie).

Górnicy solni potwierdzają jednak, że u nich cechownia i szatnia łańcuszkowa były utożsamione: „W Wieliczce łaźnia połączona jest z felezunkiem/podziałem pracy, tak że nomenklatura w tym przypadku trafna” (Łukasz Lis); to wyjaśnienie także z potwierdzeniem „To prawda” (Stanisław Sochacki).

W Zagłębiu Dąbrowskim nazewnictwo jeszcze inne: już nie zapożyczenie z niemieckiego ‘Cechownia’ (*cehaus*, *Zechenhaus*), ale swojski ‘Dom Zborny’. Jako przykład ówczesnego zagłębiowskiego budownictwa tego typu służy dziś zwykle dom zborny kopalni Saturn w Czeladzi (z roku 1887). Niegdyś znajdowały tam swe pomieszczenia, oprócz biur, kaplicy i stołówki, także łaźnia i szatnia.

Różnice regionalne wytwarzały się w sposób nieunikniony, gdy tradycje utrwały się niezależnie od siebie, a proces trwał lata czy nawet wieki. O ergonomiczności takiego lub innego rozwiązania mogliby więcej powiedzieć górnicy, gdyby za swego życia znali także owe sąsiedzkie rozwiązania architektoniczne i jeszcze mogli je wypróbować w praktyce. Raczej jednak przypisani byli w swoim czasie do jednej, jedynej łaźni: swojej łaźni. Tutaj więc tylko odnotowuję istnienie odmiennych rozwiązań.

Tradycja wielicka, starsza o wieki, niegdyś pewnie dominująca, łączy szatnię i cechownię; nasza śląska, szerzej dziś w górnictwie rozpowszechniona, wydaje się bardziej racjonalna i praktyczna. Ale nawet w opisach łaźni górnośląskich natrafiamy już powszechnie na terminy i podziały na ‘łaźnię starą’ i ‘łaźnię nową’. A jeszcze osobne łaźnie dla dozoru, już właściwie łaźienki. Przeglądając wybrane opisy literackie, pozostaniemy tu przy rozumieniu śląskim, które łączy łaźnię i szatnię łańcuszkową pod utraconą nazwą ‘łaźnia łańcuszkowa’.

### Łaźnie literackie

Łaźnia znaczy czystość. Na Śląsku to słowo może znaczyć coś oczywistego, czego nie zauważa się na co dzień. Dopiero przyjezdni widzą różnicę przez kontrast zastanego z widokami opuszczonymi.

Pretekstem do podjęcia tego tematu w takiej, a nie innej formie, są dwa dzieła literackie, powstałe całkiem niezależnie od siebie, sięgające do tematyki o wiele głębszej niż łaźnienna, a przecież jakby eksponujące właśnie ten temat. I to oba zaraz na początku, w pierwszych rozdziałach i na pierwszych stronicach.

Czytelnik od razu przenosiny jest wyobraźni pod prysznic i uczestniczy w pewnym rytuale. Stosunkowo niedawno (1998) otrzymaliśmy to w książce Andrzeja Jarczewskiego *Szychtownica, czyli szlachetnego trudu górniczego niewiarygodnie szczerze opisanie*. Opis dobry, dotyczący istoty rzeczy, autor lubiący filozofować, widzieć rzeczy po swojemu, inaczej niż inni. Gdy z kolei sięgnąć po *Białą gorączkę* Feliksa Netza (1980), przypomina się od razu *Szychtownica*. Podaję w takiej kolejności, bowiem książka Jarczewskiego należy do pozycji wciąż czytanych, wkrótce wyjdzie jej IV wydanie, natomiast książka Netza musi być przypomniana, by została przez kogoś przeczytana. W porządku chronologicznym to jednak *Biała gorączka* wyprzedziła *Szychtownicę* o 18 lat. W sumie niewiele, a przecież wydane w innej epoce. I napisane w innej epoce, choć tylko kilka tam było lat różnicy. W przypadku Netza mowa o środowisku górniczym za Gierka, Jarczewski zaczął natomiast swą opowieść w więzieniu lat osiemdziesiątych, za Jaruzelskiego, gdy wiele było w górnictwie prowizorki, doraźności, manipulacji, dzielenia załóg, a i do aresztu łatwo było trafić.

Według powieści *Biała gorączka* naręcony został wcześniej (1979) film pod tym samym tytułem z Wirgiliuszem Gryniem w roli głównej. Istniało też wtedy tak samo zatytułowane słuchowisko radiowe (1977). Temat najwyraźniej chodził za pisarzem, nieźle owocując w czasie. Tu przedmiotem opisywanym będzie powieść, dzieło literackie, autonomiczny artefakt słowny, a dokładnie jeden z licznych motywów górniczych i etnologicznych, które w nim się znajdują. U Netza motywy urastają do rangi wątków, bowiem snują się jak nic aż do końca książki. Zaś Jarczewski podchodzi do motywów w sposób niemal monograficzny, czerpiąc obficie z naocznej wiedzy i podając maksimum tego, co w danym temacie zapamiętał, przemysłał i uporządkował.

### Dwóch takich, co zdążyli się umyć

Feliks Netza został mieszkańcem Katowic dopiero w wieku lat szesnastu; tu zdał maturę, podjął pierwszą pracę, potem skończył studia, został pracownikiem pióra, pisał wiersze. Wydaje się, że jeden z bohaterów *Białej gorączki*, który stał się po studiach specjalistą od analizowania poezji, mówi w jego (Netza) imieniu, jako *porte-parole*: „Kopałem w tych wierszach jak w węglu, gryzłem ten węgiel, ten kamień. Rozbijałem język, płucałem słowa, czasami we własnych łzach, tak, tak, nie wstydzę się tego”.

Skąd takie, a nie inne porównania? Czy tylko takie, że Śląsk „na węglu stoi”?

Otóż dorosłe życie pisarza i jego humanistyczne zajęcia stanęły na fundamencie pracy górniczej. Tak właśnie, u zarania dorosłości pracował przez jakiś czas pod ziemią jako górnik. Niezbyt

długi czas, ale pamiętajmy, że np. górnicze dzieło literackie Gustawa Morcinka zrodziło się z dwóch dziesięciu lat osobistego doświadczenia. Świat górnictwa i problemy kopalni były Netzowi znane naocznie.

Kolejne paralele: Jarczewski przyjechał do Gliwic, gdy miał lat 17, a praca górnicza (niecałe 3 lata) wynikała z doraźnej konieczności. Jako człowiek stał wtedy na rozdrożu życia. Inżynier wiodł spór z humanistą, materia z duchem, co widoczne jest w jego książce. Stąd *Szychtownicę* trudno przypisać jednoznacznie do jakiegoś gatunku. To zarówno eseistyka, jak i gawęda, nie powieść, choć i tutaj niejedno się dzieje, a i dialogi tak soczyste, że aż je sam autor cenzurował, wykropkowując niejedno. Jest to wszakże książka osobiście przeżyta, zapis poznanych szczegółów, odnotowywanych na bieżąco. Ale też dzieło aspirujące w dziedzinie profesjografii, językoznawstwa i filozofii pracy.

Nawiązanie do łaźni łańcuszkowej we wstępie niniejszego artykułu nie jest przypadkowe. Zarówno u Jarczewskiego, jak i u Netza, jej opisy otwierają opus. Pierwsze zdania powieści Netza brzmią:

„Takie to i mycie! Niby jesteś czysty, a przecież plecy masz w błotnych smugach; musi je umyć ten drugi”. Wystarczy klepnąć, żeby ktoś się odwrócił; podaje się mu mydło. Potem myjący klepie i zmiana ról: „czujesz klepięcie i wiesz, że jesteś czysty; teraz się odwracasz i bierzysz w garść jego mydło i splącasz mu zaciągnięty przed chwilą dług z równą rzetelnością, bo tak trzeba”. Ten drugi ma umyć plecy pierwszego, a potem pierwszy plecy drugiego.

U Jarczewskiego położenie rozdziału o łaźni (na początku książki) poprzedzone zostało namysłem. Jarczewski odkrywa także znaczenie metaliterackiego motywu. Zauważa, że w *Iliadzie* Homera „każdy niemal wątek znajduje swój prolog lub epilog w wannie”. Także to, iż od wizyty w łaźni także Sienkiewicz rozpoznał *Quo vadis*. Nie wymienia resztą tytułu, pisząc tylko, że chodzi o „dzieło, które miało mu przynieść Nagrodę Nobla”. I dodaje: „Korzystam tedy ze starych wzorów, gdyż współcześni literaci omijają raczej łaźnię z daleka”.

A samo mycie opisane w *Szychtownicy* podobnie trochę od tego Netzowego.

„A gdy już wszyscy się dobrze namoczą i namydlą łatwiej dostępne części ciała – pada dostojnie:

– Myjmy?

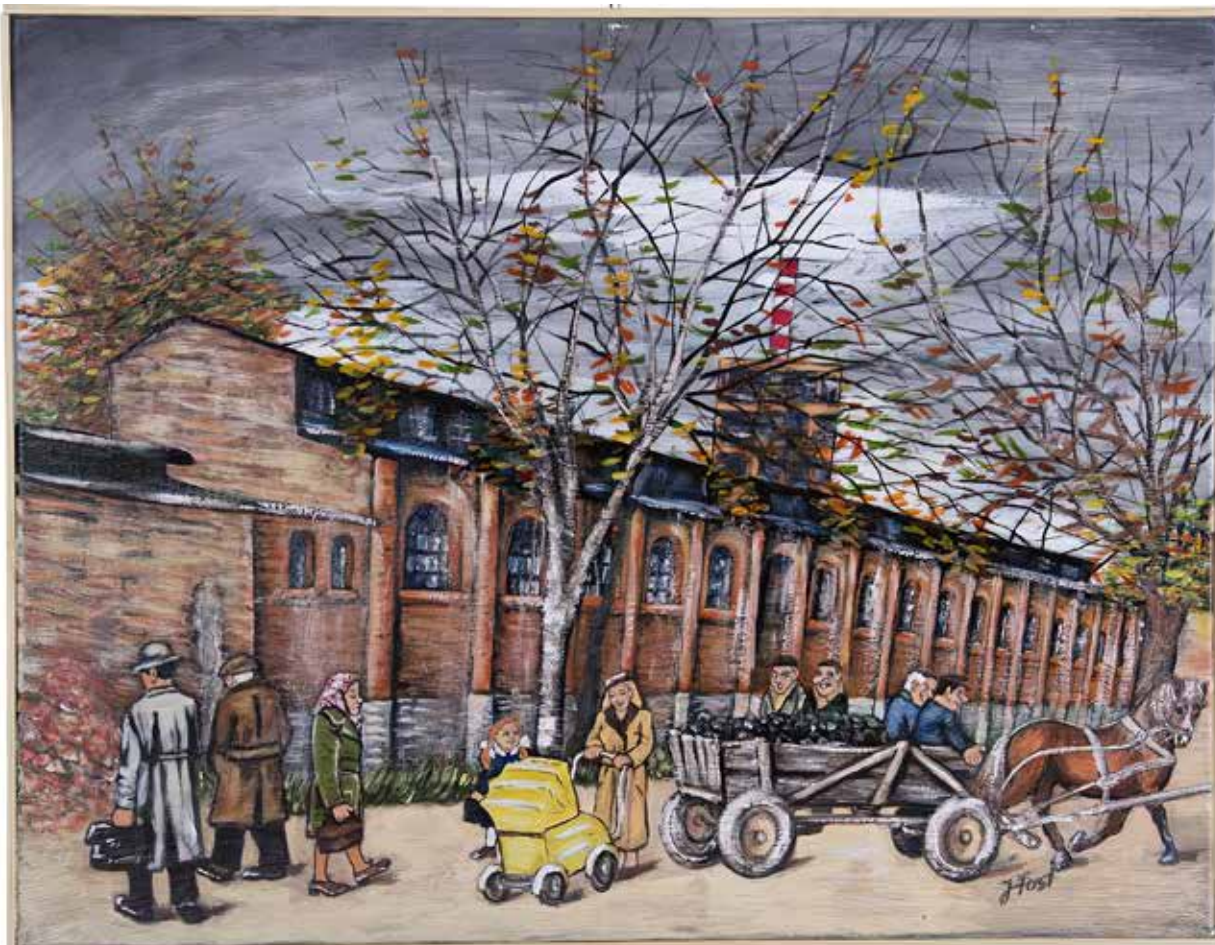
Odzew bywa tylko jeden:

– Możymy!

W tym momencie zawieszamy indywidualne mydlenie członków. Mężczyźni ustawiają się w luźnej kolejce i drugi pierwszemu, a trzeci drugiemu – myją plecy”. Obaj autorzy zdążyli się pod tymi prysznicami umyć, nim zaczęto zamykać kopalnię, a wraz z kopalniami – łaźnie.



Krzysztof Webs, CZCIJ OJCA SWEGO, BO JEST GÓRNIKIEM, olej na płótnie, 1987



Jadwiga Fastnacht, ŁAŻNIA ŁAŃCUSZKOWA PRZED REMONTEM, akryl na płótnie, 2018



Andrzej Marcol, *W ŁAŻNI*, olej na płycie, 2005

## Szatnia

Z łaźnią trwale zespolona jest szatnia. Idzie się do niej wprost spod pryszniców. Jej opis u Netza użyty jest w funkcji niemal ramowej. Jest przeto ważny. Zjawia się u początku, potem kończy książkę, prawie dosłownie powtórzony. „Wysoko pod sufitem znieruchomiała pokraczna ptaszyska z przetrąconymi skrzydłami nogawic. Jedne osuwają się w dół, inne czekają cierpliwie, jedne są sparciałe, przeżarte potem i węglowym pyłem, inne po części schludne, jedne przechowują w szwach na pół zwierzają zapach domu, inne podbite są tchnieniem gębiny. Odzienie z tego samego grzbietu i tyłka, a przecież z dwóch odrębnych światów”.

Całości tematu dopełniają osobne łazienki dla dozoru. Ta osobność to wyraz „oczywistego przecieź, dawnego i trwałego podziału”. „Tam – wspólna łaźnia dla tych z dołu, a tutaj kabiny dla dozoru”.

Obaj autorzy, choć działali w innych ‘pod-etapach historycznych’, opisali rzeczywistość okresu socjalizmu. Kto już wtedy był na świecie, a miał oczy do patrzenia i uszy do słuchania, nie stwierdzi przekłamań. Plus minus było właśnie tak. Pisarze widzą więc zarówno realia, jak i absurd. Na przykład uprzywilejowaną pozycję piłkarzy zatrudnionych na etacie. Pisze Jarczewski: „Na początku dziwiło mnie, że w kabinie na osiemdziesiąt szafek działają tylko dwa prysznice, a właściwie jeden, bo z tego drugiego ledwo kapie”. A przecież „...ani razu nie zdarzyło mi się zauważyć przepychanki pod prysznicem. Przeciwnie. Każdy cierpliwie czeka na swą kolej, a czeka niedługo, gdyż nikt nie wykorzystuje prysznica ponad potrzebę, czy też niezgodnie z przeznaczeniem”.

Ów brak zagęszczenia w łaźni-szatni z osiemdziesięcioma szafkami zostaje czytelnikowi wyjaśniony racjonalnie, matematycznie. To nie żadne czarumary. To wynika właśnie z praktyki ustrojowej.

„Przeciętnie 6–11 procent załogi jest w każdej chwili na urlopie, do 12% na chorobowym, 5% wybiera dojazdówki lub nadgodziny, 10–18% to różni towarzysze, kalifaktorzy, planiści, zapatrzeniowcy, szlachetni działacze związkowi i inni osobnicy zatrudnieni na dole, ale pracujący (lub nie) na górze. A każdy, kogo wpisano na dołową listę płac, musi mieć szafkę w szatni czystej, a nawet brudnej, choćby w brudnej miał tylko czystą. (...) Szafki mają więc sportowcy, szoferzy, wyjechańcy, aresztanci i różne inne martwe dusze, które nigdy dołu nie widziały. Pozostaje nadto kilka wolnych szafek po świeżych emerytach i rencistach. Czasem ktoś zabie-

rze, czyli zaliczy bumelkę. Inny znów zalicza dniówkę na budowie willi nadsztygara; ten czy ów ma smykałkę do naprawy samochodów lub telewizorów, więc też mu rzadko każą zjeżdżać itd., itp. Dodając procenta, mnożąc, dzieląc i odejmując, określiłem przepustowość dobową 80-osobowej kabiny na 40 chłopa. Kopalnia fedruje na cztery zmiany, więc średnio na jedną szachtę przypada najwyżej dziesięć. Tę liczbę trzeba jeszcze zmniejszyć, bo niektórzy pracują w systemie trzyzmianowym i wyjeżdżają o innych godzinach. Zawsze też znajdzie się ktoś, kto miganie, czyli wyskoczy z dołu w połowie dniówki... Zostanie siedmiu. Ale i oni nie wyjadą razem. Między pierwszym wyjazdem z poziomu 340 a ostatnim z 1000 upłynie nie mniej niż godzina, a jeszcze niektórzy po wyjeździe idą najpierw na papierosa. Ostateczny wynik obliczeń potwierdza praktyka: w łaźni najwłaściwszej rzadko kiedy przebywa naraz więcej niż czterech osobników (na osiemdziesięciu), a komplet jest codziennie inny” (Jarczewski).

## Dusze łaźni, doczesne szczątki

Dziś, wobec wygaszania górnictwa, znacznie mniejsza liczba pracowników korzysta z łaźni. Owszem, nadal są one istotnym elementem pracy górniczej. Zbudowane tak lub inaczej, liczące tyle a tyle pryszniców czy szafek w szatni, wypełniają wciąż swą właściwą funkcję.

Przybywa natomiast łaźni zabytkowych, obiektów do zwiedzania. Oczywiście jeszcze nie przewyższają liczbą tych funkcjonujących i chyba ich nie przewyższą, bo nie należy mnożyć bytów ponad konieczność. Gdzie jednak rachunek ekonomiczny decyduje o odremontowaniu i udostępnieniu, tam łaźnie ocaleją, czemu nie? A że każda prawie trochę inna, więc warto choćby zwiedzić dla porównania.

Z książki Jarczewskiego dowiadujemy się, że w połowie lat osiemdziesiątych budynek łaźni KWK „Zabrze-Bielszowice” miał trzy piętra; był też trzypasmowy. „Środkiem, wzdłuż osi północ-południe, ciągnie się pas łaźni właściwych z prysznicami; pas wschodni zajmują szatnie czyste, a zachodni – brudne. Wszystko to poszatowane jest poprzecznymi ściankami, tworzącymi boksy zwane kabinami. Każda dla osiemdziesięciu fizycznych”. Tu łaźnia właściwa była zbudowana w ten sposób, że pomieszczenie dzieliło się na trzy części: „pokoiczek” wstępny od strony szatni czystej, następnie łaźnia właściwa z prysznicami i wreszcie pomieszczenie trzecie, wykafelkowane po suficie, połączone niewielkim przepustem z otworem w podłodze, który jest natu-

ralnym ujściem dla cieczy łaźniennych i dla „treści autonomicznych, wytwarzanych tylko tu”. Konieczność czystego czyszczenia tej trzeciej zagrody wytworzyła funkcję „badymajstra”. Dokładnie opisana nowa łaźnia kopalni „Zabrze-Bielszowice” (Ruch Poremba) już nie istnieje, teren zarósł młodniakiem, w którym drzewa coraz wyższe. W miejscu łaźni jeszcze widoczne zostały ruiny, walące się pomiędzy trawami i chaszczami. Tym cenniejsze jest to świadectwo literackie.

## Ostatnie mycie

Scena mycia powraca u Netza na końcu, jak zamknięcie ramy. Jest to scena mycia zmarłego ojca. Od dawna już starzyka *na penzyl*, emeryta górniczego. Ostatnie mycie. Zmarły ojciec-górnik leżał na „wielkim rodzinnym stole, który na ten czas przeobraził się w katafalk. Stół umiał przyjąć wszystko: wesele i śmierć”.

Na Śląsku nie było jednej zasady, kto mianowicie ma myć ciało. Mogli to być sąsiedzi, mogła być firma zewnętrzna; znajdowano uzasadnienia i dla tego rozwiązania. Przeważał jednak pogląd, że ta czynność należy do członków rodziny i wywodzono nawet stąd zakaz mycia i ubierania zmarłego przez obcych. Tę zasadę akcentuje Halina Gerlich w swojej książce *Narodzinny, zaślubiny, śmierć* (1984). Tam także uzasadnienie dla tej formy: „To jest niemożliwe, aby ktoś z obcych mył czy oblykoł. Wtedy jakby to się stało, to zmarły by się wstydił, a nawet by się czerwienił na całym ciełe. Bo przeca jak ktoś jest chory, to tyż się wstydi jak go w szpitalu obcy ludzie obrabiają” (Marta R., ur. 1908).

Ten wstyd pojawia się tylko w sytuacjach wyjątkowych. Z sytuacją taką mamy do czynienia w powieści Netza, wydobytą z pamięci przez szwagra głównego bohatera. Wspominając swoją pierwszą szachtę, na którą zaprowadził go ojciec, zapamiętał też to: „Na markowni odebraliśmy numerki, poszliśmy do łaźni, tam już miałem swój hak, na którym wisało robocze ubranie i hełm. Trzeba było się rozebrać. Ojciec ustawił się tak, że bym nie mógł go obejrzyć nagiego, rzecz wstydliva przed synem, nie przed obcymi. I zawsze tak było, że pod natraskami gdzieś mi się gubił, a kiedy ja po kąpieli wracałem pod swój hak, ojciec już był w spodniach”.

W powieści Netza to właśnie ten syn mył teraz zmarłego ojca. „Mokrym ręcznikiem zbierał nieostygłe ślady życia z suchego, żyłastego ciała, naznaczonego ciemnymi, węglowymi drzazgami i podskórnymi smugami”.

Wszystkie prezentowane tu obrazy znajdują się w zbiorze Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu.



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# „Uczyły mnie rektory”

Kiedy w okolicznościowym woluminie „Poradnika Językowego”, wydanym ostatnio z okazji 50-lecia pracy naukowej i dydaktycznej prof. Stanisława Dubisza, czytałem artykuł Marka Ruszkowskiego pt. „Rzeczowniki *rektor* i *magnificencia* w oczach językoznawcy”, od razu skojarzyłem główną personę tego tekstu – „przełożonego szkoły wyższej i przewodniczącego jej senatu”, „przełożonego seminarium duchownego, a także niektórych domów zakonnych”, „księdza rezydującego przy kościele nieparafialnym” – z jej innym funkcjonowaniem w mowie śląskiej, utrwalonym chociażby w żartobliwej piosence śpiewanej przeze mnie i moich rówieśników w latach powojennych: „Jak ja chodził do szkoły, uczyły mnie rektory piwo pić, w karty grać i z dziolchami tańcować”. – „Uczyły mnie w szkole rektory”, bo *rektor* – najczęściej w postaci fonetycznej *rehtór* – był określeniem nauczyciela.

W dawnej polszczyźnie *rektor* to był również „przełożony szkół przykościelnych i zakonnych oraz szkół elementarnych”. Nawiązujące do tego ostatniego regionalne znaczenie „nauczyciel” – takie jak w mowie śląskiej – rejestrują niektóre słowniki (np. „Mały słownik języka polskiego” z roku 1968 S. Skorupki, H. Auderskiej i Z. Lempickiej).

Myśmy do swoich nauczycieli w Tarnowskich Górach zwracali się już tylko za pomocą zwrotów *proszę pana*, *proszę pani* (w szkole średniej – *panie profesorze*, *pani profesorko*), ale gdy mój Ojciec wspominał swe przedwojenne lata pracy nauczycielskiej w Szopienicach i w Kozłowej Górze, wariant *panie rehtór* pojawiał się w jego barwnych opowieściach nader często. A i we wspomnieniowej książce Józefa Musioła „Okrakiem przez wieki”, przygotowanej przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, znaleźć można fragment listu południowośląskich dzieci – daw-

nych uczniów dra Musioła z lat 50. ubiegłego wieku, napisany przez nich, gdy autor przywołanej książki stał się studentem prawa w Krakowie: „Panie Rehtorze! Cemu nas nie odwiedzić?”

Słowo *rektor*, jak pisze we wspomnianym artykule Marek Ruszkowski, obecne jest w polszczyźnie od XVI wieku, a wywodzi się z łacińskiego rzeczownika *rektor* – „kierownik, władca; sternik, dowódca”. Cytowana zaś przez kieleckiego językoznawcę Krystyna Długosz-Kurczabowa zauważa w swym „Nowym słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 2003, że łaciński *rektor* jest rzeczownikiem o znaczeniu wykonawcy czynności, utworzonym formantem *-tor* od czasownika *regere* „prostować, kierować, rządzić”, a zatem – w etymologicznym znaczeniu – *rektor* to „ten, co kieruje, prostuje, rządzi”.

Dopowiedzmy, że formacje słowotwórcze z łacińskim rdzeniem *reg* (w języku polskim często w wariancie *rek*, rzadziej *ryg*) są dość liczne, m.in.: *dyrektor*, *dyrektorka*, *dyrektorski*, *dyrekcyjny*, *dyrektywa*, *dyrygować*, *dyrygent*, *korektor*, *korektorka*, *korektorski*, *korekta*, *ko-rekcyjny*, *regent*, *regentka*, *regulamin*, *regulacja*, *reguła*, *rektyfikacja*, *rektyfikować*. Te wszystkie formy łączy wspólne znaczenie „kierowania, rządzenia, prostowania, poprawiania, oczyszczania” – pojawia się w swym słowniku Krystyna Długosz-Kurczabowa.

Dla porządku dodajmy, że łaciński rodzaj męski ma też odnoszona do rektora uczelni uroczysta postać wyrazowa *magnificencia* (żartobliwie *magnificus*): *magnificencia* – „wspaniałość”.

Po tych wywodach historycznojęzykowych chciałbym jeszcze wrócić do kilku realiów ze swoich szkolnych lat, obsługiwanych przez słowa, które – tak jak *rektor* (*rehtór*) – wycofały się już z komunikacyjnego obiegu.

I tak na początku edukacji pisaliśmy tylko ołówkiem – w naszym regionie zwanym też często z niemiecka *blajsztiftem* (niem. *Bleistift*: *Blei* „ołów” + *Stift* „szyft”).

Od drugiego półrocza pierwszej klasy w naszych rękach pojawiała się *obsadka ze stalówką*, zwana powszechnie *rączką*. Rączkę ze stalówką zanurzaliśmy w *kałamarzu* napełnionym atramentem – często z niemiecka nazywanym *tintą* (niem. *Tinte* – „atrament”). Dzieci tamtego czasu bardzo lubiły atrament próbować i nim się mazać, co również w swojej pamięci przechowuję! W zeszytach zaś pojawiały się też bez przerwy kleksy – *fleki* (niem. *Fleck* – „plama”), które osuszaliśmy *bibułą*.

Dopiero po kilku latach nauki *obsadkę* (*rączkę*) można było zamienić na *wieczne pióro* (*na pompkę* lub *na tłok*), zwane wariantywnie – to kolejny germanizm – *filerem*, *filową* albo *filówką* (niem. *Fuellfeder* – „wieczne pióro”). Długopisy zaczęły się pojawiać dopiero w szkole średniej, ale jeszcze wtedy epizodycznie.

Przywołane wyżej kałamarze napełnione atramentem umieszczone były w specjalnych otworach w ławkach. Otwory na kałamarz miały też często inne meble szkolne. Jeden z nauczycieli mego Taty w przedwojennym tarnogórskim Seminarium Nauczycielskim dysponował rodzajem biurka z takim właśnie otworem. Dowcipni uczniowie, kiedy nikt ich nie widział, wyjmowali kałamarz i przez ów otwór w zamkniętej szufladzie biurka swego profesora robili niemilosierny bałagan. A słyszący z impetywności belfer się wściekał, bezskutecznie zmieniał parę razy zamek, wykrzykując: „Znów mi tu jakaś świnka ryła!”. Seminarysty po jakimś czasie zlitowali się nad swoim nauczycielem, wskazując na otwór z atramentem jako – być może – przyczynę całego zamętu. Profesor im za tę sugestię podziękował, otwór zakneblował i... świnka przestała ryć!

# Odwiedzanie grobów

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Listopad to w naszej polskiej tradycji, li nie tylko, miesiąc pamięci. Pamięci, refleksji i zadumy; wspomniania tych, którzy byli wśród nas, jednak już odeszli. Swoje odzwierciedlenie, ta zaduma, wzbogacona konkretnymi tradycyjnymi zachowaniami – które dziś ulegają przemianom, zwłaszcza zeświecczeniu – znajduje jednoznaczne odzwierciedlenie w pierwszych dwóch dniach tego miesiąca. To dzień Wszystkich Świętych obchodzony 1 listopada i dzień następny, czyli Dzień Zaduszny. W te dni, zgodnie z tradycją, chodzimy na cmentarze, docieramy do mogił naszych zmarłych krewnych, przyjaciół i znajomych, ale także osób, które w naszym życiu narodowym, czy regionalnym, odegrały znaczącą rolę. Ale przynajmniej, że już w ubiegłym stuleciu wielu z nas nie znało istotnego sensu obu dni. Bo przecież zgodnie z tradycją kościelną 1 listopada czcimy tych, którzy osiągnęli „stan zbawienia”. A zatem po prostu przebywają w niebie. Któż o tym dziś wie? Ta wiedza uległa zatarciu. Jako etnolog i antropolog kultury przyznam, że jeszcze przed kilkudziesięciu laty, prowadząc badania empiryczne na temat religijności wśród Górnoszlązaków, wielu najstarszych rozmówców, czyli owe „starki” i „starzyki”, jednoznacznie o sensie obu dni wiedzieli i rozumieli. Czyli powtórzmy to, że 1 listopada czcimy pamięć tych, którzy są już w niebie, a 2 listopada, to dzień tych, którzy jeszcze oczekują na ewentualne wyniesienie do nieba. Dziś przede wszystkim odwiedzamy groby w dniu Wszystkich Świętych, a jeszcze w XIX wieku szczególne znaczenie miały tradycyjne Zaduszki. Przypomnijmy, to stara tradycja słowiańska, która charakteryzowała się niezwykle wierzeniami, ale także znormalizowanymi kulturowo zachowaniami. To był klasyczny obrzęd, otoczony niezwykle wierzeniami, ale też zwyczajami i obyczajami. W tym wszystkim, co się wówczas działo, ujawniał się szczególnie rodzaj wiary w relacje

między żyjącymi a tymi, którzy zmarli. A ci byli ustawicznie obecni wśród żyjących. I w tym momencie nasuwa się jednoznaczne skojarzenie z poetyką wizją obrzędu Dziadów Adama Mickiewicza. To oczywiście inny teren niż nasz. Ale również w tym regionie w poprzednich wiekach wierzone w szczególne relacje z tymi, którzy odeszli, którzy byli, ale i są wśród nas. To oni swoiście stoją na straży przestrzegania systemu wartości, trwania przy Dobru i odrzucania wszystkiego co Złe. To oni, kiedy żyli, uczyli swoich potomków właściwego postępowania. A przede wszystkim wiary w Chrystusa, prawdziwego rozumienia sensu życia i śmierci. Jakże wyraźnie odzwierciedlały ten sposób myślenia dawne lamenty. Oczywiście w literaturze polskiej mamy wiele wspólnych utworów odzwierciedlających fenomen śmierci i bolesti.



Niedoścignym przykładem jest Lament Świętokrzyski, utwór był spisany w latach 70. XV wieku przez Andrzeja ze Słupi, ale sam autor utworu nie jest znany. I dodajmy w tym miejscu, że to klasyczny przykład średniowiecznego planktu (łac. *planctus*, czyli narzekanie, płacz), w którym wyrażano przeżycia po zmarłej osobie. Tym samym tworzyła się spontanicznie swoistego rodzaju wspólnota cierpienia. Nasza literatura dostarcza wiele innych przykładów. A w czasach nam bliższych u nas na Górnym Śląsku znane były liczne

ludowe pogrzebowe lamenty, a także modlitwy. I tu mam skojarzenie ze znanym utworem muzycznym Henryka Mikołaja Góreckiego, czyli III symfonią, znaną jako „Symfonia pieśni żałobnych”. To utwór muzyczny oparty na oryginalnych tekstach. I tak na początku pojawia się XV-wieczny lament, a w części drugiej polski zapis z celi Gestapo. I wreszcie na koniec tekst anonimowej śląskiej pieśni ludowej zanotowanej przez prof. Adolfa Dygacza 23 czerwca 1969 roku. Wyraża dramat matki po śmierci syna powstańca:

*Kajze mi sie podziol mój synocek miły,  
pewnie go w powstaniu grenszuce zabiły.  
Wy niedobrzy ludzie dla Boga świętego,  
czemuście zabili synocka mego?*

Piękny utwór, bolesne teksty. Bo przecież owe dni listopadowe wywołują wzruszenia. Wszystkich Świętych, a nawet jeszcze i dziś dzień Zaduszny to czas wspomniania – jak dawniej – tych, którzy odeszli. Ale czy na pewno? Cmentarze są oczywiście pełne kwiatów i świec. Ale rodzi się pytanie, jak owe dni są przeżywane, czy tkwią w tych obchodach nadal treści religijne. Wszak deklarujemy, z jesteśmy społeczeństwem katolickim. Mam na uwadze zwłaszcza młode pokolenie. Przecież dziś w realiach globalizmu, ponowoczesności żyjemy w innym świecie. To realia niestabilnych autorytetów, złudnych uroków popkultury. A przecież pobyt nad grobem jest okazją do refleksji nad życiem, nad fenomenem czasu. Warto więc zastanowić się nad słowami Simone Weil, francuskiej filozofki, mistyczki i żydowskiej działaczki, iż „kontemplacja czasu jest kluczem do życia ludzkiego. Jest to niesprowadzalna do niczego tajemnica, do której żadna nauka nie ma dostępu”. Przynajmniej, myśl ważna. A czy dziś nad mogiłami tworzymy prawdziwą – jak dawniej – wspólnotę pamięci i bolesti?

# Bohaterowie naszych czasów

KRZYSZTOF ŁĘCKI

**I**  
Oglądamy z Gabrysią filmy z serii (?) „John Wick”. I tak sobie rozmawiamy o bohaterach naszych czasów. Bo że grany przez Keanu Reevesa John Wick jest jednym z takich właśnie bohaterów, to zdaje się oczywiste. Bohaterowie naszych czasów... Od Michaiła Lermontowa, XIX-wiecznego literata, autora „Bohatera naszych czasów” zapożyczam tylko tytuł – zresztą tu w tym felietonie znajdzie się więcej bohaterów jest niż jeden Pieczorin. I jeszcze to – bardziej niż psychologia interesuje mnie pewien rys kulturowej zmiany, jaki się w naszych czasach dokonał. Nie, nie zamierzam dla porównań sięgać do historii, nawet do Lermontowskiego XIX wieku. Chcę porównać dzisiejszych bohaterów – z herosami sprzed pół wieku.

**II**  
Kiedyś uwagę publiki przykuwało małżeństwo Rainiera III, księcia Monako i aktorki Grace Kelly. Dzisiaj opinia publiczna żyje historią księcia Harry’ego i Meghan Markle. Jedyny wspólny mianownik dostrzegam tu w tym, że i Grace Kelly, i Meghan Markle to aktorki. Różni je tylko klasa. Nie tylko klasa aktorska. To widać gołym okiem – więc idźmy dalej. Pisałem o tym niedawno: w modzie dzisiaj kpić z relikwii – ech, te szczerble z drabiny, która przysniła się świętemu Jakubowi, ten ząb świętych Piotra i Pawła. Ale kupowanie fiolek z wodą, w której kąpała się jakaś influencerka, czy wydalanych przez nią gazów, jakoś nie wprawia w stan zdumienia. Kiedy piszę ten felieton zewsząd słyszę o Caroline Derpienski – zakładam, że dla wielu to też „bohaterka naszych czasów”. Jej język polski z silnym amerykańskim akcentem (co tak wykpiła Katarzyna Nosowska) kogoś może wprawiać o ból głowy. Ale szkolenia, jak bogato wyjść za mąż, będą pewnie cieszyły się powodzeniem. A wulgaryzmy bohaterki programu „Królowe życia”? A może przesadzam z krytyką ich wulgarne języka? Wszak być może to, co dzisiaj oburza lingwistycznych wrzeliwców, po czasie okaże się politycznym postulatem.

**III**  
Czy tak wyglądają „wszyscy święci” dzisiejszego medialnego Panteonu?

Ale tu pozwolę sobie na wprowadzenie wątku sentymentalnego. Rogera Moore’a poznałem (na ekranie, rzecz jasna) w serialu „Święty”. I pozostał – nie tylko dla mnie – jedynym *Świętym*. Nie stali się ikonami pop-kultury aktorzy, którzy wcześniej niż Moore grali bohatera powieści Leslie Charterisa – czyli Louis Hayward, George Sanders, Hugh Sinclair, Félix Marten. Nie miał szans w konkurencji z Rogerem Moorem – już w latach 60. – także Jean Marais. Nie udało się też zupełnie „Powrót Świętego”, gdy pod koniec lat 70. próbował go zagrać w kontynuacji kultowego już wówczas serialu Ian Ogilvy. Założę się też, że nikt nie pamięta kilku filmów, w których pod koniec lat osiemdziesiątych Templeara próbował odgrywać niejaki Simon Dutton.

Kompletną, ale za to jakże spektakularną, pomyłką był z kolei jak najbardziej współczesny obraz – film fabularny Phillipa Noyce’a „Święty”. W nim Simona Templeara (czyli *Świętego*) udawał z kolei, jak tylko mógł, Val Kilmer. Rzecz w tym, że z przyrodzonych powodów mógł – niewiele. To prawda w wielu scenach jego twarz zasłaniały maski, ale i to nie wystarczyło, by film uratować. W najbardziej wyważonej recenzji na jaką mnie stać, mógłbym powiedzieć o samym Kilmerze tyle, że najwyraźniej każda epoka ma swego *Świętego*. To, że zdaniem wielu moich znajomych Kilmer mógłby zagrać w filmie Jeana-Jacques’a Annauda „Walka o ogień” i to bez żadnej charakteryzacji wiele mówi mi o współczesnych gustach. Chociaż... Trzeba przyznać, że Keanu Reeves na tle Vala Kilmera daje nadzieję, że postęp w tym względzie nie zawiedzie nas wprost do jaskini.

**IV**  
Jakiś wspólny mianownik dla Templeara i Wicksa? Otóż jak łatwo można sobie przypomnieć (internet, You Tube, DVD) grający Templeara Roger Moore był nie tylko błyskotliwym dżentelmenem, w każdej sytuacji szarmanckim mężczyzną, ale umiał się bić. „Piąstkę to Ty masz Hans” – mówił z podziwem Herman Brunner do Klossa w „Stawce większej niż życie”. I Simon Templear też

miał „piąstkę”, oj miał. Tyle, że bójki, które toczył były realistyczne. Ktoś się uśmiechnie – realistyczne? Ależ tak, realistyczne, gdy porównać je z tymi, w których udział bierze John Wicks; ten ma i piąstkę, i nóżką uderzyć umie. *Święty* był wspaniały, ale był z naszego świata – tłukł się z osiłkami i, choć był w tych bójkach efektowny, zdarzało mu się także czasem nieźle oberwać.

A John Wick? Ten zabija na pięć przeciwników uzbrojonych po zęby, znających tajniki wschodnich sztuk walki. Może nawet kilkudziesięciu w jednym filmie, bo kilkunastu, to już na pewno. I to nie detalicznie – ale hurtem, w czasie jednej z akcji filmu. A akcji w tym filmie akcji (a więc i okazji) – jest wiele. Sam otrzymuje wiele ciosów, to prawda. Ale nawet po takich, po których w „realu” musiałby na wiele miesięcy trafić do szpitala, otrząsa się błyskawicznie daje następnym kilkudziesięciu wrogom do wiwatu. Czy jest niezniszczalny? No cóż... Na głowę Wicksa zostaje wyznaczona cena – 14 mln USD (potem – cena nawet rośnie). Czy ma szansę przeżyć? – pyta jedna z drugoplanowych postaci filmu. – Cały (bandycki) Nowy Jork ma chrapkę na te miony, więc szanse są wyrównane (sic!) – odpowiada jeden z mafijnych bossów. No i co? Jaki był wynik starcia z cyklu „jeden przeciw wszystkim”? Druga część filmu kończy się remisem – ale jednak ze wskazaniem na Johna Wicksa. On przeżył, a wielu zdążył pozabijać.

PS. W kręconym w latach 60. ubiegłego wieku serialu „Święty” pojawiają się niekiedy dekoracje, powiedzmy, teatralne. Dzisiaj – nie do przyjęcia. W XXI wieku jest lepiej. Tak, lepiej, ale nie znaczy to, że prawdziwie. Nawet na najbardziej elementarnym poziomie. Kiedy w trzeciej części swoich przygód Wicks pragnie trafić do Casablanki, to widzowie, którzy odwiedzili Maroko, wiedzą, że w rzeczywistości znalazł się w Essaouira. Casablanca to dobrze brzmi, a zorientowanym w historii kinematografii przywiedzie na myśl słynną „Casablanke” z Humphreym Bogartem i Ingrid Bergman. A Essaouira? Nikomu nic to nie mówi, a i wymówić trudno.



## Hybrydy (3)

TOMASZ BOCHEŃSKI

**Przez Józefów** i Ludowinkę albo przez Alfonsów, Mikołajewice i Magdalenów, albo okrężną drogą przez Janów, Pelagę, Elodję, Marianów i Hipolitów. Do Włodzimierza, do piekarni, po wiejski chleb. Latem, w pogodny dzień, bochenki stygną na zewnątrz, pracują wentylatory, mąka biega po trawie i po dachach, trafia się bezbłędnie po zapachu. A w srode jechać można za inną melodią, ciasta drożdżowego, jeśli się ją słyszy, ja nie potrafię wyczuć tych nut, potrafię tylko jechać za chlebem. Jeżdżę do piekarni jak na spotkanie z bliskimi, otwieram drzwi i zbliżam się na wyciągnięcie dłoni do bochenków. Do żytniego najpierw, który ma skórę jak dziadek Tadek, powieki zmęczone rannym wstawaniem, czoło upieczone na słońcu. Potem do czarnuszkowego, gdyby go okryć chustą, mógłby jak Bożentyna na targu sprzedawać marchew i niedojrzałe pomidory, proszę je położyć na parapecie, dojrzeją. Do jaglane go na koniec podchodzę, dostawałbym go z serem i rzodkiewkami, do szkoły, na dużą przerwę, żeby mnie całował jak mama. Szukam jeszcze Jurka, pośród wielu innych chlebów, mak go zabrał dawno temu, ale nigdzie nie znajduję, i nie mogę zgadnąć, pod jaką postacią się skrył. Rozglądam się, muszę mieć nieobecne oczy, jakbym się zgubił, Alicja, która podaje chleb, nie podchodzi do mnie, chociaż lubi rozmawiać, szczególnie z dużymi facetami. Pięknie pachnie, mówię, żeby ukryć myśli.

I tak zbyt łatwo można dostać prawdziwy chleb, chociaż tutejsza większość uważa, że za trudno i nie jeździ do Włodzimierza. Piekarnia otwiera się od poniedziałku do czwartku, od ósmej wieczorem do północy, leży na uboczu, dziesięć kilometrów od miasta, chleb nie jest tani, trzeba znać drogę, późnym wieczorem nie chce się jechać. Następnego dnia rano już się nie kupi blisko, trzeba pokonać trzydzieści kilometrów do Łodzi, tam jakiś sklep sprzedaje chleb stąd. Trudna tradycyjna receptura trochę odstrasza, szczególnie młodych, najtrudniejsza jest nazwa „wiejski bochenek”, dziś nikt nie chce pochodzić ze wsi. Aż miesiąc temu nie wiadomo skąd, zjawił się Łukasz, który postanowił pomóc. Wymyślił nową nazwę „czysty ekochleb” i logo, od tego zaczął, i opakowanie, folia plus papierowa opaska, strony na portalach, filmiki,

niech kamera sięgnie do środka pieca, piekarz niech opowie o wypieku, dajmy logo na ciężarówkę i skończmy ze sprzedażą detaliczną, zabiera za wiele czasu, sprzedaż tylko poprzez znane sieci, zapłaćmy za reklamę, może weźmy kogoś od zdrowej diety, i wsłuchajmy się w opinie konsumentów, podziękujecie mi za wzrost sprzedaży, chcę tylko dziesięć procent. I zaczęło się, ruszyła produkcja prawdziwego chleba, podobnego do innych prawdziwych chlebów, podobnego do innych prawdziwych produktów, piekarnia rozrosła się i zjadła pół Włodzimierza. Ale na szczęście to był tylko zły sen. Przyśnił mi ten koszmar w Ludowince, niedaleko stawów rybnych, w ciężkiej, zimowej mgle, miliony chlebów bez twarzy, nowoczesnie zapakowanych.

Nie mogę opowiedzieć, co mówią, gdy wiozę je do domu, może tylko jedną historię, o czarnych bocianach, w środku lasu, przy świerkowej drodze. To musiał być maj albo czerwiec, piskłeta ledwo wystawała z gniazda. Kucaliśmy z dziadkiem wśród parasoli paproci, wzajemnie się uciszając. Zobaczyliśmy jeszcze jedno karmienie, prosiłem, nie, tylko to jedno, jeszcze się splotą. Gładzę żytni bochenek, zatrzymuję, co zdarzyło się później, krzyczeli i walili w drzewa, dorosłe splotyli, gniazdo zrzucili drągami, udusili piskłeta i zjedli, ścięli świerk i jeszcze dwa obok, ale teraz chwila pod paprociami trwa i trwa. Mógłbym tak jeździć z chlebem całą noc i słuchać, aż ostygnie. Dziś mimo wszystko wracam najkrótszą drogą, nożem robię znak krzyża i przecinam wszystkie opowieści.



**Od pół roku** pracuje nade mną trenerka rozwoju osobistego. Nie chciałem trenera, koniecznie trenerki. PPP, czyli pracę powoli patriarchat. Przedtem trenował mnie tylko mój ojciec, intensywnie przez około dziesięć lat, a później, czyli przez pięćdziesiąt lat, tylko sporadycznie. Na pierwszym spotkaniu z moją trenerką, z Anną, nie odpowiedziałem na pytanie, jakie sobie stawiam cele. Nie mogłem zdradzić, jakie. Że chciałem mieć też trenera, jak inni z moją pozycją? I że chciałbym, żeby nie było gorzej? Uczepiliśmy się na szczęście wagi, diety, systematyczności, ćwiczeń fizycznych, jogi, rozkładu

dnia, kariery, panowania na emocjami. Po trzech tygodniach droga do pracy zabrała mi pięćdziesiąt minut. To mój rekord, wcześniej przejeżdżałem w trzydzieści, najwyżej w czterdzieści minut, a teraz nie spieszyłem się, nie irytowałem, nie chciałem wszystkich wyprzedzić, oddychałem. Rano piłem soki z wyciskarki wolnoobrotowej, przestałem jeść słodczyce, nawet w nocy. I rozpoznawałem podobnych do mnie, ten, stwierdzałem, ma trenerkę albo trenera, sam by nie doszedł do takiej formy. Trenowałem systematycznie, poprawiły się moje wykłady, uczyłem się pracować w grupie, bez odpoczynku wbiegałem na trzecie piętro instytutu, aż zobaczyłem w nocy turniej tenisowy Australian Open.

Produkowano wygrywających tenisistów. Kamery pokazywały trybuny, w boksach zespoły trenerskie oglądały wyniki produkcji. Najsmutniejsi, najlepsi, mechaniczni dążyli konsekwentnie do wygranej, do ciągłej wygranej nad sobą. Mieli wytrenowany odpoczynek, dawanie autografów i całą resztę. Iga, Polska jej kibicowała, przegrała w jednej ósmej finału. Powiedziała po porażce, że odrobi lekcję i każdego dnia włoży wysiłek w to, żeby się rozwijać i być coraz lepszą tenisistką. „Piekielna organizacja”, wypowiedziałem słowa Witkacego, krańcowo wyczerpany. O ósmej miałem jogging, o dziewiątej trzydzieści powinienem trzy godziny pracować nad projektem, o pierwszej kalendarz pokazywał dyskusję z zespołem badawczym. Nie wiem, które z tych słów najbardziej mnie odpychało, chyba projekt. Położyłem się na kanapie i zacząłem czytać „Zbożną biesiadę”.

Po pierwszej telefon dzwonił bez przerwy. Zadzwoniła też Anna. Jak mi idzie dzisiaj? Wróciłem do Erazma z Rotterdamu, od dawna chciałem. Zażartowała, że Erazm to mój dawny holenderski trener. Odważyłem się, nie wiem, czy chcę się rozwijać czy związać. Usłyszałem, że każdy ma chwile słabości. Miałem wylizzyć, co osiągnąłem przez ostatnie pół roku. Wyregulowałem oddech, zacząłem, stałem się bardziej uważny, no i tak dalej. A więc, rozumiesz, łapiesz powoli timing, timing dzisiejszych czasów. Może wyciszę się z Erazmem, a potem złapię timing jak Iga. Megaprojekt – pochwaliła mnie moja trenerka.

# Sport ostatniej mody, czyli zapomniana zabawa prababek

JAN MALICKI

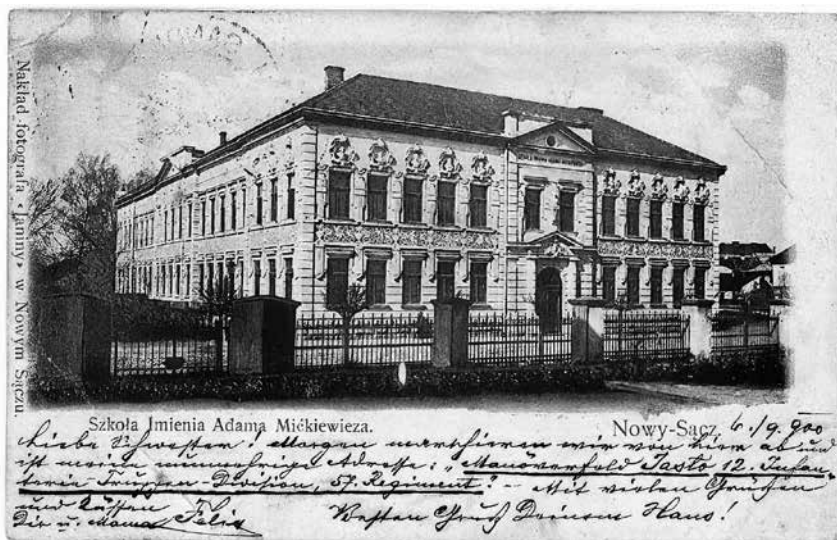
Zupełnie przypadkiem wpadła mi do rąk niezwykła kolekcja „kart korespondencyjnych” sprzed 120. lat, określanych jako: Correspondenz Karte, Cartolina postale, Post-card; u nas zaś: korespondentka, pocztówka, odkrytka czy widokówka. Ta ostatnia nazwa nierozdzielnie łączy się z rysunkiem lub zdjęciem obiektu, dopełnianym zazwyczaj osobistym tekstem nadawcy, aktywnego już w akcie jej kreacji. To przełamanie barier ograniczających sferę zawsze aktywnego twórcy, od projekcji biernego, ograniczonego jedynie do przyjmowania przez odbiorcę odautorskich realizacji. Było ono czymś niezwykle istotnym.

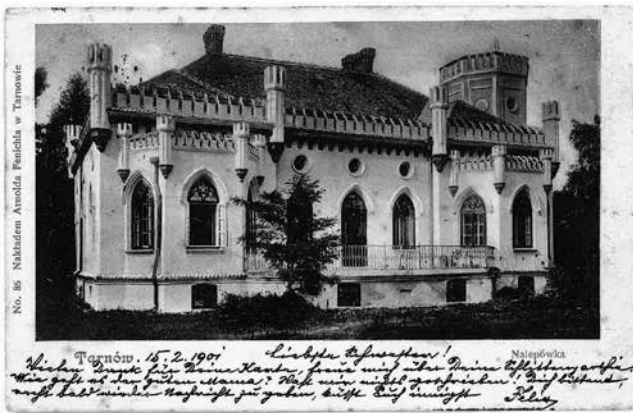
Równie ważne były też „związki krwi” między tekstem a obrazem; związki występujące chyba od zawsze. Mnie jednak zainteresowały trzy etapy wyprzedzające pojawienie się korespondencyjnych kart, szczególnie jednej ich odmiany – widokówek. Pierwszy, to przebogata barokowa a symboliczna w swej wymowie emblematyka. To jedna z małych form graficznych, wyraźnie rozdzielająca konstrukcyjnie motto, najczęściej alegoryczną ilustrację oraz wierszowaną inskrypcję. Wymowa jest oczywiście wieloznaczna i wielointerpretacyjna dla odbiorcy. Przełom XVIII i XIX wieku w sferze ilustracji, zwłaszcza książkowej, przyniósł

kolejne zmiany modelu relacji między twórcą a czytelnikiem, a którego symbolem jest dla mnie gdańszczanin Daniel Chodowiecki jako ilustrator. Głównie z jego berlińskiego okresu twórczości. Jest oczywiście w dalszym ciągu trójczłonowa konstrukcja, ale zmienia się technika, przeważa miniaturyzacja a dominuje drobiazgowo odtwarzanie realnego świata. Jednak granice demarkacyjne między twórcą a odbiorcą w dalszym ciągu są nieprzekraczalne. Przełom nastąpił właśnie w XIX stuleciu, kiedy to wynalazek dagerotypu pozwolił werystycznie oddawać rzeczywistość, a i bohater uczestniczył w ograniczony i konwencjonalny sposób, wpływając jednak (mimo często ośmiogodzinnego seansu) na ostateczny kształt dzieła. I właśnie z nowym modelem grafiki oraz werystycznym atutem fotografii, przekraczanie bariery współtworzenia dzieła, łączyć należy jeszcze z inną małą formą graficzną, jaką staje się widokówka w momencie wysyłania jej do odbiorcy.

Dotykamy więc kolejnej istotnej kwestii, która stała się atutem, zaletą i przyczyną niezwykłej popularności tej właśnie formy kontaktów międzyludzkich; ale i znacznego przyspieszenia bezpośredniej komunikacji między jednostkowym nadawcą a jednostkowym odbiorcą. Użyteczność przy zachowaniu walorów estetycznych, werystycznego, a więc prawdziwego obrazu, mimo jego miniaturyzacji. To odpowiedź na potrzeby szybkiego przekazywania sobie wiadomości na odległość w szalonym wieku wynalazków, uprzemysłowienia i transportu, ale i dostrzeżenie wartości estetycznych, szczególnie zaś jednak zwykłego człowieczeństwa w sferze bardziej osobistej, prywatnej. Stąd i chęć zachowania świadectw minionego czasu. Rodzi się w Europie „sport ostatniej mody”, „sport kartkowy”, filokartystyka, deltiologia.

Dzieje karty pocztowej to również katalog rozmaitych przywar ludzkich ujawniających się, a rozciągających się między konserwatyzmem intelektualnym („tak było zawsze i niech tak pozostanie”) a potrzebą przełamania ludzkich ograniczeń: formalnych, resortowych, charakterologicznych decydujących. Nie czas oczywiście na przedstawianie etapów





batalii z lat 60.tych XIX wieku. Wiemy, że pierwszą propozycję unowocześnie-  
 nia pocztowej codzienności, jakim było  
 wprowadzenie „otwartego listu”, zło-  
 żył w Berlinie dr Heinrich von Stephan  
 w 1865 roku. Propozycję oczywiście od-  
 rzucono. W cztery lata później w Wied-  
 niu dr Emanuel Herrmann ogłosił memo-  
 riał „O nowym sposobie korespondowa-  
 nia pocztą”, który nie tylko przyjęto, ale  
 i dopuszczono do użytku tzw. „odkryty  
 list”, który był na tyle atrakcyjny, iż stał  
 się wręcz obowiązującym niemal na ca-  
 łym świecie. Od Rosji po Stany Zjedno-  
 czone, Kanadę, Chile. I to zaledwie w cią-  
 gu pięciu lat. Szczególną rolę odegrał on  
 jednak w czasie wojny francusko – pru-  
 skiej w roku 1870. Wtedy bowiem – pisze  
 Henryk Bednarski – „pojawia się jej ilu-  
 strowana odmiana. Autorstwa pomysłu,  
 realizacja i miejsce powstania ilustrowa-  
 nej pocztówki jest kontrowersyjne. Fran-  
 cuzi (A. Kyrou i inni) uważają za wynal-  
 zając widokówki i jej pierwotnego reali-

zatora księgarza z Sille, de Guillaume Le-  
 ona Besnardeau. On to w miejscowości  
 Colie w czasie wojny francusko-pruskiej,  
 gdy zabrakło żołnierzom listów i kopert,  
 dał wydrukować w Rennes kilka rodza-  
 jów kart zdobionych przez siebie (sygno-  
 wanych inicjałem L.B.), które sprzedawał  
 żołnierzom”. Inne zdanie mają bada-  
 dacz z Niemiec, Serbii i Wielkiej Bry-  
 tanii. Problem z widokówkami zasadzał  
 się jednak na czymś zupełnie innym. Na  
 swoistym konflikcie między tekstem pi-  
 sanym, zagarniającym coraz większą po-  
 wierzchnię a rysunkiem, znajdującym  
 się oczywiście na tej samej stronie. Do-  
 piero pod koniec roku 1905 Światowy  
 Związek Poczty „znormalizował – pisze  
 Henryk Bednarski – wygląd obu stron  
 pocztówki wprowadzając pionowy pod-  
 dział urzędowego rewersu”. Odtąd gra-  
 nica roku 1905 pozwala już na pierwszy  
 rzut oka określić czas powstania; przed  
 lub po reformie. Ale był to też czas nie-  
 słychanego zaleństwa, jakie ogarnęło  
 świat. Powstawały wyspecjalizowane  
 sklepy, kluby kolekcjonerów, na których wymie-  
 niano się kartami pocztowymi. W salo-  
 nach wystawiano kolekcje własne i klubowi-  
 czów; organizowano wystawy najdziwniejszych form.  
 Jesteśmy wszak w czasie secesyjnych  
 niezwykłości. Prasa nazywała ową fascynację  
 właśnie sportem kartkowym.

Przywołana przeze mnie  
 na początku kolekcja li-  
 czy zaledwie 15 pocztówek.  
 Wszystkie one pochodzą z lat  
 1898–1901, a więc z pierw-  
 szego, jeszcze nie skodyfiko-  
 wanego okresu, kiedy tekst  
 mieszał się z ilustracją. Trud-  
 no jednak opisywać każdy  
 dokument z osobna, przyją-  
 łem więc trzy kryteria. Naj-  
 ważniejsze, to oczywiście  
 nadawcy i adresaci. Naj-  
 licniczą grupę stanowi  
 korespondencja prowadzo-  
 na przez rodzeństwo – Fe-  
 liksa Trexlera i jego siostrę  
 Franzi. On większość czasu  
 przebywał w Małopol-

sce, ona w Berlinie i Hannoverze. Dziś  
 jeszcze nie znamy ich pełnej biografii.  
 Znamy ledwie ułamki losów z ich ży-  
 cia. Wiemy na przykład, że Feliks 1 li-  
 stopada 1915 roku odchodzi z wojska  
 w stopniu majora, kontynuując swo-  
 ją pracę jeszcze przez 1,5 roku, do 12  
 lipca 1916 roku jako wojskowy dorad-  
 ca i zastępca grupy czeskiej Oddziału  
 Cenzury Wspólnego Biura Rejestra-  
 cyjnego Czerwonego Krzyża. To led-  
 wie hipoteza; bowiem losy autora ko-  
 rrespondencji do siostry, krzyżowały  
 się z innym Trexlerem – Ludwikiem,  
 komendantem jednego z batalionów  
 Landwehry. A zachowana korespon-  
 dencja jest zaciekawiająca. Pierwsza  
 pocztówka „Ricordo di Roma” wysła-  
 na została 13 czerwca 1898 roku; dwa  
 miesiące później – „Recuerdo de Ma-  
 drid” z 26 sierpnia 1898 roku. Wszys-  
 tkie je łączy delikatny, barwny rysunek,  
 wydobywający najdrobniejszy szczegół.  
 Te widokówki dopełniają równie bar-  
 wne obrazy z Jasła zapewne bliską mu  
 lokalną odświeżnością: wieczór tańcu-  
 jący, konną przejażdżkę, zawody jeź-  
 dzieckie. Tę sielankową rzeczywistość  
 zakłóca rysowany czarnym tuszem na  
 białym tle portret zamordowanej 10  
 września 1898 roku w Genewie cesa-  
 rzowej Sisi. Portret ten robi wrażenie.  
 Subtelna twarz, szlachetna postawa i te  
 oczy. Reszta kolekcji to wedyuty Tarno-  
 wa i Nowego Sącza. One w pełni już  
 ukazują artyzm i perfekcjonizm twór-  
 ców małych form graficznych.

Ale dwie inne widokówki prowokują  
 do poszukiwań i odgadania kolei życia  
 „Signoriny Virginii Valero”, rezydentki  
 istniejącego do dziś hotelu Wandel am  
 Peter, adresatki anonimowych kartek.  
 Jednej przedstawiającej teatr miejski  
 w Wiedniu; i drugiej z alpejskiego mia-  
 steczka Arco wraz  
 z górującym szczy-  
 tem Monte Bondone.  
 Dla mnie niezna-  
 jomość ta jest prowo-  
 kacją, niczym słowa  
 Wisławy Szymbor-  
 skiej. Bo „nie wiem”,  
 to ledwie począ-  
 tek drogi pozna-  
 wania.



Irmina von Siegenbach wróciła z Pless. Spieszyła się do domu, nie była przekonana o przyczynach swojego zachowania. Do tej pory nie miewała takich wątpliwości. Matylda czekała na Irminę przed domem. Ekwipaż był trochę przyszarzony pyłem drogi. Irmina z wolką na twarzy rozglądała się jakby kogoś szukała. W on czas z Hansiego spływały ostatnie krople czekolady.

Matylda wyniosła z ekwipażu dwa sakwojaże Irminy, były zrobione z kurdybanu i trochę szeleściły. Franosch stał przy drzwiach po swoje dwie dziesięciofenigówki. Cóż za radość, że wróciła pułkownikowa. Wojna miała się dobrze. Rosjanie uciekali, a Franoscha nie wezmą bo po wypadku w Bismarckhutte miał krótszą nogę. No może do Landwehry. Franoschowi wojna się podobała. Koniec sierpnia w Kattowitz był upalny. Kattowitzer Zeitung pisał o bezbrzeżnej nędzy w Zagłębiu rosyjskim, podobnie tam brak higieny i w.c. (water closet był urządzeniem w Rosji nieznanym). Franosch się cieszył, bo Rosjan uważał za Azjatów. Irmina von Siegenbach tęskniła za Hansim, ta konstatacja wstrząsnęła nią. Ona, dojrzała kobieta wchodziła w rytm, który może zburzyć jej życie. U większości kobiet fascynacje są silniejsze. Chciała i być może myślała, jak każda kobieta o krótkim romansie, a nie o fascynacji efebem. Tak gwałtowny romans i nawet gdyby został odkryty przez Wilhelma to może pojedynynek, separacja, wyjazd, tylko gdzie?

– Matyldo – Irmina uspokoiła głos – idź do Hansiego przyprowadź go, muszę dokończyć jego portret.

Matylda też chciała oglądać Hansiego. Młody Bellamer był osłabiony wmitacją, rozedrgany, poniżony przez ojca i Don Diego y Save-dra, z którego zostało już niewiele. Hansi zniemawidził czekoladę i jej zapach, który będzie się mu kojarzył z Hotentotkami ojca. Kakaowa zemsta kombatanta na własnym synu była dokonana. Inżynier Bellamer bawił się kolejką. Dziwnie kucał na jednej nodze i podziwiał jak zgrabna lokomotywa z wagonami przejeżdżała przez rozjazdy, które z zapamiętałością zmieniał, robiąc to w ekwilibrystyczny sposób, przemieszczał bowiem prawą nogę w bok, klnąc Brytyjczyków i ich stalową kulę, która odebrała mu urodę, tak mu się w każdym razie wydawało.

– Proszę pana – Hilda stanęła na progu salonu, obok jej nóg przejechał właśnie pociąg. – Matylda od pani pułkownikowej prosi aby Hansi zszedł do niej, chce dokończyć mu portret.

– Niech idzie, nie rozumiem, po co komu portrety malowane jak już dawno można zrobić sobie fotografię, no, ale niech idzie.

Osłabiony Hansi oglądał podróz guliwerowego pociągu. Chciałby ojcu zadać pytanie. Co robił gdy miał tyle lat co on. Czy też nie lubił już czekolady, czy miał ojca, który go nie lubił, tak w każdym razie wydawało się Hansowi, który będąc jedynakiem zaczynał boleśniej odczuwać, coś podpowiadało, że najważniejszą w życiu jest przyjemność.

Irmina drżała przypatrując się swojemu ciału, które według Matyldy było doskonałe a według Irminy zaczynało się starzeć. To nonsens, ona nie może się kurczyć, marszczyć, poruszać się coraz krótszym krokiem. Niepokoił ją jej zachwyty ciałem Hansiego, to nie wydawało się być matczyne. Ot, dojrzała kobieta przed trzydziestką, piękna, zaczyna się bać o swój wizerunek.

Hansi zadzwonił dzwonkiem elektrycznym, ten dźwięk przywracał rytm rzeczywistego życia w skrzypiącym domu. Podobnie podziwiał na dwie kobiety zanurzone w rozmyśleniach. Po jakimś czasie Irmina zdała obie sprawę, że początek wojny wywołał w niej szok, dreszcz przeżycia, którego nigdy nie doznała. To był fakt, bo wszak nigdy nie przeżywała czasu wojennego, którego zmiany rytmu będą teraz synkopowane wiadomościami z frontów. Wojna rozwijała się.

Na Mehlstrasse mieszkał wuj Bolle, który zawsze kpił z ojca. Swój przenikliwym umysłem astrologa i wielbiciela prof. Lombroso mówił źle o ojcu Hansiego, a swoim wszak szwagrze. To młodzień-

ca nie denerwowało, co jest dziwne, a raczej bawiło. Ojciec w przycinkach Heinricha Bolle okazywał się być człowiekiem. To wówczas Hansi zaczął dostrzegać ludzkie cechy ojca. Wuj Heinrich też miał swoje okultystyczne śmieszności i absolutną wierność przekonaniu, że wielu ludzi po niby-śmierci jest pograżonych w letargu i podobnie jak Gogol mogą się w trumnie obudzić. Umierał długo a będąc człowiekiem skrupulatnym kazał być skonstruować w trumnie telefon polowy, którego druga część była u grabarza Gruschki w jego domu opodał. Montschka, który wykonywał trumienny obstalunek, miał żonę okultystkę i tylko się trochę śmiała, kiedy z cholewkarzem Lisem popijał wódkę przemycaną z Sosnowca zakaszając bludwurstem od Obory, który nie wiedzieć czego był jehowitą. Lis wówczas bębnił w wieko trumny i gwizdał odę do radości, też nie wiedzieć czemu. Wszystko to opowiadała ciotka, która dość często przychodziła w odwiedziny do matki Hansa – swej siostry. Wuj Heinrich więc umarł. Telefon z tą wiadomością zadzwonił z całą swą elektryczną siłą gdy Hansi był już przygotowany do drogi ku przyjemnościom. Nikt się nie zdziwił, że Heinrich Bolle, biegły księgowy w Spółce spadkobiercy Gische umarł. Ciotka opowiadała matce Hansiego, że Montschka wbudował w ową trumnę pozytywkę z odą do radości, którą gwizdał cholewkarz Lis. Wuj, którego trumna stała w salonie mieszkania przy Mehltrasse kazał swojej żonie nakręcać mechanizm pozytywki gdy ów kończył grać. Tak opowiadała ciotka matce Hansiego o początkach żałoby po wuju Heinrichu.

Hansi wrócił do kobiet, które przygotowały go do pozowania. O dziwo, nie czuł zażenowania, nie dopadał go wstyd, stanął swobodnie z ręką opartą na kawalecie, który był wykorzystywany jako fragment greckiej kolumny. Efebowało bawiła go, nawet nie wiedział jakie wciągające jest obserwowanie przez kobiety ładnego ciała chłopca. Inżynier Bellamer nie przypuszczał, że pod jego stopami dzieje się misterium inicjujące młodzieńca.

Wcześniej – on sobie nie przypominał swojej młodzieńczości. Była niewątpliwie inna, był pod tym względem nierozgarnięty.

Jak każdy człowiek żył w rytmie swoich wspomnień a tu, tak przecież dominująca była hotentotka. Hansiego sparaliżowała jedna myśl, zobaczył swojego ojca nagiego, opartego o kawalet. Nie, to było tak nierealne, ale jakże fascynujące. Mając dwanaście lat doznał już tylu wzruszeń, tak gwałtownych, że umiał zachwycać się życiem (bo ono i tylko ono drażniąc świadomość dawało istotę odczuć i ich smak. Irmina von Siegenbach nie wstydziła się nawet przez chwilę swoich pragnień. A że były to pragnienia związane z efebem nie musiała niczego sobie tłumaczyć. Rozgrzewała ją perwersja, ta słodka bogini młodości i starości. Matylda rozebrała Hansiego. On stał oparty o kawalet, wszystko było w nim proporcjonalne, łagodnie pełne. Matylda co chwilę kręciła piruety i wdychała. Hansi zdawał sobie sprawę, że sprawia swoim widokiem przyjemność kobietom, to wszak było dla niego też przyjemne. Irmina odwracała się bokiem do chłopca i patrzyła na jego półprofil, za chwilę obejmowała wzrokiem całą jego postać. Tak piękni mogą być tylko chłopcy. W ich obrzędzie nie ma słodczy nimfetek, jest prosta ujmująca doskonałość.

Irmina miękkimi pastelami rysowała zdecydowanymi pociągnięciami kredki. Hansi utrwał ją, Matylda stała z boku przypatrując się pracy Irminy. Czyż ta wojna nie jest szczęściem ona sama z Irminą i tym zachwycającym chłopcem. Takie zdarzenia układały się w Matyldowy obraz wojny. Wojna jednak rozwijała się zgodnie z logiką. Przecież po coś wysyłano tych młodych ludzi, Matyldzie podobał się Hansi, ale ten chłopiec nie dla niej, prawdopodobnie również nie dla Irminy, chyba więc jest zabawką jaką zesłał los, tu, na Beatestrasse. Buduar Irminy nasycony przyspieszonymi oddechami kobiet zdawał się Hansowi przedśmionkiem nieba. Do tej pory z chłopięcą naiwnością nie rozróżniał płci, było mu obojętne, kto jest kim. Od czasu spotkania Irminy wszystko było inne, ko-

biecość, której w domu nie dostrzegali, zaczęła go zmieniać, to była wyraźna przemiana, którą dostrzegł w sobie. Kobiecość była słodka zwłaszcza ta, która była piękna a Hansi miał do tego podejście klasyczne, tak mu się przynajmniej wydawało, kobiety piękne to były takie, które mu się podobały. Słodczy zatem wynikała z piękności. Ale przecież Matylda była inna, inna niż Irmina, ale też piękna. Stojąc nagi oparty o kawałek zastanawiał się nad słodyczą i pięknem. Tak minęły prawie dwie godziny. Irmina rysowała nadal. Na kartonie był Hansi, zupełnie nagi i zupełnie piękny. Kobiety malują mężczyzn z czułością albo z całą brutalnością, którą kiedyś od nich otrzymały. Irmina była przecież ordynarnie traktowana przez von Siegenbacha. Uczucia takich kobiet nie dojrzywały nigdy, kochały się w efebach, miały zwiewne lesbijskie przygody. Tęsknota za harmonią i sztuką, która też Irminie wydawała się jednością tworzyła kobietę ozdobną, tak w każdym razie wydawało się to Siegenbachowi. Irmina skończyła portret Hansiego. On do tej pory nie widział siebie. Swojej istoty piękna młodego proporcjonalnego ciała. Irmina odwróciła sztalugi w kierunku Hansiego, stanęła naprzeciw niego i silnie uderzyła go w twarz. Powtórzyła to z drugiej ręki. Matylda stała skamieniała. Hansi poczerwieniał, popatrzył na swój portret, gwałtownie pocałował w rękę Irminę von Siegenbach. Tak zatem sztuka w życiu Hansa posiadała namiętności, której istoty Hans sobie do tej pory nie wyobrażał.

Matylda zrobiła obiad. Kurczaki po wiedeńsku, takie niewielkie, w całości pieczone, podobnie jak kuropatwy, z olbrzymią ilością zielonej sałaty zalanej śmietaną z cukrem i pieprzem. Sałata podkreślała doskonałość młodego pieczonego. Rumienice po razach dalej dodawały Hansiemu uroku zmęczonego biegiem sportowca. Irmina jadła kurczaki palcami wyłamując niewielkie kości ptaków, robiła to dość gwałtownie.

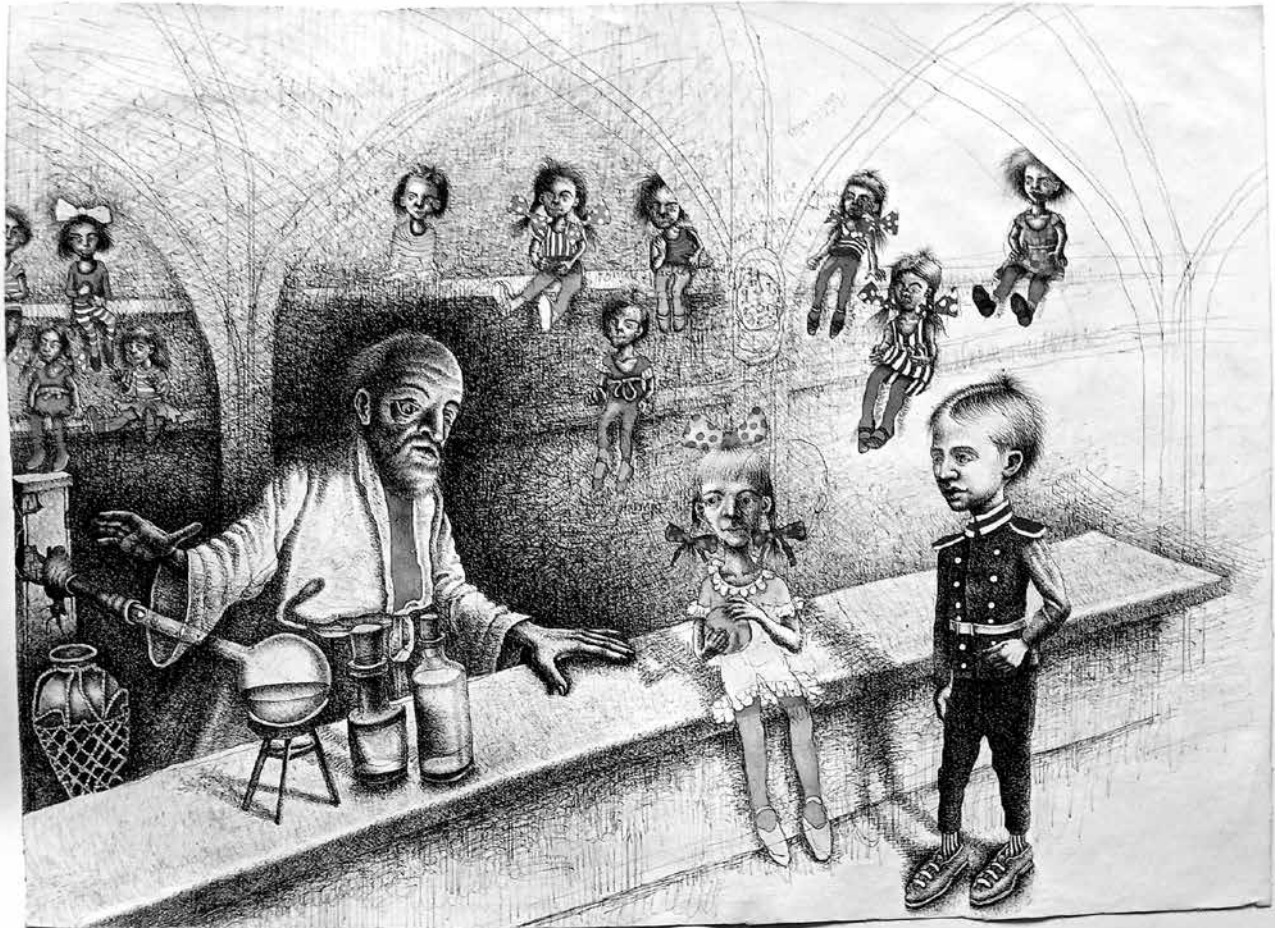
W tym czasie pułkownik von Siegenbach na czele żuawów śmierci wkraczał do Sosnowca. Marzył o szarzy na czele swoich szwadronów, ale nic z tego nie wyszło. Rosjanie uciekli, a mieszkańcy z ciekawością patrzyli na kawalerzystów w czarnych mundurach, z wielkimi trupimi czaszkami na czapkach. Nagle z bocznej ulicy zabudowanej niskimi parterowymi domami, na niewielkich

koniach pojawili się Kozacy z esauem na czele. Uderzenie w bok szwadronu Siegenbacha było gwałtowne, żuawi nie potrafili odwrócić swoich wielkich hanowerów tak by stawić czoła Kozakom. Przejeżdżający łeb w łeb esauł puścił z temblaka swoją szaszkę, która końcem głowni dotknęła lewego oka von Siegenbacha, ono oko niczym galareta z nóżek na słońcu wypłynęło z oczodołu. Kozacy przemknęli obok rozbitego szwadronu żuawów, cicho, bo ich konie miały gumowe podkopy. Wówczas już jednoooki pułkownik von Siegenbach przy pomocy kozackiej szaszki został kawalerem orderu Pur La Merite. Wszystko to działo się szybko, zupełnie odwrotnie niż cała ta Wielka Wojna.

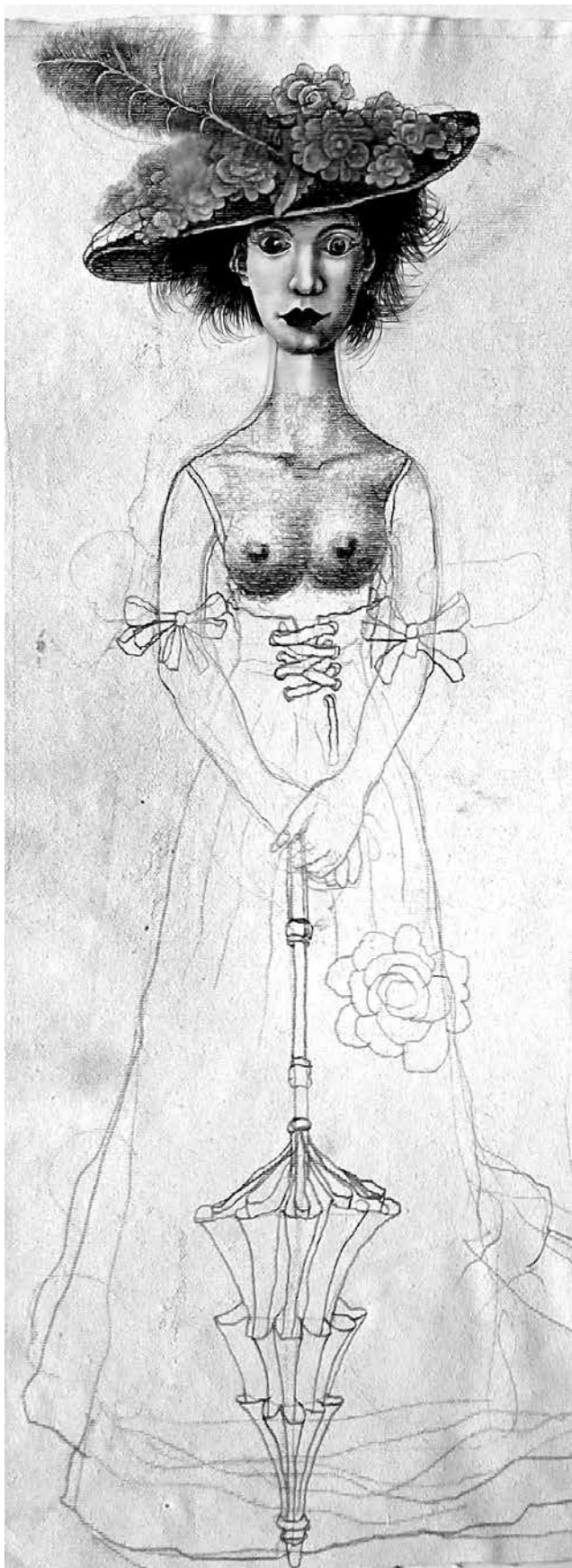
Irmina von Siegenbach czuła się zmęczona, po obiedzie wypijała kieliszek Johannisberga, lubiała to reńskie wino, było delikatne. Matylda położyła na szezlongu Hansiego, który po obiedzie błyskawicznie zasnął. Wrażenia tego dnia były niezwykle mocne. Matylda przykryła chłopca adamazkowym prześcieradłem. Irmina kazała Matyldzie zrobić sobie masaż. Zmęczenie i podniecenie łączyło się u Irminy w stan prawie euforyczny, chciała i musiała to zmienić. Matylda uwielbiała gdy Irmina rozbierała się, ciałem jej było dojrzałe doskonałością, która trwa niezwykle krótko, tak to ten czas, którym kobiety chciałyby objąć całe swoje dojrzałe życie.

Szwadron żuawów wyciągniętym kłudem wycofywał się przez Mysłowice i Bieruń do Pless. Kontuzjowany pułkownik miał lewy oczodół zakryty białą chustą, która przesiąkała krwią. Wojna więc zaczynała się konkretyzować, a straty były prawdziwe. Czy von Siegenbach martwił się utratą lewego oka, niewątpliwie tak, ale równocześnie widział się z jednym wszakże okiem w sztabie w Pless jak stoi przy stole operacyjnym z czarną opaską na oku i orderem Pur la Merite na piersi. Tak powinien wyglądać prawdziwy oficer sztabowy. Nikt nie mógłby zarzucić, że jest dekwizorem. Czarna opaska i order to wszak przepustki do sławy.

Matylda delikatnie masowała brzuch i uda Irminy, które się rozchyliły i przechodziło przez nie rytmiczne drżenie. Matylda oddała by wszystko za ten widok pięknej kobiety, która zachowuje się instynktownie, to takie drażniące matyldowy dotyk i wzrok. Westchnienia Irminy były jakby szybsze.



rys. Karol Wiczorek



Hansi śnił o nagości pułkownikowej, te grzechy lubieżności były tak fascynujące, że cała jego młodzieńczość gwałtownie nabierała rozpędu. To wszystko dzieje się tak szybko, dławiąco. Tak tedy Hansi przeżył pierwszą zmacę nocną, która tak naprawdę nie była nocna i zostawiła ślad na adamaszkowym prześcieradle pułkownikowej, która wchodząc do buduaru zobaczyła rozmarzoną minę Hansiego i tę plamę, to ona, owa plama wzruszyła gwałtownie Irminę oraz idącą za nią Matyldę.

Oprócz orderu Pur la Merite zielonooki pułkownik von Siegenbach otrzymał od cesarza szklane niebieskie oko, bo wszak Wilhelm Hohenzollern nie patrzył w oczy swoim oficerom sztabu. Tak tedy wojna toczyła się zgodnie z jej absurdalną logiką, a zmaca, która była wszak dzienna i oko wypuszczone przy pomocy szaszki esaua to był początek. Dalej mogło być tylko gorzej. Pułkownik czuł się bohaterem, to on był pierwszym poszkodowanym, chociaż potyczka nie przyniosła realnego rozstrzygnięcia, oko, w zasadzie jego brak był dowodem, że ta wojna będzie trudna.

Irminę bohaterska rana i przypięty na galowym mundurze Pur La Merite nie zrobiły zbyt wielkiego wrażenia. Okrutne opowieści Matyldy o wojnie 1870 roku jawiły jej ten czas jako apokalipsę, a czarna opaska na oku pułkownika była epizodem, zwłaszcza, że pułkownik posiadał drugie nie całkiem sprawne oko. Von Siegenbach przyjechał do domu pięknym czarnolakierowanym landem z herbem Hohenzollernów na drzwiczkach. Cztery kare hanowery dodawały blasku bohaterskiemu niedostatkowi optycznemu, które cesarska armia utraciła na skutek szarzy kozackiej, końmi na gumowych podkawkach. Franosch stał z wypiętą pierśią i służalczo trzymał drzwi landa, z którego dostojnym krokiem wysiadał już jednooki pułkownik, chluba i bohater cesarskiej armii. Irminie było żal męża, Matylda jak prawdziwa służąca płakała autentycznymi łzami pruskimi z Pomorza Przedniego, który to kraj przyniósł tylu bohaterów zjednoczonej już wszak Rzeszy. Utykający Franosch wniósł do mieszkania pułkownikostwa dwa sakwojaże z kozłczej skóry z wytłoczonymi na nich herbami von Siegenbachów (za co otrzymał całą markę). W jadalni oświetlonej kryształowym żyrandolem na stole przykrytym seledynowym obrusem, półmisek wielkości pancernika Schlesien, leżały na nim dwa tuziny ptaków, bo był rozpoczął się czas kuropatwian. Owe ptaki upolował był przyjaciel pułkownikostwa kompozytor Olaf Sioman, który będąc Szwedem nie wiedząc czemu lubiał polować na kuropatwy w okolicach Bańgowa, miejscowości na granicy prusko-rosyjskiej. Każdy z ptaków był owinięty wędzoną słoniną. Pułkownik wznosząc toast za Olofa Siomana uczcił jego bohaterstwo, bo wszak rzezi kuropatw Olof Sioman dokonał na granicy a kuropatwy być może były rosyjskie. Czyż bohaterstwo pułkownika von Siegenbacha nie było też rzadkim owocem wojny. Adolf rozkoszował się tym wszystkim patrząc z wyżością na swoich gości, którzy oprócz Siomana siedzieli przy tym pięknym biedermaierowskim stole, a byli to: dyrektor górniczy z zarządu kopalni księcia pszczyńskiego, prokurent Drezdner Banku z żoną, plenipotent księcia Sułkowskiego z Bielska z żoną i dwiema córkami, właściciel salonu z futrami, który wszak Żyd był niemieckim patriotą. Wojna była zatem przedziwnym tworem człowieka, bo najpierw się bili, a potem pili wychwalając bohaterstwo pułkownika Adolfa, którego wszak nie widzieli a jedynie pusty lewy oczodoł był istotą tej chwały.

Dom przy Beatestrasse wypełnił się bohaterstwem. Po krótkich idach pułkownik pakował się i pojechał na rekonwalescencję do Bad Kudowa. Wśród niewysokich gór zamieszkał w ładnym klasycystycznym pałacyku, w którym przebywał Napoleon przed bitwą pod Austerlitz. Pierwsze młode oficerskie wdowy zjeżdżały już do Bad Kudowa by skosztować szczęścia przy boku lekko, bądź ciężej pokiereszowanych pupilów Wilhelma Hohenzollerna. Oficerowie po frontowych przygodach i bolesnych kontuzjach wypełniali się perwersjami, które wszak lubiły młode wdowy z okaleczonymi przez wojnę duszami. One, wdowy posiadały taki ładunek perwersji, że oficerskie w tym względzie dokonania okazywały się niezwykle skromne. Bad Kudowa, Marienbad, oraz inne okoliczne kurorty były tak przepełnione perwersjami oficerskimi od porucznika na generałów kończywszy i podobnymi szarżami wdów, wszystko to wskazywało, że po wojnie dekadencja ogarnie cały ten świat. Irmina i Matylda nie rozpaczały po wyjeździe pułkownika, miały przecież swoje małe przygody z Hansim. To co się działo do tej pory miało się rozwinać. Adwokat Matczyński okazał się był wdowcem, i to z tych romantycznych. Przed nim była więc drażniąca, cikliwa żaloba. To nie to co wdowy, które krótkim spazmatycznym szlochom załatwiały tę sprawę i przechodziły do prozy, a w zasadzie wdowieńskiego rozpasania. Zatem każda wojna jest w swej istocie wyłęgarnią perwersji, być może o to chodzi.

# Baczyński w Liceum Batorego

STEFAN ZABIEROWSKI

**1**  
We wrześniu roku 1931 Krzysztof Kamil Baczyński został uczniem warszawskiego Liceum Stefana Batorego. Gimnazjum i Liceum Stefana Batorego powstało w roku 1918, po odzyskaniu przez Polskę niepodległego bytu. Było to gimnazjum państwowe i posiadało numer 1. Inicjatorami powstania tej szkoły byli zasłużeni pedagodzy – Tadeusz Łopuszański i Antoni Ponikowski. W roku 1924 szkoła uzyskała nowy budynek, przy ulicy Myśliwieckiej, w którym istnieje do dziś dnia, z paroletnią przerwą w okresie okupacji hitlerowskiej, kiedy mieściło się w tym budynku gimnazjum przeznaczone wyłącznie dla młodzieży niemieckiej. Szkoła od początku istnienia cieszyła się wysokim prestiżem. Pisał jeden z nauczycieli tej szkoły, a zarazem sąsiad i przyjaciel ojca Krzysztofa, Stanisława Baczyńskiego – Edmund Semil: „Gimnazjum im. Stefana Batorego [...] urządzone było nowoczesnie. Wszystko w nim błyszczało od czystości i wszystko miało swoje przeznaczenie. Nauczycieli starannie dobierano. Żaden z nich nie był «Herodem». Każdy miał swoją dziedzinę pracy, w której się odznaczył [...] Dyrektorem był Władysław Ambroziewicz, stary «zetowiec», brata-

nek sympatyka socjalistycznego jeszcze z okresu «Proletariatu». Był to człowiek o szerokich horyzontach i wysokiej tolerancji dla przekonań politycznych nauczycieli, dobry administrator, umiejętnie dbający o zdrowie dzieci i estetykę ich otoczenia, zwolennik «szkoły pracy» (tj. szkoły nie tylko werbalnej, ale uczącej w szerokim zakresie, jak pracować fizycznie), opierający dydaktykę na stawianiu celów, do których uczniowie zmierzają kolektywnie. Był on w owym czasie jednym z nielicznych u nas teoretyków pracy manualnej w szkole, a także wybitnym praktykiem w dziedzinie kształcenia nauczycieli robót ręcznych”.

Tu można jedynie dodać, że – wzorem państw skandynawskich – w międzywojniu polskie władze oświatowe przywiązywały dużą wagę do tego rodzaju zajęć. Powołano w tym celu nową instytucję o nazwie – Państwowy Instytut Robót Ręcznych, kierowaną przez wybitnego specjalistę w tej dziedzinie – Władysława Przanowskiego.

Ozdobą zespołu nauczycielskiego pracującego w Batorego były takie znakomitości, jak historyk Stanisław Arnold, matematyk Waław Sierpiński (znany dziś także i z tego, że w wojnie polsko-bolszewickiej pomógł polskim wojsko-

wym w rozszyfrowaniu depesz sowieckich), geograf Gustaw Wuttke, czy nauczający języka polskiego poeta Stanisław Młodożeńec.

Nie ulegało wątpliwości, że Liceum Batorego należało w międzywojennej Warszawie do szkół elitarnych. Potwierdzają to informacje wiarygodnego świadka, jakim był Edmund Semil. Zapewniał on, że Liceum Batorego: „Było szkołą uprzywilejowaną – w tym sensie, że dzięki aurytetowi, jakim się cieszył dyrektor Ambroziewicz, mogło sobie pozwolić na szereg pociągnięć pedagogicznych niedostępnych innym zakładom. Tak jak wszystkie szkoły państwowe, dawała ona przy równych wynikach egzaminu pierwszeństwo dzieciom pracowników państwowych, nauczycieli, uczonych, artystów i literatów. Do szkoły tej dostawał się jednak zawsze jeszcze dość duży procent dzieci ministrów, generałów i innych dygnitarzy państwowych oraz dzieci fabrykantów i kupców warszawskich o nazwiskach znanych z tradycji – a także dzieci kilku finansistów. Ale nawet razem wzięte, stanowiły one tylko część gromady, w której przeważały dzieci drobnomieszczactwa warszawskiego, sąsiadując z dziećmi robotników i rzemieślników z Powiśla”.



Liceum Batorego, 1939

Pora teraz postawić pytanie: jakim uczniem był Krzysztof Baczyński? Na tak postawioną kwestię otrzymać możemy dwie – różniące się nieco – odpowiedzi. Pierwszej udzielił nauczyciel Krzysztofa – Edmund Semil. Pisał on między innymi: „W nauce nie miał więc Krzysztof żadnych trudności. Co prawda nigdy się zbyt nie przykładał do pracy szkolnej, nie gonił za za czwórkami i piątkami. Tyle mu na nich zależało, co żołnierzowi na szarzy”.

Zdaniem tego romanisty na uwagę zasługiwały osiągnięcia Krzysztofa w dziedzinie języka francuskiego. Wspominał on: „Lekcje francuskiego zaczęły go naprawdę interesować dopiero wówczas, gdy przerabialiśmy poetów francuskich. Przejął się mocno losem Andre Cheniera. (Czyżby już wówczas przeczuwał, że jego własna droga życia nie jest długa?). Niektóre strofy z *La jeune captive* znał na pamięć. Bardzo głęboko przeżył lekturę Alfreda de Vigny *La mort du loup* oraz fragmenty *Moïse* (w tym poemacie zauważył motywy wspólne z *Wielką Improwizacją*). Czytał z upodobaniem *Art poétique* Verleaine’a, Baudelaire’a, sonety J.M. Heredii oraz Rimbauda. Tłumaczył niektóre wiersze na język polski”.

Ale w swoich wspomnieniach o liceum Batorego Edmund Semil zwrócił uwagę i na inne aspekty osobowości Krzysztofa. Pisał więc: „Przypuszczam, że Krzysztof męczył się w tym podwójną nicią ciasno uszytym mundurku wzorowego ucznia. Wzorem ojca buntował się, i to już w najwcześniejszych klasach. Był zbyt słaby i chorowity, by chodzić na «wagary» (choć i to się zdarzało), zbyt mocno ulegał matce i zbyt ją kochał, aby sobie pozwolić na zwykłe szkolarskie wybryki, wyładowywał więc bunt w wierszach satyrycznych na «Fokę», «Suma», «Ojca» i innych nauczycieli. Ośmieszał ich, przytaczając w złośliwych kontekstach, ich własne słowa lub wypuklając śmieszne dla niego szczegóły ich rysów, postaw lub ubioru, mimiką oddawał ich chód i gesty – pod tym względem był doprawdy artystą. Jego wiersze satyryczne krążyły w maszynowych odbitkach nie tylko w klasie I licealnej, czasem dostawały się także do pokoju nauczycielskiego”.

Spostrzeżenia te uległy znacznej rozbudowie we wspomnieniach kolegów Krzysztofa z klasy. Pisał Andrzej Józef Kamiński: „Były to czasy szkolnych przedstawień abonamentowych – i mając miejsce obok siebie, siedzieliśmy pewnego popołudnia – Krzysztof, Ryszard Bychowski i ja – na parterze teatru na przedstawieniu *Nocy listopadowej*. [...] Inscenizacja była taka, że na sali gasły wszystkie absolutnie światła, kurtyna podnosiła się w nieprzebitych ciemnościach i nad sceną pojawiała się dopiero w pierwszym błysku światła postać

Pallady. Tego właśnie wieczora inscenizacja została nieco urozmaicona. Kiedy na sali zapadły ciemności Krzysztof pochylił się ku nam i mruknął: «Tiemno, tiemno!». Na co oczywiście – sytuacja była po temu – zrobiliśmy obaj straszliwego «syfona», czyli prychnęliśmy niepoohamowanym śmiechem. Cała sala zaczęła sykać, ale nic nie pomogło: Pallas Atena daremnie wzywała Eumenidy, nastrój prysł”.

W tym miejscu należy dodać, że kpiarska i pełna humoru postawa Baczyńskiego znalazła również odzwierciedlenia w jego prozie. Zabawny portret tej szkoły, utrzymany w duchu gombrowiczowskim, napotkamy w opowiadaniu bez tytułu, które zaczyna się od słów: „Gimnazjum imienia Boobalka I”, Utwór ten w sposób karykaturalny przedstawia proces wychowawczy obowiązujący w tej szkole. Przywołajmy stosowny cytat: „O uczniu nowo wstępującym, a potem – absolwencie, wyraziły się poeta metaforycznie: Wpuszczony drzwiami parterowymi grzeczny chłopiec w białym kołnierzyku po wielu latach wyskakuje najwyższym oknem gmachu szkolnego jako istota obdarta w każdym tego słowa znaczeniu, niezdolna nauczyć się czegoś inaczej jak kując, drapieżna w każdym calu – pełna głębokiej samowiedzy o walce i pamiętająca doskonale, że ojcem króla Hepokapupa był Hipokapup Wspaniały, który wyróżnił się tym, – że był nazbyt coś tam – To był absolwent – ot, taki prekursor wieku siły i potęgi”.

Opowiadanie to tak komentował Kazimierz Wyka: „Nie ma może tej wartości, co poezja, ale odslania w ogóle nieoczekiwane – i mało na to zwracano uwagę – właściwości talentu Baczyńskiego, jego poczucie humoru, ironii, groteski, dowcipu. Bardzo dobrze, że mu w Liceum Batorego teraz tablicę odsłonięto, ale nie życzyłbym, ażeby na akademii z tej okazji przeczytano to, co on napisał o «Gimnazjum imienia Boobalka I»... Jak on to swoje wzorowe gimnazjum sanacyjne obsmarował! Ironicznie, groteskowo i, zdaje się, zgodnie z prawdą. O!”.

Ale chodząca do liceum Batorego społeczność uczniowska bynajmniej nie była jednolita. Często ostro dzieliły tych młodych ludzi przynależność narodowa i poglądy polityczne. Nie rzadkie było wówczas, pod koniec międzywojnia, manifestowanie przez młode pokolenie postawy antysemitki. Wspominała Hanna Mortkowicz-Olczakowa: „Jeden ze starszych, bardzo silnych kolegów, bojowy narodowiec i rasista, napadł na młodszego i słabszego chłopca, z pochodzenia Żyda. Bity i dręczony chłopiec nie miał dostatecznych sił, aby się obronić. Auditorium współuczniów sekundowało prześladowcy w szykanach i antysemitkich wyzwiskach, lub też milczało tchórzliwie. Jeden tylko Krzysztof Baczyński nie mógł tego ścierpieć, porwał

się czynnie na pomoc, do obrony. Impuls silny i oczywisty jak konieczność oddychania i pisania wierszy rzucił go, drobnego Dawida, do gardła potężnego Goliata – w obronie ludzkiej godności i sprawiedliwości”.

Sprawa ta przedstawiała się nieco inaczej, jeżeli uświadomimy sobie żydowskie pochodzenie Baczyńskiego.

„Nie znaczy to oczywiście, aby u Batorego nie było wielu wyjątków. Należeli do nich nasi koledzy przez ścianę, z liceum matematyczno-fizycznego i przyrodniczego: rudy Janek Bytnar i tyczkowskiej Alek Dawidowski i cichy, łagodny Tadeusz Zawadzki – «Zośka» (o których dzisiaj rzadko się przypomina, że zdawali maturę w r. 1939 razem z Krzysztofem!) I Wojtek Karaś, jeden z pierwszych rozstrzelanych, i Zbyszek Iskrzyński, co leży ponoć pod Falaise, i wielu innych, co nie wrócili z Powstania, z Oświęcimia, spod Tobruku – Jurek Madziar, Andrzej Zawadzki, Maciek Kwiatużyński, Ryś Pomrowski”.

### 3

Na początku lat trzydziestych w życiu Baczyńskiego nastąpiły ważne zmiany. W roku szkolnym 1933/1934. Krzysztof wstąpił do – istniejącej przy szkole – 23 Warszawskiej Drużyny Harcerzy. Należy tu przypomnieć, że do tej samej drużyny należeli późniejsi bohaterowie *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego – Aleksy Dawidowski, Tadeusz Zawadzki i Jan Bytnar.

Nieco później, bo w roku 1935, w biografii Baczyńskiego następuje znaczący zwrot ideowy – poeta wstępuje do młodzieżowej organizacji socjalistycznej o nazwie „Spartakus” i przyjmuje pseudonim „Emil”. Zdaniem kolegi Baczyńskiego z tej organizacji, Tadeusza Sołtana: „Droga Krzysztofa do „Spartakusa” wiodła niewątpliwie przez kontakty i w pewnej mierze przez wpływ ojca, który mimo wszelkich ideowych rozgoryczeń, spiętrzonych później w tragicznym okresie moskiewskich procesów i rozgromienia polskich komunistów, gorąco jednak pragnął, by syn – wychowanek gimnazjum im. Batorego, ówczesnej wylegarni młodej elity – bliski był środowiskom pielęgnującym atmosferę postępu i społecznej rewolucyjności”.

Z interpretacją taką nie zgadzał się Józef Lewandowski, który pisał: „Nie jest prawdą, że Stanisław zawsze był na skrajnej lewicy. U progu niepodległości był nawet przesadny w wietrzeniu działalności wywrotowej. Pracował w Oddziale II Sztabu Głównego i choć instytucja ta nie była domeną prawnicy, to nie mogła tolerować komunisty. W cywilu, po Przewrocie Majowym, mieścił się w ramach lewicy piłsudczykowskiej i przyjaźnił się z gen. Julianem Stachiewiczem i z ideologiem obozu, Adamem Skwarczyńskim. Obaj stanowili dlań oparcie,



śmierć tych prominentów w 1934 r. była przyczyną, dla której Baczyński przestał otrzymywać prace zlecone w wielu instytucjach, które mu je dotychczas dawały”.

O „Spartakusie” pisał jeden z członków tej organizacji – zaprzyjaźniony z Baczyńskim – Karol Lubelczyk: „Organizacja była nielegalna i nikt jej pod żadnym szyldem nie próbował legalizować, uczniom przecież do organizacji politycznych nie wolno było należeć, tym bardziej do lewicowych. A taki właśnie zdecydowanie czerwony, ale niekomunistyczny był wtedy «Spartakus», gdy Krzysztof Baczyński wszedł do jednej z piwnicznych salek gmachu Związku Zawodowego Kolejarzy przy ulicy Czerwonego Krzyża. Obok teatru «Ateneum» mieściły się tam różne stowarzyszenia socjalistyczne. Salę widowiskową każdej niemal niedzieli do ostatniego miejsca wypełniały setki zapaleńców reprezentujących kilka generacji «socjalistów» i «komunistów» Warszawy”.

I jeszcze ważne stwierdzenie tego autora: „Jednak sporo uczniów, którzy w różnym stopniu osiągnęli świadomość socjalistyczną, z rozmaitych względów nie decydowało się na przystąpienie do organizacji zdeklarowanie komunistycznej. Z pewnością odgrywała tu rolę obawa przed zagrożeniem represjami policyjno-sądowymi, choć nie tylko te względy. O wiele chętniej szli natomiast do «Spartakusa», nie mającego piętna organizacji «wywrotowej»”.

Krzysztof – jak wynika z zachowanych relacji – regularnie uczęszczał na cosobotnie zebrania nowego stowarzyszenia. Od roku 1937 wchodził w skład Komitetu Wykonawczego tej organizacji. Był też jednym z redaktorów – wydawanego przez członków „Spartakusa” – pisma *Strzały*.

Jako członek „Spartakusa” Baczyński uczestniczył w wielu lewicowych przedsięwzięciach. I tak w latach 1936 i 1937 brał udział w pochodach z okazji 1 Maja. Jak wspominał Karol Lubelczyk, Baczyński „[c]hętnie uczęszczał na wiece i zebrania organizowane przez partie robotnicze. Stałem obok niego podczas manifestacji solidarności ze strajkującymi pracownikami Związku Nauczycielstwa Polskiego. Na ulicy Smulikowskiego (dziś: Spasowskiego) chyba po raz pierwszy oglądał policję «w akcji» podczas rozpędzania tłumu. Gdy wracaliśmy do domu mówił, że gnębi go wstyd za siebie i wszystkich tam obecnych, że dopuściliśmy do pobicia i aresztowania studenta politechniki (Jerzego Albrechta)”.

Duże wrażenie na Baczyńskim robiły informacje o stalinowskich procesach moskiewskich, w których skazani zostali – oskarżeni o zdradę – najwyżsi dygnitarze państwa bolszewickiego. Wydane przez sowiecki sąd wyroki robiły wrażenie rozrachunków politycznych. Dość dokładnie informowała o tym ówczesna polska prasa Wystarczy tylko wymienić grunto-  
wne teksty jednego z czołowych ówczesnych polskich „sowiecologów” – Rafała Marcelego Blütha.



W roku 1936 ma miejsce poetycki debiut Baczyńskiego. Był nim wiersz *Wypadek przy pracy*. Kolega Krzysztofa – Tadeusz Sołtan – wspominał rozmowę z Baczyńskim, która miała miejsce wiosną 1939 roku. Właśnie w trakcie tej rozmowy „Krzysztof po raz pierwszy tak zdecydowanie zadeklarował swój wybór życiowy: literaturę, poezję”.

Tak więc jeszcze jako uczeń Batorego, niedługo przed wybuchem wojny Baczyński zadeklarował, że jego powołaniem życiowym stanie się poezja.:

#### 4

Rok 1939 ma szczególne znaczenie nie tylko w historii Polski, ale także w indywidualnej biografii Krzysztofa Baczyńskiego. W maju tego roku Baczyński zdaje maturę. Nim to jednak nastąpiło, klasa naturalna – co było wówczas często praktykowane – udała się z pielgrzymką do Częstochowy, na Jasną Górę, by tam modlić się o szczęśliwy wybór drogi życiowej.

Pod koniec maja 1939, dokładniej 27 tegoż miesiąca, spada na Baczyńskich potężny cios, bowiem umiera, ojciec Krzysztofa, Stanisław Baczyński, od dłuższego czasu zmagający się z poważną chorobą. Prawdopodobnie był to rak. Inna wersja śmierci mówi, że przyczyną zgonu była perforacja wrzodu na dwunastnicy.

Wybuch wojny zastaje Krzysztofa w Warszawie. Tutaj, przed północą 6 września, miał okazję wysłuchania radiowego apelu szefa propagandy w sztabie Naczelnego Dowództwa płk. Romana Umiastowskiego. Wygłaszający ten apel wzywał wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, by udali się na wschód kraju, „bo tam można było sformować nowe jednostki wojska polskiego. Wedle aktualnych ustaleń historyków z Uniwersytetu Warszawskiego, płk. Umiastowski nie mówił w swoim imieniu, lecz wykonywał polecenie marszałka Rydza-Śmigłego.

Baczyński z grupą kolegów, po wysłuchaniu tego apelu, opuścił stolicę i podą-

żył w kierunku wschodnim. Z tej przymusowej wędrówki wrócił do Warszawy dopiero pod koniec października 1939. W tym czasie nastąpił u Krzysztofa znaczący przełom ideowy – Krzysztof postanowił wystąpić ze „Spartakusa” ku zaskoczeniu kolegów, po powrocie z „rajzy”, Baczyński zadeklarował się jako człowiek wierzący. Można jedynie się domyślać, co spowodowało taką zmianę. Wydaje się, że była to brutalna polityka sowiecka w stosunku do Polaków po 17 września 1939. Przede wszystkim zaś – nie przestrzeganie podstawowych praw międzynarodowych.. Wyrażało się to między innymi w zabijaniu wziętych do niewoli polskich jeńców, choć sprawa Katynia nie była wówczas jeszcze znana. Wedle relacji Karola Lubelczyka: „Zajęcie Warszawy przez hitlerowców nie unicestwiło istnienia «Spartakusa». Trud nawiązania zerwanych nici organizacji wziął na siebie Kazik Dębiak. Nikt chyba nie wie, jak potoczyła się jego dramatyczna rozmowa z Krzysztofem Baczyńskim – obaj przecież nie przeżyli wojny. «Emil» zaniechał po Wrześniu zorganizowanej działalności socjalistycznej, ale przecież nie wyrzekł się idei swoich lat szkolnych”.

#### 5

Cóż możemy dodać, że Liceum Batorego – dzięki świetnej kadrze nauczycielskiej i wysokiemu poziomowi nauczania – odegrało znaczącą rolę w biografii literackiej (i nie tylko literackiej) Krzysztofa Kamila. Także dzięki kolegom z Batorego Krzysztof włączył się do Kedywu Armii Krajowej.

Kiedy Baczyński wstępował do tej elitarnej szkoły była to dla niego pewnego rodzaju nobilitacja. Zaś z dzisiejszej perspektywy ta szkoła warszawska została owiana sławą dzięki temu także, że jej uczniem był wybitny poeta pokolenia wojennego, a zarazem uczestnik Powstania Warszawskiego „żołnierz-poeta” – Krzysztof Kamil Baczyński.

# „Emitowanko, promieniowanko i sprawdzanko!”

WERONIKA GÓRSKA

Fizyka – podobnie jak w przypadku wielu dzieci – stanowiła dla mnie najmniej stresujący przedmiot szkolny. Obecnie, dwadzieścia lat po zakończeniu jego nauki, śni mi się czasami, że muszę zdać z niego egzamin, bo inaczej moje studia i matura zostaną anulowane. Nie tylko nie pamiętam niczego poza wzorem na siłę, ale też zgodnie z logiką snu nie potrafię znaleźć podęcznika, a autobusy nie przyjeżdżają lub docierają na miejsce egzaminu spóźnione. Mimo awersji do fizyki – a może przeciwnie, dzięki niej – gorąco podziwiam Marię Skłodowską-Curie, która wbrew przeciwnościom losu tak wiele w tej dziedzinie osiągnęła. Być może gdybym w dzieciństwie zobaczyła taki spektakl, jak poświęcony jej badiom „Polon i Rad”, nigdy nie byłabym zagrożona z fizyki i dzisiaj nie dręczyłyby mnie związane z nią koszmary.

W przedstawieniu pojawia się wiele informacji o życiu podwójnej Noblistki – między innymi o jej samodzielnym zarabianiu na zagraniczne studia oraz konieczności uzupełnienia braków wiedzy w stosunku do absolwentów szkół francuskich, a także o wycieczkach rowerowych z Pierre'm Curie czy pierwszych miesiącach życia małej Ireny Curie, również przyszłej laureatki nagrody Nobla. Co ciekawe jednak, Robert Jarosz, autor tekstu sztuki, nie przedstawił historii badań nad radioaktywnością pierwiastków z perspektywy Marii i jej męża, lecz... obiektów ich badań! Nieco zaczepny i skłonny do megalomanii 209 (później Polon) oraz entuzjastyczny 226 (później Rad) walą ile sił w tamburyny, tańczą i śpiewają, licząc, że ktoś po drugiej stronie teleskopu dostrzeże ich, zbada tożsamość oraz nada imiona. Póki to się nie stanie, gwiazdą tej strony teleskopu pozostaje Uran, przekona-

ny – podobnie jak badający go Henri Becquerel – że tylko on posiada właściwości promieniotwórcze. Kiedy Maria oraz Pierre odkrywają, że radioaktywność dotyczy również innych, nieznanych dotąd pierwiastków, Uran obrazi się i wpadnie w histerię w sposób typowy dla trzylatka, po czym ucieknie ze sceny, pozostawiając ją kolegom.

Podczas premiery „Polonu i Radu” w Teatrze Ateneum fochy Uranu wzbudziły salwy śmiechu, zwłaszcza wśród młodej części publiczności. Jedno z dzieci krzyknęło nawet do bohatera: „Ale to jest słabe!”. Mali widzowie zresztą żywo reagowali także w innych momentach, a jeden z nich na pytanie którejś z postaci: „A wy jakim pierwiastkiem chcielibyście zostać?”, odpowiedział: „Schabowym!”. Dorośli również znakomicie się bawili, szczególnie podczas pompatycznej sceny nadania imienia Polonowi, gdy ten wystąpił... w stroju husarza! Potencjał humorystyczny spektaklu stanowi zasługę zarówno scenarzysty, pełnego błyskotliwych dialogów, jak też znakomitej reżyserii Pawła Chomczyka, a zwłaszcza talentu komediowego obsady: Krystyny Nowińskiej występującej w roli strażnika „tego, co wiadome i niewiadome, mikroskopowe i makroskopowe”, który „stoi na straży, bo ktoś musi”, a także panów wcielających się w pierwiastki (Grzegorza Eckerta, Dawida Kobieli, Michała Skiby, Bartosza Sochy). Widać było, że aktorzy znakomicie się bawią, uderzając w tamburyny, parodiując megalomańskie czyny i gesty bądź biegając po scenie z imitacją zapalnika. Nic zatem dziwnego, że ich pozytywna energia okazała się zaraźliwa.

Na pochwałę zasługuje również oprawa plastyczna spektaklu, stworzona przez Sebastiana Łukaszczyka. Oszczędna scenografia współgrała z bogatymi kostiumami – nie tylko husarza, w którym wystąpił pod koniec sztuki Polon, ale przede wszystkim Uranu. Jego majestatyczny, błyszczący strój, utrzymany w zielonozłotej tonacji, wraz z powiewnym płaszczem w stylu superbohatera oraz fluorescencyjnym makijażem, podkreślał przerysowane miny i gesty tej postaci. W niektórych scenach, gdy scenografia i towarzyszące

jej światła, a także muzyka autorstwa Filipa Sternala, stawały się nieco mroczne, można było dopatrzeć się nawiązań do estetyki imprez rave'owych. Dzieci i młodzież reagowała na elektroniczną muzykę z entuzjazmem, niektórzy dorośli również. W spektaklu pojawiały się też utwory będące pastiszem popularnych, patriotycznych czy kościelnych pieśni („O to jest dzień, który dał nam Rad”).

Nie wszystkie naukowe treści zaprezentowane w przedstawieniu okazały się dla mnie zrozumiałe. Sądzę, że dla młodej publiczności („Polon i Rad” jest adresowany do widzów od dziesiątego roku życia) również. Z pewnością jednak spektakl przybliżył ją w przystępniejszej, a przede wszystkim przyjemniejszej formie od tradycyjnej lekcji fizyki. Dzieci i młodzież, nasłuchawszy się, jak Uran z dumą powtarza o „emitowanku, promieniowanku i sprawdzanku”, którego doświadczył podczas badań Henri Becquerela, a następnie małżeństwa Curie, być może nie tylko łatwiej zrozumieją, czym jest promieniotwórczość bądź reakcja jądrowa, ale też zaczną się tymi zagadnieniami pasjonować. Kto wie, może w przyszłości ktoś z nich odkryje kolejny pierwiastek lub jego nieznanne dotąd właściwości czy zastosowanie...?

Nowy spektakl Teatru Ateneum polecam szczególniej uwadze nauczycieli – zarówno polonistów, jak też fizyków. Jego obejrzenie może stanowić wspaniałą formą nauki dla uczniów starszych klas podstawówki, a także punkt wyjścia do dyskusji nie tylko o dokonaniach Marii Skłodowskiej-Curie czy promieniotwórczości, ale również o emocjach. Pierwiastki kipią nimi w sposób tak intensywny, że trudno się nie zastanawiać, czy nie zakończy się to spektakularną eksplozją. Zachęcam też do oglądania „Polonu i Radu” całymi rodzinami, gdyż w sztuce tej każdy znajdzie coś dla siebie – dorosły i dziecko, humanista i ścisłowiec ■

**„Polon i Rad”, tekst: Robert Jarosz, reż.: Paweł Chomczyk, scenografia: Sebastian Łukaszczyk, muzyka: Filip Sternal, występują: Krystyna Nowińska, Grzegorz Eckert, Dawid Kobiela, Michał Skiba, Bartosz Socha, Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach, 7.10.2023.**



# W samym środku życia

WOJCIECH LIPOWSKI

Ludzie muszą opowiadać historie, komentować fragmenty codzienności, nadawać sens temu, czego doświadczają. Czasem nikt nie chce ich słuchać, są niewidoczni, nie mogą wypowiedzieć prawdy o świecie, nie są atrakcyjni, wystarczająco przekonujący, ciekawi, chociaż także mają swoją historię. Dwie kobiety, dwa światy, Francis i Loretta, patrzą na wszystko przez pryzmat własnych kłopotów i zmagania z codziennością. Czasem widuje się podobne przez niezastąpione okna obcych mieszkań, gdzie pracują, pomagając innym w walce z przeciwnościami. Może w zaciśniętych cudzych ścianach piszą swoje skargi do świata, niczym bazyliki smarowane przez dzieci na ścianach starych domów. Ich, raz śmieszny, innym razem przejmujący lament, może wyznaczenie skierowane w pustkę, może także stać się zaczynem opowieści, posklejanej w taki sposób, by powiększyć malutką przestrzeń bytu, w której przyszło wegetować.

Być może próba uporządkowania różnych spraw, jakie przynosi opowieść, choć złudna i myląca, komponuje jednak obszar, w którym nawarstwiają się zdarzenia, tworzą całość zgodną i grającą w podobnej tonacji. Dwugłos Francis i Loretty jest w tym wypadku niczym balansowanie na cienkiej linii między śmiesznością a przejmującą przesadą. O kim w ogóle mówimy? Dwóch przepracowanych, słabo opłacanych pracowników opieki społecznej, bohaterkach sztuki teatralnej z roku 2012 autorstwa Marie Jones, *Fly Me To The Moon*, jeszcze u nas mało znanej, której

prapremiera odbyła się niedawno w katowickim Teatrze Bez Sceny w reżyserii Andrzeja Dopierały, również autora scenografii. Bardzo udanego przekładu tekstu dokonała Klaudyna Rozhin.

Autorka urodzona w Belfaście, mieście podzielonym przez wieloletni konflikt między protestanckimi lojalistami a katolickimi unionistami, deklaruje, że jest dramatopisarką dla wszystkich niezależnie, czy są protestantami, katolikami, nacjonalistami, bowiem czerpie ze zbiorowych doświadczeń wszystkich. Jak mówi: „wciąż piszę sztuki o nas. Nie odeszłam od mojego pochodzenia i kultury”. Związek z korzeniami nadaje tekstom autentyczność, umocowanie w codzienności, pozwala udzielać głosu zwykłym ludziom spotykanym na ulicy, jak choćby postaciom sztuki, którą się tu zajmujemy. Jones jest nie tylko dramatopisarką, ale również aktorką. Urodziła się w protestanckiej rodzinie robotniczej, co niejako skierowało jej zainteresowania w stronę bohaterów pochodzących także z tej warstwy społecznej. Podkreśla, że jako pisarkę interesuje ją perspektywa patrzenia na świat niejako od środka, bycia w centrum zdarzeń, co podnosi wiarygodność oraz autentyczność przekazu, skracając relacje między bohaterem a odbiorcą.

Frustracja związana z nietrafionymi rolami, w jakich była obsadzana sprawiła, że wraz z przyjaciółmi założyła Charabanc Theatre Company w 1983 roku, grupę objazdową złożoną wyłącznie z kobiet w proteście przeciwko ograniczaniu dla nich dostępu do ról. Teatr wyprodukował

serię oryginalnych dzieł. Później przyszła kolej na kolejną inicjatywę artystyczną. W 1990 roku była współzałożycielką grupy DoubleJoint, dla której pisała teksty bardziej zaangażowane społecznie, ale skupiające uwagę głównie na kwestiach etycznych, nie wikłając przy tym teatru w konteksty polityczne. Jej najsłynniejsze utwory wystawiane w Europie oraz USA, wielokrotnie nagradzane, takie jak *A Night in November* (1994), cieszące się dużą popularnością *Stones in His Pockets* (1999), czy *The Blind Fiddler* (2004), *Dancing Shoes: The George Best Story* (2010), *Fly Me to The Moon* (2012), *Dear Arabella* (2018) podejmują takie tematy jak różnice międzypokoleniowe, dyskryminacja ze względu na płeć, pochodzenie, wyzysk kulturowy, społeczny, ale zaznaczymy, często w humorystycznym, wręcz komediowym ujęciu. Jones kusi odbiorcę, drażni, zachęca do stawiania pytań o sens różnych spraw i czasem z pozoru błahych sytuacji wyprowadza sprawy o szerszym, uniwersalnym znaczeniu dostępne dla wszystkich. Jak powiedziała w jednym z wywiadów: „ludzie chcą, by teatr był czymś w rodzaju specjalnego rezerwatu dla wykształconych widzów, którym nie podobają się śmiech na sali. Chodzi o to, by jednak na scenie zobaczyli siebie, własne doświadczenia czasem w ujęciu satyrycznym, ironicznym, ale co najważniejsze prawdziwym, sprawdzalnym”.

Czarna komedia *Fly Me To The Moon*, niemal szlachetnie staroświecka w kompozycji, garściami czerpiąca z atrakcyjnych chwytów francuskiej farsy (zawrotne tempo, nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, niekontrolowany rozwój wydarzeń), przynosi intensywną, skoncentrowaną dawkę humoru, ale, uwaga, gdzieś pod tym wszystkim, czyli śmiechem i zabawą kolejnymi sytuacjami, odkrywamy realia nieco innego świata, w jakim żyją zapracowane od rana do wieczora, słabo opłacane opiekunki 85-letniego Davy'ego Magee Francis Shields i Loretta Mackie. W małym mieszkanku, gdzie przyszło się im opiekować staruszką królującą oprócz ich codziennych problemów i marzeń jego trzy pasje: zakłady konne, lektura Daily Mirror oraz muzyka Franka Sinatry. Zdarzy się, rzecz jasna, wypadek, Davy pozostanie na zawsze w łazience, ktoś czegoś nie dopatrzy i korowód zdarzeń przyspieszy rzadko się zatrzymując. Jak Andrzej Dopierała zapanował nad zdarzeniami, że nie

fol. Arkadiusz Lawrywianiec





czuje się wcale tego przyspieszonego pulsu spektaklu, panuje tam spokój, wszystko zdaje się uporządkowane i przemyślane, nie wiadomo. W każdym razie otrzymaliśmy adaptację nie tylko atrakcyjną, ale też mądrą, stworzoną z wielkim szacunkiem dla widza.

Bohaterki, których życie nie rozpieszcza, opowiadają nam o nim jakbyśmy zagłądali do wnętrza pokoju przez otwarte na oścież okno. Spotkanie Shields i Mackie, nie odbyłoby się bez dwóch znakomitych aktorek, które wcieliły się w te dwie niełatwe do interpretacji postaci. Zawsze najtrudniej jest zagrać coś bardzo prostego. Anna Kadulka jako Francis i Ewa Kutynia w roli Loretty to prawdziwy koncert na dwie biografie skrzywdzone przez los. Odegrać z wyczuciem rytmu, dystansem w komediowej formule postaci doświadczonych przez splot okoliczności, ludzi, zdarzenia, własne zaniedbania to już mistrzostwo. Bohaterki Jones przeszły w życiu swoje, ale obie mają wypisany na twarzach niepokój, strach skrywany pod tanimi dowcipami, błahymi sprawami, gdy sprawy ważne gniożą od środka, nie pozwalają zapomnieć, w jakim miejscu życia się znalazły. Nie dość, że podopieczny nie opuści już nigdy łazienki, to pozostaje kwestia ogarnięcia skromnych, ale jednak aktywów staruszka, przeciwnie jego odejścia w czasie, wizyta przy bankomacie i paru innych miejscach. Ale po co to wszystko?

Obie panie mają problemy finansowe, zarabiają głodowe pensje i mają potrzeby. Jedna rzekomo przedsiębiorczego syna, który nie radzi sobie w życiu, druga bezrobotnego męża i brak środków na opłacenie szkolnej wycieczki pociechy. Poza tym

kilka drobnych marzeń, które mogłyby ciu nadać głębszy sens. Kadulka i Kutynia budują bardzo ciekawie, bez przerysowań, o które łatwo, te dwa byty przerażone dalszym ciągiem życia bez pracy, lepią je z drobin, raniących palce okrucich jakby podniesionych z ziemi, fragmentów, może wyczytanych z pomiętego egzemplarza ulubionej gazety staruszka w dziale drobne ogłoszenia. Jednak jest coś przejmującego, śmiech zastęga na ustach dzwów, gdy Anna Kadulka w zamyśleniu mówi o swoim niepracującym mężu „cień człowieka” lub kiedy Ewa Kutynia zdziwionym milczącym spojrzeniem sugeruje, że obie żyją w świecie wypełnionym nieszczęściami i żadne słowo nie nazwie lepiej porażki, jaką dla każdej z nich stało się życie. Nie chodzi przy tym o to, by w tym kame-

ralnym utworze szukać na siłę głębi, bo jej tam po prostu nie ma. Dopierała czytając Marie Jones stara się raczej ze swoimi aktorkami powiedzieć nam, że ważniejsze jest przenikliwe, czasem zabawne spojrzenie na ludzkie codzienne sprawy, dopuszczenie do głosu zwykłych, zanurzonych w niedostatku ludzi, przecież nie gorszych od pozostałych, bo to powie znacznie więcej o niedomaganiach i kapryśkach takiego a nie innego systemu społeczno-ekonomicznego, stanie się przy tym inspirujące poznawczo, zwyczajnie ciekawe w komediowym ujęciu.

Trzeba wspomnieć o znakomitej scenografii tego niewielkiego spektaklu dopracowanej do szczegółu. Każdy przedmiot ma tu swe miejsce, swą jak się okazuje historię, nawet kupon wyścigów konnych, czy tajemnicze pudełko, w którym obie panie odnajdą w końcu lepszy wariant swej dalszej egzystencji niż mogłyby wcześniej przypuszczać. Kostiumy Ewy Dopierały jak zwykle dobrze komponują się z przestrzenią sceny i postaciami. Wszystko oświetlone przez Sergiusza Brożka, szczególnie pod koniec przynosi niespodziewane efekty, ale nie będziemy zdradzać szczegółów, bo trzeba to po prostu zobaczyć.

Nie wiadomo jak to się stało, że dwie kobiety, których losy splotyły się w życiu, pośród niepokoju, umiały spojrzeć na własne porażki i złe doświadczenia z dystansem, a nawet humorem. Czy nie było przypadkiem tak, że zamiast moralistycznych utyskiwań na zły, nieprzyjazny los, wystarczyło zajrzeć w inny wymiar egzystencji daleki od terażniejszości, ale bliższy zwykłemu świętemu spokojowi? ■

**Marie Jones**  
***Fly Me To The Moon***  
**Reżyseria i scenografia Andrzej Dopierała**  
**Teatr Bez Sceny w Katowicach**  
**Prapremiera polska 29 września 2023**







B'Rock Orchestra, Vilde Frang, Rene Jacobs



Opera Słowackiego Teatru Narodowego w Bratysławie

# Piotr Beczała w Bratysławie

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Wybrałem się do stolicy Słowacji na festiwal „Bratislavské hudobné slávnosti”, który ma już ogromną tradycję. W tym roku odbył się po raz 58. Jest członkiem Stowarzyszenia Europejskich Festiwali EFA z siedzibą w Brukseli. Patronat nad nim objęła minister kultury Republiki Słowackiej Silvia Hroncová, którą można było często zobaczyć na koncertach.

Bratysława ma piękną starówkę z uroczymi wąskimi uliczkami, a także placami i deptakami. W sercu miasta są dwa imponujące budynki: Opery Słowackiego Teatru Narodowego działającej od 1920 roku oraz Filharmonii Słowackiej, założonej w 1949 roku. Wchodząc po czerwonym dywanie, podziwiałem wspaniały hol filharmonii, a następnie przepiękną salę z bogato zdobionymi bocznymi łozami i żyrandolami. Już sama obecność w takim budynku jest świętem.

Jednym z wydarzeń festiwalu w Bratysławie była koncertowa wersja opery „Jolanta” Piotra Czajkowskiego. Oprócz orkiestry i chóru Filharmonii Słowackiej wystąpili: Peter Mikuláš, Evelina Dobračeva, Andrei Zhikhovskiy (gwiazda Metropolitan Opera i Royal Opera House w Londynie), Dmytro Popov (ukraiński tenor, występujący w słynnych operach świata, łącznie z MET). W obsadzie znalazła się też świetna sopranistka Zoya Petrova, która występowała we wrześniu w Polsce w ramach 5. Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego.

Filharmonię z La Scali dyrygował sławny kolumbijski artysta Andrés Orozco-Estrada, a solistą koncertu był austriacki skrzypek Julian Rachlin. Filharmonia Drezdeńska wystąpiła pod dyktando Polaka Krzysztofa Urbańskiego, z austriacką wiolonczelistką Julią Hagen. Filharmonia Rotterdamka przyjechała z izraelskim dyrygentem Lahavem Shani. Oczekiwanym wydarzeniem był występ Narodowej Orkiestry Symfonicznej Ukrainy z dyrygentem Wołodymyrem Sirenko oraz solistą Dmytrem Tkachenko.

Jednym z najciekawszych koncertów okazał się występ belgijskiej B’Rock Orchestra z norweską skrzypaczką Vilde Frang i uznanym dyrygentem René Jacobsem. W tym roku orkiestra zdobyła nagrodę Oper Awards! za całokształt twórczości. Zagrano dwa „pewniaki” czyli Symfonię nr 8 h-moll „Niedokończoną” Franza Schuberta i Koncert skrzypcowy e-moll Felixa Mendelssohna. Zaskoczeniem mogło być natomiast wykonanie Symfonii nr 5 Mendelssohna, zwanej „Reformacyjną”. Jest to utwór niejednorodny stylistycznie, rzadko wykonywany. Został skomponowany w 1830 roku z okazji 300. rocznicy ogłoszenia „Wyznania augsburskiego” Filipa Melanchtona (współpracownika Marcina Lutra). Mendelssohn był luteraninem, ale prawdopodobnie z powodu panującego antysemityzmu nie udało mu się tej symfonii zaprezentować publicznie. Zawiedziony kompozytor nie zdecydował się na jej opublikowanie. Została wydrukowana dopiero w 1868 roku, ponad 20 lat po jego śmierci. W ostatniej części słycał chorał Marcina Lutra „Warowym grodem jest nasz Bóg” o zwycięstwie protestantów. Robi wrażenie, ale stanowi jakby zupełnie odrwany od reszty utwór, w którym pobrzmięwa tradycja Bachowska.

Dla mnie jednak najbardziej oczekiwanym koncertem na festiwalu w Bratysławie stał się recital Piotra Beczały z towarzyszeniem francuskiej pianistki Sarah Tysman. Można było bez problemu znaleźć informacje o utworach wykonywanych podczas pozostałych koncertów, natomiast występ Beczały był owiany tajemnicą. Dowiedziałem się tylko, że jest to „galowy wieczór pieśni i arii operowych”. Publiczność szczerze wypełniła salę Filharmonii Słowackiej. Po zakupie programu wszystko stało się jasne. Na początku zabrzmiały pieśni Mieczysława Karłowicza, zakończone jedną z najpiękniejszych „Pamiętam ciche, jasne, złote dni”. Beczała śpiewał te utwory niezwykle delikatnie, często używał pia-

na, a nawet pianissima – i wtedy cała sala zamierała. Gdy wykonał arię Stefana „Cisza dokoła” z opery „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki, został nagrodzony niezwykle burzliwymi brawami. Następnie zabrzmiały „Cygańskie melodie” Antonína Dvořáka i piękna Aria Księcia z opery „Rusałka”, uznawanej za dzieło mistrzowskie.

Drugą część recitalu wypełniły utwory kompozytorów rosyjskich. Najnowsza płyta Beczały zawiera utwory Piotra Czajkowskiego i Sergiusza Rachmaninowa. Album otrzymał w październiku tego roku nagrodę „Diamant d’Opéra, przyznana przez prestiżowe czasopismo „Opéra Magazine”. Przypomniały mi się słowa Piotra Beczały, wypowiedziane podczas recitalu w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach, gdy w maju 2022 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa tej uczelni. Artysta stwierdził: „Język rosyjski jest językiem Puszkina, Czajkowskiego, Rachmaninowa, a nie Putina”.

Mimo pięknego, subtelnego, wspaniałego od strony muzycznej i interpretacyjnej wykonania pieśni, publiczność bratysławskiego festiwalu była jednak najbardziej usatysfakcjonowana, gdy usłyszała utwory operowe: arię Leńskiego „Kuda, kuda, kuda vy udalilis” z opery „Eugeniusz Oniegin” Czajkowskiego, a następnie na bis arię don Joségo z kwiatkiem z opery „Carmen” Georges’a Bizeta, którą artysta zadedykował obecnej na widowni ukochanej żonie (są już ponad 30 lat po ślubie). Pani Katarzyna była śpiewaczką operową, ale zrezygnowała z kariery i wspiera męża w artystycznych podróżach oraz w promocji. Piotr Beczała urodził się w Czechowicach-Dziedzicach i ukończył studia w katowickiej Akademii Muzycznej w klasie prof. Jana Ballarina. Powiedział mi po koncercie, że na 4 dni urlopu wyjeżdża z żoną do domu w Beskidach. To wspaniałe, że jeden z najsłynniejszych śpiewaków na świecie z radością wraca do Polski, na Śląsk.

# Konwój

## Fragmenty powieści, cz. 2

KRZYSZTOF ĆWIKLIŃSKI

Tego popołudnia, które szybko przeszło w wieczór, a wieczór niepostrzeżenie osunął się w noc, major zjadł i wypił za dużo. Do domu wrócił z niesmakiem w ustach i ciężką głową, męczyły go nudności, paliła zgaga. Odchorował to sumiennie pijąc tylko gorzką herbatę, a jedno jajko na miękko wystarczyło mu za całodzienny posiłek. Postanowił uważać i raczej odrzucać zaproszenia, niż je przyjmować. Na szczęście nie zdarzały się one często. Wszyscy byli biedni i dwa razy obejrżeli szylinga nim go wydali. Pracowali ciężko, żyli oszczędnie, solidarnie łożyli na emigracyjne fundusze, wspierali najbardziej potrzebujących. Dorabiali się, mieli domy, ale żyli skromnie, daleko im było do luksusów, o jakich rozpisywały się reżimowe gazety nad Wisłą, jeszcze dalej do bogactwa. Rzekome rauty zdrajców ojczyzny i pachołków imperializmu będące feeriami obzarstwa i opilstwa, były w rzeczywistości składkowymi kolacjami, podczas których nie jedzono homarów, a wybierano co było tańszego i nie przyrzadzał tego paryski kuchmistrz. Było biednie i nie każdy umiał się w tej biedzie odnaleźć. Ten i ów pakował się i płynął do Kanady, kto inny do Australii, gdzie podobno było łatwiej, ale i tam nie proponowano zwykle więcej nad proste i kiepsko płatne zajęcia, zwłaszcza już tym, którzy nie znali języka. Mimo tego ludzie ryzykowali, często stawiając swój los na jedną kartę w Wenezueli czy Urugwaju. Major, gdy z pokładu statku po raz pierwszy zobaczył kredowe klify Dover, miał dziwną, niczym niezmaconą pewność, że widzi je po raz ostatni, bo jego podróż, niedługa przecież, dobiegła końca i choć mówiono mu, że Glasgow czy Edynburg, a nawet Cardiff, to lepsze miejsca do osiedlenia, bardziej przyjazne, na ludzką miarę skrojone, został w Londynie. Nie pokochał tego miasta, jak wcześniej żadnego, nawet Warszawy, która miała zielone oczy Marty i chłopięce, wąskie biodra Uty, nawet Wilna, które nie raz przypominało mu o sobie drobną sylwetką Michaliny, nawet kurortu, który cały był Pauliną i tylko Pauliną, jej smakiem i zapachem, ufnym snem i radosnym śmiechem, ale przyzwyczaił się do Chiswick i paru przyległych dzielnic, które nie przechowały śladów stóp Angélique i nie zapamiętały szepotu Emily, jak przyzwyczaił się do rozciągniętego nad nimi niedbale błędnego nieba i czarnych chmur kawek i gawronów o zmierzchu. Nie twierdził, jak niektórzy znajomi, że jest tu przejazdem, tymczasowo, że na stałe mieszka w Wilnie czy Lwowie i że tam wróci, bo wiedział, że nie wróci, choć wielu, mając już dość emigranckiej udręki, decydowało się na powrót. Potem przysyłali widokówki z Wrocławia i Szczecina, niektórzy nawet obiecywali pomoc w osiedleniu.

– Że też bez tej Polski nie można żyć – powiedział major obracając w palcach kolorową kartkę od któregoś z repatriantów.

– Ano... ciężko – przytaknął pułkownik. – Z nią też nielekkko.

– Rozniosło tę Polskę po całym świecie. Popatrz tylko. Szczecin... Pomyślałbyś kiedy?

Pułkownik założył okulary i zaczął uważnie przyglądać się pocztówce. Po chwili odłożył ją i powiedział:

– Podobno twój szef tam mieszka. Jest dyrektorem na kolei.

– Szychowski? – zdziwił się major.

– Tak mówią.

Zastanawiał go te generalskie powroty. Szychowskiego, Kossakowskiego i innych. Jedne dziwiły bardziej, inne mniej, jeszcze inne wcale. Mówiono, że gdy Rómmel zorientował się, że nic po nim we Francji, bo tam, jak wcześniej w oflagu, pamiętano mu wrześnie, nieudolne dowodzenie, niesubordynację, dezercję, zadufanie i samozwaństwo, i coraz trudniej było o kogoś, kto

nie odmówiłby podania mu ręki, wrócił do Warszawy. Tam sam Bierut, agent czeki i gestapo, prowadził go na lotnisku po czerwonym dywanie i rychło mianował bohaterskim obrońcą stolicy. Rómmel uwierzył w to chętnie i spuchł z pychy jak balon. Major przed wojną prawie go nie widywał. Generał nie lubił siedzieć za inspektorskim biurkiem, wolał przebywać wśród wojsk i sprawdzać, czy haftki przy kołnierzach zapięte i troczki u kalesonów zawiązane. Bliżej przyjrzał mu się dopiero w Murnau, gdzie Rómmel z racji starszeństwa, nie zaśług, był starszym obozu, a zapamiętał z powodu pewnej sceny z pierwszych dni wolności, kiedy to generał w obecności amerykańskich i brytyjskich oficerów, wygłosił do jenieckiej masy buńczuczną mowę, którą zakończył wypowiedzeniem wojny Sowiетom.

– Oszalał, jak Boga Kocham – mruknął Surowiec. – To wariat.

– Pierwszy przypadnie obślinić bolszewicką łapę – powiedział major. – Wspomnisz moje słowa.

Gdy jakiś czas później do obozu przyjechał Andres, Rómmel oczekiwał, że ten zda mu dowództwo. Nie krył się z tym wcale. Uważał to za oczywiste. Anders był uprzejmy, ale powściągliwy. Tuż przed wyjazdem zdjął purpurowego w wściekłości Rómmela z funkcji i komendantem obozu mianował generała Ankowicza.

– Dobrze tak dziadu staremu – podsumował krótko ktoś stojący obok.

W Rómmelu, o czym major przekonał się zaraz po przyjeździe z Hadamar, poważano gwiazdki na pagonach, nie człowieka. Ze sławy zwycięzcy spod Komarowa nie zostało nic, choć wysokim o sobie mniemaniem generał mógłby obdzielić cały obóz z przyległościami.

Pomyślał o Surowcu. Co też z nim? Co robi? Co może robić w tej nowej Polsce, ludowej i demokratycznej, major przedwojennej piechoty? Odnalazł żonę i córki? Wrócił do Zamościa? Dawne mieszkanie w kolonii oficerskiej, przestronne i słoneczne, wciąż jest jego? Czy może wyrzucono go stamtąd brutalnie razem z żoną i córkami, by mógł się w nim rozsiać powiatowy dygnitarz partyjny albo funkcjonariusz bezpieczeństwa? Czy może wyjechał stamtąd na te ziemie podobno odzyskane i kłuczył tam, by zgubić ślad i wreszcie przycupnąć gdzieś cicho jako robotnik w tartaku lub magazynier w mydlarni. A może jednak wstąpił do tego nowego wojska i w nim dosłużył się kolejnych gwiazdek? A może zakatowali go jako imperialistycznego szpiega w jakiejś piwnicy albo strzelili mu w tył głowy, gdy siedział w więziennym wiadrze? A może ma nowe, większe i ładniejsze mieszkanie niż to zamojskie w jakimś Koszalinie albo Gorzowie, wysiaduje na partyjnych konwentykłach i wszyscy mówią mu „towarzyszu”? Kim jest i gdzie jest, myślał major, jeżeli jest? Może teraz, gdy ten ich socjalizm ma podobno twarz człowieka, a nie gruzińskiego psychopaty, żyje sobie zwyczajnie, nie ukrywając nawet kim był, a w dni uroczyste opowiada młodzieży o wojnie, salutuje groby kolegów, żywi szanują go, a umarli czuwają nad nim? Polubił Surowca, towarzysza sześciu lat obozowej niewoli, bardziej niż innych może dlatego, że był całkiem różny od niego, energiczny i impetyczny, zdecydowany, konkretny i konsekwentny, ruchliwy



i pomysłowy, a przy tym dobry taką zwyczajną dobrocią, najprostszą z możliwych. Przypominał go sobie co jakiś czas, prawda, że z latami coraz rzadziej, ale jednak wciąż o nim pamiętał. Zastanawiał się nawet nad tym, czy by go nie odszukać, ale pomny swoich tuż po wojennych, poszukiwawczych kłęk, kiedy to w zamęcie pierwszych lat pokoju nie odnalazł nikogo z tych, których pragnął odnaleźć, zrezygnował, zostawiając rzecz do rozstrzygnięcia losowi. Czyli przypadkowi, kapryśnemu sprawcy dobrego i złego.

– Ja jestem prosty chłopak z Krasnegostawu – powtórzył Surowiec. – Dla mnie iść naprzód, znaczy iść naprzód i nie oglądać się na boki. Poszedłem do wojska, bo poza wojskiem świata nie widziałem. Mundur to było moje marzenie. Polski mundur... A ty?

– A ja, – odpowiadał major – bo moje życie wzięło ostry zakręt i wyrzuciło mnie na wirażu, a że brama koszar była akurat otwarta, wpadłem do środka. I tak już zostało.

Surowiec nie wierzył mu i śmiał się serdecznie.

– Niech cię kule biją – mówił. – Lubię twoje poczucie humoru.

Jakiś czas później do Londynu zjechał zza oceanu generał Sosnkowski i kolejna uroczystość wyrwała majora z rutyny powszednich zajęć. Było podniosłe, generał uśmiechał się życzliwie. Major widział generała kilka razy przed wojną. Nie bardzo się nawet zmienił. Wiek ani trochę nie przygiął go ku ziemi. Do Anglii przyleciał wprost z Brazylii, gdzie gościnnie wykładał w akademii wojskowej. Znał portugalski i kilka innych języków. Swobodnie przechodził z jednego na drugi, a jego polszczyzna pozostawała tak świeża, jakby nigdy nie opuścił Warszawy. Gdy skończono przemawiać, zrobił się tłok, więc major i pułkownik Kowalewski wyszli na taras. Było ciepło, na trawniku stały rozprawiające z ożywieniem grupki. Pułkownik wskazał na jedną z nich.

– Ten wysoki po lewej to pułkownik von Krautenfeldt zu Hannau, baron Rzeszy. Najbardziej autentyczny Niemiec pod słońcem. I najprawdziwszy Polak. Dowodził pułkiem artylerii, dziś sprząta w metrze, na Wimbledon Park. Chodź. Przywitamy się.

Majorowi w jednej chwili stanęła przed oczami cała ta rozległa galeria Kleebergów, Dindorfów, Schwarzenbergów, Neugebauerów, Kesslerów, Langnerów i Alterów, tych wszystkich generałów i pułkowników, w których niepolskie było tylko nazwisko. Przypominał mu się poznany w Wilnie, dobrotliwy generał Griebisch, posługujący się prześmieszną polszczyzną i uważający za szczerego Polaka, za takiego też uważany przez podwładnych, a nawet przez samego Marszałka Piłsudskiego, który go cenił wysoko i podobno przewidywał do zadań strategicznych. Major był jeszcze w Wilnie, gdy generał, przebywający wówczas w Warszawie, nagle zmarł. Nie mógł być na pogrzebie, a potem jakoś nie składało się odszukać grobu na Powązkach. Teraz to już w ogóle było niemożliwe, choć pamięć, wspierana w tym dziwnym wysiłku przez wyobraźnię, sobie tylko znanymi sposobami nie raz jeden przechadzała się zacienionymi alejami cmentarza. Wszystko się pomieszało – pomyślał, ale przecież pomieszało się wcześniej i mieszało się nadal, mieszało się od zawsze i we wszystkie strony. Jednym z pierwszych jego dowódców był gruntownie spolonizowany Irlandczyk, kolejnym potomkiem napoleońskiego grenadiera, a i on, gdyby mu kto krew dokładniej zbadał i głębiej w przeszłość zajrzał, nie byłby się pewnie okazał niepokalanie czysty. Nazwisko zdawało mu się ormiańskie, a może i tatarskie, choć dziadek twierdził, że jest litewskie i wywodzi się od znacznego bojara Witoldowego, dopuszczzonego do polskiego herbu po unii horodelskiej. W dzieciństwie to legendarne pochodze-

nie bez mała od Mendoga, Kiejstuta i Giedymina było źródłem najdzikszych fantazji, potem dostarczało tylko tej oczywistej wiedzy, że nic nie jest proste i nic nie jest dane raz na zawsze, jest nietrwałe, płynne, a jeśli co dobrego wychodzi, to właśnie z powikłania, jeśli co pięknego, to z różnic i przeciwieństw.

Podeszli. Pułkownik, choć zaledwie dwa lata starszy od majora, wyglądał na wiele więcej, ale trudy życia, które pokrótce zrelacjonował mu Kowalewski, nie uczyniły zeń stetryczalego staruszka. Przeciwnie, był dziarski i trzymał się prosto, krok miał pewny, a uścisk dłoni mocny, oczy wesołe, a uśmiech szczery i serdeczny. Zaczęli rozmawiać. Rozmowa szybko zesłała na szacownego gościa. Gdy major z nutą zazdrości wspominał o umiejętnościach językowych generała, Kowalewski wtrącił:

– Pan pułkownik także jest poliglotą. Mówi biegle sześcioma językami.

– Przesada, drogi kolego, przesada – roześmiał się pułkownik. – Biegle posługuję się czterema, a dwoma całkiem nieźle. Zastanawiałem się nawet swego czasu, czy by tego nie zdyskontować i nie wystarać się o posadę portiera w jakimś markowym hotelu, ale doszedłem do wniosku, że szkoda by mi było moich szmat, mioteł i kubłów. Jakże je ot tak porzucić dla kawałka lepszego chleba? Ludzie mnie tam znają, pozdrawiają, zagadują... Nie godzi się, pomyślałem sobie. No i zostałem. Porządek na stacji mam wzorowy, a i do emerytury niedaleko.

Roześmiał się ponownie, a oni wraz z nim.

Major podziwiał takich ludzi. Pokonali przepaść. Stracili wszystko z wyjątkiem godności i nic, żaden dopust ani katastrofa, nie były w stanie ich dotknąć. Biedowali w wynajętych pokojkach, imali się najgorszych prac i stali wyniosłe w tej swojej biedzie, dumni niczym spizwose posągi. On sam nie wiedział, czy umiałby z takim spokojem, nawet obojętnie, z dobrodusznym, łagodnym uśmiechem pogodzić się z wysadzeniem z siodła, z deklasacją. Może tak? Myślał, że w gruncie rzeczy miał szczęście większe, niż sprzątający w metrze pułkownik Krautenfeldt i dzwigający ciężkie paki w porcie pułkownik Jedigar. A może mniejsze? Może proste czynności czynią wszystko inne prostszym, a zwyczajny wysiłek szlachetniejszym? Tego nie wiedział. Nigdy nie był zmuszony do fizycznej pracy, wyjąwszy wojnę. Wtedy po pas w wodzie budował kładki przeprawowe, grzęznąc w błocie kopał transeje, maszerował kilometrami objuczony jak muł. Znosił to, bo miał dwadzieścia lat. Dziś by nie zniósł. Ugiąłby się nie tylko pod ciężarem ładunków portowych, ale i kubłów na śmieci. Zawstydził się swoim lepszym losem i poczuł gorszy. Pułkownik nie przyjął pensa od Anglików, on wziął tysiąc funtów, a drugie dwa pożyczzył. W nocy nie mógł zasnąć. Siedział przy stole w kuchni i palił. Bił się z myślami, wyrzuty sumienia paliły jak zgaga. Przypominał sobie słowa ojca i nauki dziadka, wszystkie błędy życia przelatywały mu przed oczami, mnożył je i wyolbrzymiał. W końcu zasnął i miał złe sny. Do sklepu przyszedł mocno spóźniony.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Piechocki. – Żle wyglądasz.

– Żołądek mi dokucza – skłamał major.

Męczyło go to jeszcze kilka dni, ale potem przestał o tym myśleć. Trzeba żyć – powiedział sobie. – Jakkolwiek, ale żyć. Inaczej już nie będzie.

[...]

Nie minął jeszcze tydzień, odkąd dobroczynny, wschodni wiatr rozproszył żółtosine, gęste jak zupa i kleiste kłęby śmierdzącego siarczaną zgnilizną smogu, które dusiły miasto przez kilka dni i zebrały śmiertelne żniwo tak ponoć wielkie, że w całym Londynie zabrakło trumien, a lord de La Bôre z pewnym ociąganiem, jakby nie do końca przekonany, ogłosił, że można już bez obaw wy-

chodząc na ulice, kiedy Angélique oświadczyła, że chce zobaczyć szopkę. Koniecznie. Uparła się. Poszli więc na Turnham Green i tam wsiadli w District Line. Na Monument przesiedli się na czarną linię. Wagony z piskiem ruszyły na Północ. Stali, choć dość było miejsca, by usiąść. Angélique przytuliła się do niego. Nie jechali długo. Wsiadli na trzeciej stacji. Major zawsze lubił jej nazwę, a od prawie roku podobała mu się jeszcze bardziej, niż kiedyś – Angel. Stamtąd mieli już tylko kilka kroków na Devonię. Szli powoli i powoli rosła przed nimi szara bryła kościoła.

– Crois-tu en Dieu? – zapytała.

– Non.

– Je m'en doutais.

– Ça te déranges?

– Non. Il me semble que je ne crois pas non plus. Mais c'est quelque chose qui me rappelle mon enfance. Comme les petits nains. Mais j'aime Noël. C'est si doux et duveteux. Quand il y a de la neige...\*

Zacząła opowiadać. Major słuchał, ale niezbyt uważnie. Ostatnią wigilię obchodził w obozowej świetlicy w Stanley Park. Potem już nie. Zapraszano go co prawda dorocznie w różne miejsca, ale zawsze odmawiał. Chciał być sam. Teraz nabrał ochoty na święta z Angélique, na choinkę z bombkami i opłatek, na prezenty pod choinką, na zupę grzybową i kompot z suszonych śliwek. Ale ona jechała do Luneville, do rodziców, do dziadków, do brata. Kupiła tu dla nich rozmaite rzeczy, które z przejęciem zawijała w kolorowy papier i obwiązywała wstążeczką. Nie próbował jej zatrzymać. Prezenty dla niej miał przygotowane. Ukrył je przed nią starannie, wiedząc, że myszkuje jak dziecko i ma zwyczaj przeglądając szafy po to tylko, by naraz wyjąwszy którąś z jego koszul zapytać:

– Je peux la porter?\*

Była pierwsza kobietą, która nosiła jego rzeczy. Przede wszystkim koszule, ale też swetry i górę od piżamy, szaliki i popielaty kaszkiet w czarne prążki, który zabawnie zakładała daszkiem do tyłu. Była też ostatnią kobietą, która to robiła. Była ostatnią kobietą. Czuł to od pierwszej chwili. Potem nabierał pewności. Wreszcie wiedział ponad wszelką wątpliwość. Angélique Channeaux była jego ostatnią kobietą, jego fantastycznym, fenomenalnym końcem. Wspaniałym triumfem i druzgocącą klęską.

Potem każdy kolejny rok toczył się jak niedźwiedź w leśnym ostępie, jeden podobny do drugiego, taki sam jota w jotę, i tylko lustra mówiły mu, że czas rwie niepowstrzymanie jak górski strumień, jak galopujący tabun. Wstawał rano i wypijał szklankę soku z pomarańczy, bądź z ananasów. Nie dlatego, że lubił, ale przez wzgląd, może młynny, na witaminy. Potem pił kawę, jadł grzanekę z dżemem lub kromkę chleba z miodem z polskiej pasieki w Walii, i zastanawiał się, czy pójść do pracy, czy wrócić do łóżka i próbować zasnąć. Ostatecznie zawsze brał prysznic, ubierał się i szedł na Chiswick High Road, gdzie miał coraz mniej roboty. Nie nadażał za postępem, wielkie markety zdystansowały go, a poważne firmy nie widziały potrzeby robienia interesów z małym sklepikiem, do którego z przyzwyczajenia zaglądali już tylko starzy ludzie i to zwykle nie po to, by coś kupić. Otwierał go z przyzwyczajenia, z przyzwyczajenia robił przerwę na lunch, z przyzwyczajenia zamykał zawsze o tej samej porze. Do wielu rzeczy przyzwyczał się w życiu. Do jednego tylko nie potrafił. Do samego siebie. Przez wszystkie te wlokące się w nieskończoność, przypominające sparciałą gumę lata, samemu sobie był ciężarem. Ciężarem, który niósł z coraz większym trudem. Ale teraz, gdy patrzył na Angélique, był lekki jak piórko kolibra.

Kościół zbudowano w ubiegłym stuleciu dla jakiejś teozoficznej sekty, ale gdy wreszcie go ukończono, dla

garstki wzniosłych i szlachetnych szaleńców okazał się zbyt duży. Dwadzieścia lat wcześniej kupiono go z myślą o mieszkających w Londynie Polakach. Wtedy nie było ich tak wielu, jak teraz. Nawet podczas wojny wystarczał. Dziś był już za mały i rozglądano się, by odkupić coś od anglikanów, wśród których upadała pobożność i ich świątynie pustoszały. Wreszcie, parę lat później, kupiono od prezbiterian kościół na Hammer-smith, przy Leysfield Road, ale major chodził tam wyłącznie na pogrzeby. Wszystkie inne kościelne uroczystości nie interesowały go zupełnie. Nie bywał tam nawet, jak niektórzy, po to, by spotkać tych, których nie można było spotkać przy innej okazji. Z Angélique był w kościele drugi raz. Kilka miesięcy wcześniej, przypadkiem zresztą, bo nie planowali tego, zwiedzili katedrę świętego Pawła, trochę tak, jak się zwiedza jakiegokolwiek inne miejsce i omiata je obojętnym spojrzeniem znużonego turysty. Zresztą nie było czego podziwiać. Nie rozmawiali o tym. Major nigdy nie pytał, uważając, że Angélique sama powie, jeśli zechce, choć też zdawało mu się, że chodziła do kościoła, przynajmniej dopóki mieszkała w wynajętym pokoju na Acton.

– Veux-tu que je vive avec toi? – zapytała naraz odstawiając filiżankę z herbatą.

– Oui, je veux\*\*\* – odpowiedział bez chwili wahania.

Zerwała się z krzesła i zaczęła podskakiwać i klaskać jak dziecko, śmiejąc się i wykrzykując qui qui qui, je veux je veux je veux, wreszcie rzuciła mu się na szyję. Chwilę później pojechali taksówką na Maldon Road po jej rzeczy. Major nie wszedł do środka. Spacerował przed domem i palił. Zza kuchennej zasłonki każdy jego krok odprowadzał zły wzrok gospodyni. Udawał, że go nie widzi. Gawędził z kierowcą. Czekał długo. Wreszcie wyszła uginając się pod ciężarem ogromnej, podróżnej walizy. Włożył ją do bagażnika. Wsiadli. Samochód ruszył powoli w stronę Cumberland Park. Dotknął jej kolana. Była późna wiosna. Kończył się maj. Teraz była połowa grudnia. Za dwa dni miał ją odprowadzić na dworzec Waterloo, skąd miała pociąg do Dover. Proponował samolot do Paryża, ale odmówiła. Wolała pociąg, prom, znów pociąg. Nigdy nie leciała samolotem, ale nie ciekawiło jej to. Jego też nie. Też nigdy nie leciał. Też wolał pociągi. Przykucnęła w pierwszej ławce. Nie uklękła. Przykucnęła. Przed nią otwierała się zatrzymana w rzeczach biblijna scena narodzenia, nad nią stała w przepychu złota gwiazda, a ogon komety unosił się nad prezbiterium. Patrzył na Angélique. Nie spuszczał z niej wzroku. Jeśli wierzył w cokolwiek, to w tej chwili wierzył w miłość. Teraz właśnie wierzył w nią najmocniej, choć gdzieś w najgłębszej głębi, w jakimś tajnym zakamku podświadomości, jak wtedy w jasny dzień na Turnham Green, pohukiwała sowa, zwiastunka nieszczęścia.

Gdy wyszli, było już ciemno. Major spojrzął na zegarek. Ledwie kilka minut po szesnastej. Przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili w Gerrard Road. Od strony Colebrooke drżeli w zimowym powietrzu skoczne pochrapywania tub, trąbek i puzonów. W świetle latarni nieśmiało zawirowały rzadkie płatki pierwszego tej zimy śniegu.

Wigilia wypadła w środek. Zamknął sklep dobrze przed czasem i w drodze do domu zrobił skromne zakupy. Zjadł waniliowy pudding z konfiturą malinową, chwilę posłuchał radia i wcześniej niż zwykle położył się spać. ■

\* [fr.] – Wierysz w Boga? – Nie. – Domyślałam się. – Przeszkadza ci to? – Nie. Ja chyba też nie wierzę. To jest coś z dzieciństwa. Jak krasnoludki. Ale lubię Boże Narodzenie. Jest takie ciepłe i puszyste. Kiedy spadnie śnieg...

\*\* [fr.] – Mogę ją nosić?

\*\*\* [fr.] – Chcesz, żebym z tobą zamieszkała? – Tak, chcę.

# Maraton spadochroniarza

RYSZARD JASNORZEWSKI

Jak bez najmniejszych wątpliwości głosi metryczka, omawiane dzieło liczy 521 stron. Tom oznaczony jest numerem porządkowym jedenaście. Jeżeli autorom nie zabraknie determinacji, opiszą (uwzględniając przyszłoroczne igrzyska w Paryżu) dziewiętnaście olimpijskich zawodów lekkoatletów, z każdą edycją bardziej zasobnych w konkurencje i zawodników. W sytuacji, gdy przeżyję inwazję kolejnych tomów i dokonam stosownych zakupów, będę zmuszony pogodzić się z utratą około trzech metrów biblioteki.

Jako że – podobnie jak większość znanych mi recenzentów – nie mieszkam w dworku szlacheckim, łatwo nie będzie. Z czytaniem zresztą również nie tak prosto. Zaproponowano bowiem głównie wartości statystyczne, prezentowane w wielu wypadkach aż nadto gęsto i czcionką nieprzesadnej wielkości. Świątła i przejrzystości byłoby pewno więcej, gdyby zrezygnowano z rozwlekłej „Kapsuły czasu”, czyli kalendarium wydarzeń pozasportowych w Polsce i w świecie. W wypadku tomu poświęconego igrzyskom w Londynie upchnięto w „kapsule” lata 1936–1947. Trudno pojąć kryteria, jakie wpłynęły na dobór zdarzeń dużych i mniejszych (bo kogo obchodzi, że w 1947 roku przyszedł na świat satyryk Marcin Wolski?), a lapidarne notki skąpią na dobrej półszczyźnie i pozwalają sobie na błędy merytoryczne (np. mianowanie Stefana Grota-Roweckiego „dowódcą Powstania Warszawskiego”). Sprawdziło się natomiast (obecne w każdym tomie) omówienie składu osobowego oraz działalności Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, a także streszczenie lekkoatletycznych osiągnięć czasu pomiędzy igrzyskami. Dużo ciekawych informacji przynosi ponadto opisanie przygotowani do igrzysk w Londynie (oraz z różnych powodów niespełnionych, których gospodarzami pragnęły zostać Tokio, Sapporo, Helsinki, St. Moritz, Garmisch-Partenkirchen i Cortina d’Ampezzo).

Moim ulubionym bohaterem olimpijskich zawodów lekkoatletycznych w 1948 roku jest Arthur Wint. Mulał z Jamajki był najlepszy na 400 metrów, a na dystansie 800 metrów zajął drugie miejsce. Wynik z biegu średniego powtórzył cztery lata później w Helsinkach, dokładając do medalowego dorobku złoto w sztafecie czterystumetrowców. W latach wojny Wint był pilotem RAF-u, a rok przed igrzyskami podjął w Londynie studia medyczne w Londynie. Dzisiaj ma swą ulicę w Kingston. Jak twierdzą bywalcy stolicy Jamajki, ulicą Winta można dotrzeć do baru o nazwie „Tracks & Rekords”, którego właścicielem jest Usain Bolt, sportowa legenda bardziej współczesna.

Podczas londyńskich zmagani dwa medale – złoty na 10 tysięcy metrów i srebrny na dystansie dwukrotnie krótszym – zdobył Czech Emil Zátopek, zawodowy żołnierz. Zyskał jednak przydomek cywilny, gdyż z racji „ciężkiego”, wysiłkowego stylu nazywano go „Czeską lokomotywą”. Walce na bieżni towarzyszył charakterystyczny grymas, świadectwo cierpienia. Nie zawsze tak bywało. Przynajmniej w ujęciach propagandowych i optymistycznych. Startując jakiś czas po igrzyskach w meczu, w którym drużyna lekkoatletyczna Czechosłowacji zmierzyła się z Polską, Węgrami i Rumunią, Zátopek – w zgodzie z relacją „Przeglądu Sportowego” – „podczas biegu odpowiadał gestami rąk na przyjazne okrzyki rozentuzjazzmowanych widzów, a do swych rodaków na stadionie słał wdzięczne uśmiechy”.

W Londynie niewątpliwe (i częste) powody do szerokiego uśmiechu miała Holenderka Fanny (właściwie Francina) Blankers-Koen, zdobywczyni złotych medali w biegach na 100 i 200 metrów oraz 80 metrów przez płotki, a także w rywalizacji sprinterskich sztafet. Zadowolona mogła być również reprezentująca Francję Micheline Ostermeyer, ożłoczona za rzucanie dyskiem i pchanie kuli, trzecia w skoku wzwyż, w życiu pozasportowym utalentowana pianistka, absolwentka Konserwatorium Paryskiego. Niezwłocznie po swej wygranej w kuli dała spontaniczny koncert dla koleżanek olimpijek, a całkowicie muzyce poświęciła się już w dwa lata po igrzyskach. Po latach przekornie wyznała: „Sport nauczył mnie relaksu, a fortepian dał mi silne bicepsy oraz poczucie ruchu i rytmu.” W zawodach dyskobolek z Ostermeyer walczyła Jadwiga Wajs-Marcinkiewicz, medalistka olimpijskich konkursów czasu sprzed wojny światowej. Na swych trzecich igrzyskach zajęła czwarte miejsce.

Ta sama lokata (najwyższa dla męskiej reprezentacji) stała się zdobyczą Mieczysława Łomowskiego w konkursie pchnięcia kulą. W 1948 roku startował w barwach Lechii Gdańsk, ale wywodził się z Wilna i pod nazwiskiem Lamauskas zdążył jeszcze wystartować z sukcesami w mistrzostwach Związku Radzieckiego. Rodowitych atletów z Kraju Rad w Londynie zabrakło. Nie pojawili się również sportowcy z Niemiec, na których udział w międzynarodowej rywalizacji było – w trzy lata po wielkiej wojnie – za wcześnie.

Igrzyskom londyńskim towarzyszyły – po raz ostatni w dziejach olimpizmu – konkursy sztuki. Złotym medalem – za II Symfonię Olimpijską – nagrodzono kompozytora Zbigniewa Turskiego. W dziedzinie (konkuren-



cji?) literatury wyróżnienie zdobyły Ody olimpijskie Jarosława Iwaszkiewicza. W trzeciej odzie w cyklu – Na bieg maratoński – znalazło się wspomnienie tych, którzy „zwartymi garściami ściskali ten sam żółty piasek, jakim wysypane są (...) bieżnie...”. Olimpijski maraton – twierdził poeta – jest tylko złudzeniem. Nie da się zapomnieć o wszystkich, którzy przebiegli życie ze śmiertelnym wysiłkiem. Ich samotność była większa, ich dramat rozegrał się naprawdę. Dotarli do innej mety lub poza jej kres. Już ich nie ma, opuścili stadiony życia, pozostawili tylko wspomnienie: „Biegli na skrzydłach, / ale na spotkanie śmierci”.

W prawdziwym agonie, w biegu maratońskim igrzysk londyńskich, trzeci przybiegł Belg Étienne Gailly. Nie tyle przybiegł, dobiegł, ile resztką sił doszedł, wyprzedzony już na stadionie przez Argentyńczyka i Walińczyka z drużyny brytyjskiej. Gailly był oficerem spadochroniarzem, brał udział w wyzwoleniu Belgii przez aliantów. Jako ochotnik uczestniczył w wojnie koreańskiej. W 1951 roku wszedł na minę. Ocalał życie, ale odniesione obrażenia zakończyły jego karierę sportową. W biegu przez życie los płacze mety, a z najważniejszej wykluczka zawsze zbyt wcześnie. ■

**Daniel Grinberg i Adam Parczewski: Igrzyska lekkoatletów. Olimpijska historia lekkoatletyki 1896–2024. Tom 11. Londyn 1948. Fundacja na Rzecz Rozwoju Polskiego Sportu, Warszawa 2023, s. 521.**

## Jądro ciemności

Park Chrobrego jest miejscem bezpiecznym.

Młode kobiety pchające dziecięce wózki przechadzają się po alejkach,  
nastolatki jeżdżą na rowerach, hulajnogach i rolnkach,  
stateczne panie i panowie spacerują z pieskami,  
słychać piski dzieci na placu zabaw.  
skrzypiące metalicznie huśtawki i karuzele,  
z oddali słychać szum spokojnie płynącej Kłodnicy  
i skrzeczące jak zwykle na rzeką mewy i rybitwy.

W Parku Chrobrego, który jest miejscem bezpiecznym,  
w upalne sobotnie popołudnie,  
dziewczyna w dżinsowej sukience  
usiadła na drewnianej ławce,  
zdjęła okulary słoneczne  
i wyjęła z torebki dość opasłą książkę.

„Lord Jim”, taki był tytuł tej książki,  
a na tych stronach, które właśnie czytała,  
wiał przenikliwy wiatr,  
łały się potoki deszczu,  
sztormowe fale wdzierały się na pokład  
i okręt o nazwie Patna zaczynał tonąć.

A chociaż w Parku Chrobrego od kilku dni nie padało,  
to jednak z kasztana, którego gałęzie sięgały nad parkową ławkę,  
z jednego tylko liścia,  
spadła jedna tylko kropla  
i rozprysnęła się na książce,  
tak niespodzianie, że książka dziewczynie wypadła z rąk  
i u jej stóp rozlała się sporą kałużą.

Ta kałuża była jak studnia, która nie ma dna,  
tylko cembrowinę, wirującą wokół własnej osi,  
jak wyrwane z powozu koło,  
jak w hula-hop kręczone wokół bioder obręcze.  
Ta kałuża w jednej chwili wyssała całą wodę z chmur  
i przyszpiliła dziewczynę do ławki ostrymi jak kolce strugami deszczu.

Próbowała krzyczeć,  
ale usta wypełniło jej gęste jak morska woda powietrze,  
które było zimne i słone i cuchnące rybami  
i zerwał się wiatr tak gwałtowny, że drzewa wokół ławki  
zaczęły się łamać jak maszty,  
wiatr tak mroźny, że aż liście białeły i spadały na ziemię poszarpane jak żagle.

Choć dziewczyna obiema rękami kurczowo trzymała się ławki,  
to strugi deszczu zarzuciły się na nią jak rybacka sieć,  
oplotły i zacisnęły węzły  
i zawlekły na sam brzeg płynącej opodal Kłodnicy,  
gdzie ze smolistej otchłani strzygi wodniki i utopce,  
już wyciągały po nią swe macki i ręce.

★

*Ze słuzy Kanalu Gliwickiego w miniony poniedziałek  
wyłowione zostały zwłoki niezidentyfikowanej młodej kobiety.  
Kobieta ubrana był w dżinsową sukienkę i była boso.  
Obie dłonie miała kurczowo zaciśnięte  
na drewnianej desce, stanowiącej prawdopodobnie  
poszycie pokładu jakiejś barki lub łodzi,  
jednak dotychczas brak informacji  
o prawdopodobnym ich zatonięciu.*



## Klepsydra

- Przeżył pan własną śmierć – tak powiedział lekarz,  
który pozszywał mi łąty przeżartego wrzodami zołądka.

Od tamtej pory minęły dwa lata  
i nie czuję się z tym dobrze.

Przez ponad pół wieku zżyłem się ze śmiercią,  
żyjąc z nią pod jednym dachem,  
dniem i nocą,  
w zdrowiu i chorobie,  
myśląc o niej tak jak o kimś bliskim,  
kto mnie nie opuści  
i do samego końca ze mną pozostanie.

Śmierć mnie opuściła.  
Ciało opustoszało.

\*

W starym kredensie w kuchni  
pozostała mi po mamie staroświecka klepsydra,  
której używała do mierzenia czasu,  
wstawiając ciasto do piekarnika,  
czasem też przy gotowaniu jajek.

Cały piasek w tej klepsydrze już dawno się przesypał  
i czas się zatrzymał.

Od tamtej tej pory  
żadne ciasto już się nie upiekło  
ani nawet jajka nie ugotowały.

\*

Przez te dwa lata od śmierci mojej śmierci  
codziennie jest ten sam dzień,  
który nie ma żadnej nazwy ani daty,  
dzień, którego nie udało się wcisnąć  
pomiędzy żadne wczoraj i jutro,  
dzień, który północ pomylił z południem  
i utknął pomiędzy godzinami,  
jak cień na zegarze słonecznym,  
gdy zmrok na dobre już zapadł,  
a świt nie nadchodzi.

## Człowiek Chory Na Raka

W czasach mojego dzieciństwa umierało się  
najczęściej na atak serca i raka

Taki człowiek chory na raka  
w odróżnieniu od takiego co umarł na serce  
czasem żył jeszcze dość długo  
Chociaż można się spierać  
czy na pewno tak długo żył jeszcze  
czy raczej tak długo umierał

Więc właśnie takiego  
Człowieka Chorego Na Raka  
bardzo chciałem choć raz na żywo zobaczyć  
zanim jeszcze szczelnie owinąwszy się trumną  
zdążyłby się zapaść pod ziemię

Takich chorych  
leczyło się wówczas radem fosforem i strontem  
Miałem zegarek  
ze wskazówkami powleczonymi fosforem  
który świecił po zmroku  
i byłem ciekaw czy chory na raka  
w taki sam sposób świeci w ciemności

Dla tych chorych  
w Gliwicach był szpital z czerwonej cegły  
Czasem podkładałem się tam wieczorami  
i wspinając na palce  
wpatrywałem się w ciemne okna

Stałem tam godzinami  
z nadzieją  
że jakiś chory  
wreszcie pojawi się w którymś oknie  
i podobnie jak wskazówki w moim zegarku  
zaświeci  
przebijając się przez tę ciemność

17 III 2023

23–25 II 2023



# „Schowajmy się na po śmierci”

Pożytki lektury tomu pt. *Makowiecki*

JERZY PASZEK

Mysł cytowana w tytule pochodzi od Chopina, mówiącego w ten sposób o pragnieniu nieśmiertelności. (Skądinąd wiadomo, iż ostatnimi słowami wielkiego kompozytora była fraza „Uciekam, uciekam” albo „Cherami” albo „Matka, moja biedna matka” albo „Jestem już u źródła szczęścia!”). Dowiaduję się o tej sentencji z tekstu Andrzeja Zdzisława Makowieckiego (1939–2019), w którym podziwia monograficzną libellę Ryszarda Przybylskiego o listach muzyka, czyli *Cień jaskółki. Esej o myślach Chopina* (1995). Zachwyty warszawskiego polonisty były opublikowane pierwotnie w „Stolicy” (2010, nr 11/12) pt. *Chopin bez fortepianu*, a przedrukowano je we florilegium, księżce pamiątkowej, zbierającej mniej znane eseje, artykuły, wykłady i wywiady badacza literatury Młodej Polski. Tom ten zawdzięczamy zespołowi przyjaciół profesora: Łukaszowi Książkowi, Grzegorzowi Leszczyńskiemu, Marcie Makowieckiej, Tomaszowi Wroczyńskiemu, Agacie Zalewskiej i przede wszystkim żonie uczonego, Irenie Makowieckiej: *Makowiecki* (Warszawa 2023, s. 274; duży format, twarda oprawa, elegancki papier w kolorze beżowym).

Poloniści wiedzą, że Makowiecki był autorem takich historycznolite-

rackich prac, jak: *Młodopolski portret artysty* (1971), *Trzy legendy literackie: Przybyszewski – Witkacy – Gałczyński* (1980), *Młoda Polska* (1981, seria: „Biblioteka Polonistyki”), *Wokół modernizmu. Szkice* (1985, m.in.: T. Rittner, T. Boy-Żeleński, K. Irzykowski, S. Lack, A. Strug, J. Żuławski), *Słownik postaci literackich* (2000, s. 1068), *Warszawskie kawiarnie literackie* (2013). Dla mnie, miłośnika Berenta i Żeromskiego, obowiązkową lekturą były oczywiście wszystkie książki Makowieckiego. Gorzej było z dostępem do laudacji o Konwickim, Henie, Nowakowskim, Tazbirze, Kulmowej czy Myśliwskim, wygłaszanych przez szefa jury Warszawskiej Nagrody Literackiej (lata 2008–2010, 2012–2014) bądź do wystylizowanej na rozmowę Kmicica z Radziwiłłem pochwały Jerzego Axera z roku 2006. Jej barokowa tytułatura wiele mówi nam o kompozycji przemowy: *Jerzy Axer. Nowy Potop, czyli Wspomnienie najemnika. (Z Henryka Sienkiewicza przez A.Z.M. ku czasom nowszym podszycowane). Rozdział o numeracji dowolnej bo składany z wielu* (s. 25–30).

Takich niespodzianek w omawianym woluminie jest sporo. Mamy tu rozdział pt. *Bywanie polega na siedzeniu*, gdzie charakteryzuje się kawiarnie literackie od przełomu XIX i XX wieku aż po koniec ubiegłego stulecia. Dla wszystkich czytelników interesujące mogą być dość długie wywody (s. 91–104) na temat powiązań lekarzy z literaturą; z polskich medyków opisuje się tutaj m.in. Janusza Korczaka, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Stanisława Lema; wśród lekarzy-literatów, znanych u nas dzięki przekładom, wymieniono: Antona Czechowa (autora takich nowel, jak *Chirurgia*, *Zwłoki*, *Podczas sekcji zwłok*), który w dramacie *Wujaszek Wania* ukazał lekarza Michała Astrowa (sam pamiętam krakowskie przedstawienie tej sztuki z lat 60., w których podziwiałem grę aktorów i scenografię, wyzyskującą pluszowe, miękkie dywany), Michała Bułhakowa, twórcy nie tylko *Mistrza i Małgorzaty*, ale również opowiadań pt. *Zapiski młodego lekarza* oraz *Morfiny* (te

utwory były podstawą 8-odcinkowego serialu, wyprodukowanego w Wielkiej Brytanii w roku 2012); inni zagraniczni medycy-literaci to: Dante Alighieri, Franciszek Rabelais, Fryderyk Schiller, Eugeniusz Sue (słynne *Tajemnice Paryża*), Gottfried Benn, William Somerset Maugham, Axel Munthe (autor *Księgi z San Michele*, światowego bestsellera z roku 1929), Kobo Abe (pamiętna jego sfilmowana powieść *Kobieta z wydm*).

Żona pisarza, Irena Makowiecka, przez całe swoje życie zbierała wszelkie przedmioty, które udawały sowę (np. stojak na płaszcze) lub przedstawiały te nocne ptaki. Małżonek, wykorzystując owe sowe pomoce naukowe, wykreował pokazny esej (s. 105–113) na temat zmiennej kariery i w dziejach globu, i w różnych lokalizacjach sowy jako takiej, tzn. symbolu mądrości, ale i drapieżnika nocnego, zwiastuna śmierci, ptaka złowróbnego. Stąd tytuł artykułu: *Sowie ambiwalencje*. Uważam to za gest wspaniałomyślności małżeńskiej – docenienie zainteresowań i pasji całonocnego partnera. Moja żona – na szczęście niedoszłego twórcy monografii o jej pasjach i kreacjach – nie wyróżnia się z reprezentantek swojej płci, bo kolekcjonuje jedynie sukienki, bluzki, garsonki, płaszcze, szatki, szale, apaszki, fatałaszkę, kapelusze i wszelkiego rodzaju modele i odmiany butów!

Dla większości czytelników interesującym byłby esej pt. *Prolegomena do badań nad anegdotą literacką* (s. 114–125), gdyby autor nie poskąpił przykładów co słynniejszych kawałów i wybryków, zdarzających się i wymyślanych na poczekaniu przez poetów i prozaików lub ludzi, którzy kibicują literatom, jak np. Franciszek (Franc) Fiszer, twórca zagadkowej frazy, dotyczącej poety: „Zajechała puśta dorożka, z której wysiadł Leśmian”. Makowiecki zaczytywał kilka anegdot, a potem zajął się historią i terminologią naukową, wiedzą potrzebną li tylko badaczom literatury. Stąd dopiero Roman Loth, wieloletni kolega Makowieckiego, daje satysfakcję zadowolonym czytelnikom, bo przedstawia



szeroko dowcipy, gawędy i rubaszne powiedzonka Franca w fascynującym zbiorze: *Na rogu świata i nieskończoności. Wspomnienia o Franciszku Fiszerze* (1985).

Muszę, jako autor tekstu o libellach dla przyszłych emerytów (*Wybrańcy o wybrańcach dla wybrańców. Księgi jubileuszowe polonistów*. „Słask” 2021, nr 12), przyznać, iż nie znam dotąd ani jednego eseju Makowieckiego, uświetniającego wspomniane tomy polonistów dla polonistów, czyli np. księgi *Jak się z wami zrosło moje życie. Prace dedykowane profesorowi Romanowi Lothowi* (2011; tekst A.Z.M.: „Marchoń” *Kasprowicza jako dramat ekspresjonistyczny*), *Światy przedstawione. Prace z historii i teorii literatury ofiarowane profesorowi Jerzemu Speinie* (2000; tekst A.Z.M.: „Wariacje pocztowe” *Kazimierza Brandysa na tle problematyki pastiszu*), *Słowa i metody. Księga dedykowana profesorowi Jerzemu Święchowi* (2009; tekst A.Z.M.: *Wojenny (?) rozpad domu w biografii outsidera z powieści Stanisława Dygata*). Trafnie w moim eseju więc stwierdziłem, że wszelkie księgi i zbiory pamiątkowe, kierowane i ofiarowane kolegom profesorom, są dobrem rzadkim, gdyż mało kto może poszczycić się posiadaniem kompletu tych polonistycznych rarytasów!

I jeszcze jedna niespodzianka kryje się w przedstawianym tu woluminie. Otóż nieoczekiwanie dowiadujemy się o intymnych sprawach i sprawkach A.Z. Makowieckiego. Że nie wymawiał „r”, że lubił kawę i kota Nygusa, że czytać nauczył się przed skończeniem 4 lat! A także o tym, że profesor miał fenomenalną pamięć, bo zatrzymał w niej kadry i fotografie z powstania warszawskiego (ma wtedy tylko 5 lat), bo potrafi oprowadzać czytelnika po kawiarniach literackich, działających od 1900 do 2000; zna Warszawę na wylot, stąd podaje wiele szczegółowych informacji o miejscach ważkich dla historii stolicy – dawniej i dziś.

W wywiadzie radiowym wyznaje, że jego mistrzami byli Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka i Artur Hutnikiewicz, czyli autorzy najobszerniejszych indywidualnych syntez literatury przełomu wieku XIX i XX: *Neoromantyzm polski* liczy sobie 466 stron (wydanie z roku 1980), *Młoda Polska* Wyki mieści się w dwu tomach (s. 364 + 364, edycja z roku 1977), tom *Młodej Polski* Hutnikiewicza ma stron 484 (wydanie z roku 1994).

Wspominając spotkania z polonistą toruńskim, Makowiecki przytacza „króciutką anegdotkę o Juliuszu Kleinerze, którą opowiadał mi właśnie Artur Hutnikiewicz. On był asystentem Kleinerza na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie przed wojną i kie-



Andrzej Zdzisław Makowiecki

dyś podejrzwał swego mistrza, którego wykłady ściągały cały Lwów. Na jego wykłady chodzili ludzie jak na spektakle teatralne. I on podejrzwał swojego mistrza, który stał przed lustrem, następnego dnia miał wykład, a poprzedniego wieczora mówił ten cały wykład do lustra, odmierzając nawet gesty i mimikę. Wykłady Kleinerza to było skończone dzieło artystyczne” (s. 265). Ciekawe, czy do tej tradycji nie nawiązywał Ireneusz Opacki, przykładający tak wielką wagę właśnie do teatralnych efektów podczas swych kwiecistych wystąpień?

Dla badaczy naszej moderny istotne jest to, że Makowiecki nie wstydził się powiedzieć, iż lubi czytać Żeromskiego (s. 254), a zaraz po nim Berenta i Irzykowskiego (ib.). Co do Marcela Prousta, to występuje ze zdumiewającym zdaniem-zadaniem: „Proust wciąga, fascynuje i pozostawia nas jako wielbicieli na stałe gdzieś mniej więcej **po dwunastej lekturze**” (s. 256, podkr. J.P.). Gdzie zaprowadzi nas takie żądanie? (Przypominam, że powieść *W poszukiwaniu straconego czasu* ma w polskim tłumaczeniu 7 tomów!).

Myślę, że jest tu zawarta analogiczna utopia czytelnicza, jak u Harolda Blooma, marzącego o tym, by czytelnicy wielokrotnie mogli przebrnąć przez najtrudniejszy tekst zapisany prozą, ale mówiący słowem poetyckim – *Finnegans Wake* (po polsku jest to w przekładzie Krzysztofa Bartnickiego *Finneganów tren*).

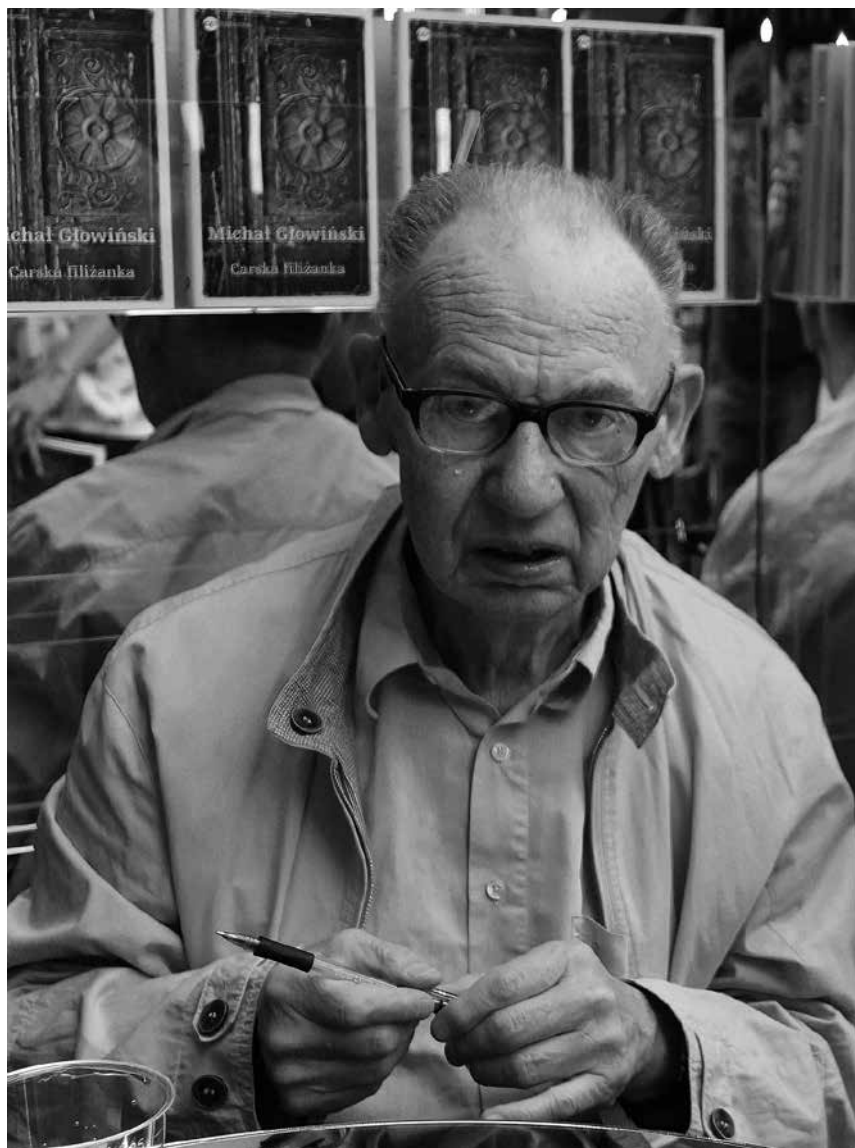
W cytowanej sentencji tytułowej Chopina chodzić może o trzy kwestie: po pierwsze, że w życiu po tamtej stronie trzeba mieć o czymś dobrym i miłym wspominać; po drugie, także na nędznym naszym padole płaczu powinno się z naszym nazwiskiem łączyć pozytywne i trafne oceny; po trzecie, po śmierci należy liczyć na to, iż i o nas coś nowego i niespodziewanego się pojawi... Takie ukryte informacje zawarte są również w grafice okładki, zaprojektowanej przez Agnieszkę Miłaszewicz: słowo MAKOWIECKI zostało podzielone na 3 części – MAK + OWIE + CKI, ułożone jedna pod drugą tak, iż kreują akrostychy MOC. Taka sprytna subwersywna (czyli bodziec podprogowy) sugestia!

**W latach 70. i 80. był Pan aktywnym uczestnikiem życia literackiego. Jak po latach interpretuje Pan skalę zamieszania wokół „prozy nowych nazwisk”? Większość debiutujących wówczas autorów to dziś nazwiska całkiem zapomniane.**

„Proza nowych nazwisk” – nie zetknąłem się z tą formułą, albo o niej zapomniałem. Przyjmuję, że jest to synonim „rewolucji artystycznej w prozie”. Nie wiem, czy z inicjatywą Henryka Berezę łączy się „zamieszanie”. Po kilkudziesięciu latach widać, że była to inicjatywa niefortunna, o czym świadczy to, że z prozaików – podopiecznych Berezę – nikt się nie wybił na tyle, by być pamiętany po kilkudziesięciu latach, a utwory – czytane i wznawiane. Ten ruch literacki zakończył się klęską. Dlaczego? Z wielu względów. Dlatego, że podzielił losy tego, co w swoim czasie nazwałem socparnasizmem, czyli literatury nieistotnej tak literacko, jak społecznie – i jak się okazało – także historycznie, bo nie oddziaływał na proces rozwojowy polskiej literatury. Był mało znaczącym epizodem, widać to dobitnie również dzięki temu, że pojawiła się grupa utalentowanych prozaików młodszych od „rewolucjonistów w prozie”. Nie wiem, czy Bereza pisał cokolwiek o takich pisarzach jak Tokarczuk, Dehnel, Twardoch (wymieniam tych, których cenię i chętnie czytam). Ci świetni pisarze nie byli chyba nigdy łączeni z tymi, którzy byli przez tego krytyka lansowani. Ruch, któremu patronował, nazwałbym programem manieryzmu literackiego.

**Jedną z centralnych postaci literatury tamtych lat był Henryk Bereza. Czy zetknął się Pan z nim osobiście? Jak go Pan zapamiętał?**

Nigdy by mi na myśl nie przyszło, że Bereza był jedną z postaci centralnych literatury tamtych lat. Może się mylę, kwestionując to stwierdzenie, jego sposób uprawiania krytyki był mi obcy, zresztą specjalnie nim się nie interesowałem. Uważam, że czołowymi krytykami, należącymi do pokolenia starszego byli Wyka i Sandauer, a z rówieśników Berezę bądź trochę młodszych – Błoński, Flaszen, Burek. Henryka Berezę znałem osobiście, poznałem go za młodu (był o kilka lat starszy od mnie). Była to znajomość odległa, obracaliśmy się w różnych kręgach, on – przede wszystkim literackich, ja – przede wszystkim naukowych, czy akademickich. Typ krytyki, jaki Bereza uprawiał, był mi obcy, czynnie zajmowałem się krytyką literacką tylko w młodości, debiutowałem jako krytyk publikujący w „Twórczości” w roku 1955 (miałem wówczas lat 21). Pisałem głównie recenzje tomów wierszy, Bereza zajmował się głównie (albo jedynie) prozą narracyjną. Nie mam danych, by go wspominać, wiem o nim niewiele.



Joł. Ja Pyta

## Bezdroża socparnasizmu

Odpowiedzi MICHAŁA GŁOWIŃSKIEGO

na ankietę ANDRZEJA ŚNIOZKA

**Jaki jest Pana stosunek do konceptów historyczno- i krytycznoliterackich Berezę? Pytam zwłaszcza o antynomie „języka martwego” i „języka żywego”, który według Berezę cechował prozę „rewolucjonistów”.**

Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie śledziłem enuncjacji teoretycznych Berezę, mogę się tylko domyślać, o co chodziło. Jako hasło programowe ruchu, który ma w swojej nazwie słowo „rewolucja”, jest to niewątpliwie sformułowanie zreżne. Nie sądzę jednak, by odpowiadało jakiegokolwiek tekstowej rzeczywistości. Trudno traktować język w tak wysokim stopniu manieryczny jako „żywy” niezależnie od tego, w jaki sposób się go rozumie.

**Co Pana zdaniem spowodowało niemal zupełny – czytelniczy i krytyczny – odwrót od artystycznej prozy spod znaku Henryka Berezę i „Twórczości”?**

Co spowodowało odwrót od wzorca prozy propagowanego przez Berezę? Odpowiedzią najłatwiejszą byłoby stwierdzenie, że zabrakło indywidualności czy wielkich talentów, które wzbudziłyby zainteresowanie i krytyki, i szerszej publiczności. Ruch ten nie miał swojego koryfeusza wśród jego przedstawicieli. Można powiedzieć, że miał generała w osobie Berezę, ale zabrakło bojowych oddziałów na wysokim poziomie, a bez nich przywódca nie wygrywa. Proszę wybaczyć tę militarną analogię, ale ona nasuwa się sama przez się. Do tego wszakże sprawa



się nie ogranicza. Nie mam pewności, czy Bereza był krytykiem o dobrym smaku literackim. Pamiętam, że kiedyś natrafiłem w „Twórczości” na tekst sytuujący się między poematem prozą a przekazem narracyjnym, który wydał mi się czystej wody grafomanią, a Bereza obwieścił, że to arcydzieło, autor zaś jest niemal geniuszem. Nie jestem pewien, jak się autor ów nazywał (może Filip Przywara, czy jakoś podobnie? [chodzi o Pawła Przywarę – AŚ]). Mówiło się, ale może była to tylko plotka, że Bereza – redaktor działu prozy w „Twórczości”, odrzucił jako wtórny i nienowoczesny fragment *Weisera Dawidka* Pawła Huellego, a więc powieści, która była najwybitniejszym debiutem dekady i jest z satysfakcją czytana także obecnie. Wydaje mi się, że chodzi tu o coś więcej niż o jednorazową omyłkę. Nawet gdyby opowieść o odrzuceniu była tylko plotką, nie przeczy to temu, że krytyk lansujący nieznaną debiutantów tej wybitnej powieści nie zauważył. Odwrót od prozy bliskiej Berezie – czy jest to formuła właściwa? Myślę, że nie, bo proza ta nie była w zasadzie nigdy przedmiotem szerszego zainteresowania. Pamiętam, jak była odbierana. Jej propagowanie w „Twórczości” wpłynęło na marginalizację tego miesięcznika, który za redakcji Iwaszkiewicza miał wielkie znaczenie i w kręgach literackich był powszechnie czytany. Zresztą to, że redakcja, w której pracowali wybitni redaktorzy (na przykład Andrzej Kijowski), uległa presji Berezę, świadczy o tym, że był on silną osobowością. Ale też – jestem tego pewien – przyczynił się do kryzysu tego miesięcznika po śmierci Iwaszkiewicza. Ta proza odrzucała tym, co nazwałbym manierystycznością i nieistotnością – co rzucało się w oczy zwłaszcza na tle tego, co się ówczesnie w Polsce działo. Pamiętam swoje reakcje. Byłem czytelnikiem „Twórczości” od roku 1955, sięgałem systematycznie po każdy kolejny numer i w każdym znajdowałem rzeczy interesujące. Zmieniło się to, gdy „Twórczość” stała się trybuną „rewolucji artystycznej w prozie” i była wypełniona obszernymi tekstami, które do czytania nie zachęcały.

**Czy prozie „bereziaków” bliżej do modernizmu czy postmodernizmu? Niektórzy badacze widzą w Marku Słyku pierwszego w Polsce postmodernistę. Inni, jak choćby Włodzimierz Bolecki, bardzo niechętnie używają terminu postmodernizm, opisując literaturę XX wieku w kategoriach modernizmu.** Nie wiem, czy „bereziacy” znajdowali się bliżej modernizmu czy postmodernizmu. Nie operuję tymi kategoriami. Wydaje mi się, że byli bardzo dalecy od tego wielkiego ruchu awangardowego w dziedzinie prozy powieściowej, jakim był francuski *nouveau roman*, który apogeum przeżył w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i obecnie też jest raczej zapomniany, mimo że jego przedstawiciele byli zdecydowanie wybitniejszymi pisarzami niż uczniowie Berezę.

**Jednym z bardziej dotkliwych zarzutów wobec debiutujących w latach 70. i 80. prozaików był „socparnasizm”. Pojawili się sugestie, jakoby pisarze celowo unikali wątków nieprzychylnych władzy, a co za tym idzie kolaborowali z Partią. Dzięki temu mogli publikować w obiegu oficjalnym. Czy w Pana opinii takie zarzuty były słuszne?**

Położenie tej grupy pisarzy w Polsce Ludowej, czyli to właśnie, co nazwałem socparnasizmem, stanowi sprawę podstawową. Dla tej problematyki niezmiernie ważną jest książka Grzegorza Wołowca *Nowocześni w PRL* (1999). Bardzo ją polecam, jeśli Pan do niej nie dotarł, mimo że dotyczy wcześniejszych czasów i innego materiału. Problem ten powracał i przyjmował rozmaite kształty, co zależało od jakiegoś mierze od immanentnych właściwości danej dziedziny sztuki w danym okresie, ale też od ogólnej sytuacji polityczno-społecznej. Znaczenie tego, co nazywano nowoczesnością, było zmienne, a także zmienna była jej rola. W latach pięćdziesiątych, a przynajmniej od ich połowy, czyli od czasów odwilży, a więc okresu, w którym skończyła się dominacja socrealizmu, wszelkie dążenia artystyczne o charakterze niezależnym były aktem nonkonformizmu i tak były odbierane. A zatem aktem nonkonformizmu było na przykład malarstwo abstrakcyjne, muzyka dodekafoniczna, wszelkie przejawy nowatorstwa w literaturze. Partia, zarządzając kulturą, zaznaczała swój dystans wobec tych przejawów wolności artystycznej, ale – inaczej niż w okresie socrealizmu – je dopuszczała. Wielu przedstawicieli tak zwanej nowoczesności tym się zadowalało. Sytuacja nadal się zmieniała. Wielu – zwłaszcza pisarzy – zaczęło się angażować w ruch opozycyjny i z natury rzeczy nie programowi awangardyści, ale właśnie ci buntownicy zaczęli być traktowani jak wrogowie. Tak zarysowywałyby się ogólna sytuacja przedstawiona w ujęciu maksymalnie uproszczonym. I tutaj właśnie ujawnia się miejsce, które przypadło Berezie i jego zwolennikom. Z pytań, jakie Pan zadaje, wnioskuję, iż jest Pan świadom, że Polska Ludowa także w zakresie polityki kulturalnej nie była jednolitą, niezmienną całością, raz zaplanowaną i potem do roku 1989 niezmienną. Było inaczej, rozpadała się ona na okresy czy etapy (ciekawie sugestie na ten temat o charakterze głównie metodologicznym można znaleźć w książkach wybitnej socjolożki Hanny Świdry-Ziemby o PRL-u). Wydaje mi się, że program literacki Berezę wiąże się bezpośrednio z fazą schyłkową realnego socjalizmu w Polsce. To, co się działo w literaturze, w zasadzie już niezbyt interesowało rządzącą partię, która była świadoma, że kultury sobie już nie podporządkuje i nie wykorzysta dla celów propagandowych, z tego względu właśnie patrzyła z przyzwoleniem na socparnasizm w stylu Berezę, nie był on dla niej groźny. Zjawisko to nie było całkiem nowe, miało anteceden-

cje w latach sześćdziesiątych, obejmowało ono jednak przede wszystkim poezję; myślę tu o tak zwanej grupie Hybrydy, działającej w tej dekadzie w Warszawie. Związani z nią poeci należeli do PZPR, niczemu się nie sprzeciwiali i za tę cenę mieli względną swobodę w swej twórczości. Taką postawą różnili się od większości poetów debiutujących w okresie październikowym i tych, którzy mieli w swej biografii epizod stalinowsko-socrealistyczny (jak na przykład Woroszyński), a także od poetów tak zwanej Nowej Fali. Używa Pan słowa „kolaborowanie”. Wydaje mi się jednak, że w tym kontekście jest ono zdecydowanie zbyt mocne. Rezerwowałbym je dla twórczości tych autorów, którzy podporządkowywali swą twórczość celom propagandowym PZPR (jak to robił na przykład od pewnego momentu Roman Bratny, autor między innymi powieści *Rok w trumnie*, będącej paszkwilem na „Solidarność”). I poeci z lat sześćdziesiątych, i prozaicy z tak zwanej „stajni Berezę” (ta formuła funkcjonowała i nie była pochwałą; nie wiem, czy kiedykolwiek pojawiła się w druku) zostali zapomniani. Nie jestem świadom, oczywiście, czy jest to ostateczny wyrok historii. Przypuszczam, że nie zostanie skorygowany. W którychś z artykułów uzasadniałem rozróżnienie na „literaturę w PRL”, czyli powstającą w kraju i „literaturę PRL”, czyli taką, która ówczesnej władzy oddawała usługi propagandowe; twórczość autorów związanych z Berezę mimo wszystko łączyłbym z tą pierwszą, twórczość zaś autorów w rodzaju Bratnego – z tą drugą

**Czy utrzymuje Pan kontakty z „młodymi prozaikami” tamtych dekad? Czy interesował Pana ich dalsze losy?**

Nikogo z nich nie znałem osobiście i nie znam nadal, a więc trudno byłoby mi utrzymywać kontakty. Osobiście znałem moich rówieśników, niewielu jest już wśród żywych.

**Nad czym pracuje Pan obecnie? Czy można spodziewać się nowych tekstów?**

Nie podejmuję większych prac, w moim sędziwym wieku już raczej się tego nie robi, ale wciąż zajmuję się różnymi mniejszymi sprawami. Pod koniec roku ukaże się moja książka, zawierająca obok przedruków trochę nowych tekstów.

Nie chciałbym tworzyć wrażenia, że kwestionuję w ogólności dorobek krytycznoliteracki Henryka Berezę. Tak nie jest. O ile pamiętam, w pewnym okresie swej działalności był on ogromnie przychylny tak zwanemu nurtowi chłopskiemu w literaturze – zanim stał się przywódcą owej nieszczęsnej „rewolucji”. I to jest wielka jego zasługa. Zajmował się wówczas wybitnymi poważnymi pisarzami. Tak właśnie widzę ten nurt, by wymienić Myślińskiego, Tadeusza Nowaka, Mariana Pilota, może jeszcze Kawalca. Ale to już wykracza poza problematykę, która Pana zajmuje. ■



## Reportaże zawsze na czasie

KSIAŻKI

AGNIESZKA NĘCKA-CZAPSKA

Bernadetta Darska bez wątpienia jest jedną z najbardziej pracowitych, a także najbardziej rozpoznawalnych oraz docenianych literaturoznawczyń i krytyczek literackich publikujących po 1989 roku. W polu jej zainteresowań badawczych znajdują się między innymi literatura i kultura popularna XX i XXI stulecia, czasopiśmiennictwo (ze szczególnym uwzględnieniem tego nacechowanego feministycznie) oraz reportaże, który badaczka traktuje jako coś „żywego i nieustająco będącego w ruchu” (s. 27). W jej odczuciu – i trudno byłoby z tym stwierdzeniem polemizować – gatunek ten niezmiennie „inspiruje do działania, budzi emocje, rodzi pytania oraz wątpliwości dotyczące człowieka i rzeczywistości, skłania do dyskusji i polemicznych sporów” (s. 27). Z tego zapewne powodu przez lata Darska poświęcała reportażowi wiele uwagi. Dość wspomnieć takie jej książki, jak: *Pamięć codzienności, codziennność pamiętania. Szkice o reportażu polskim XXI wieku* (2014), *Maski zła. (Nie)etyczność postaw i zachowań jako temat współczesnego reportażu polskiego* (2016), *Młodzi i fakty. Notatki o reportażach roczników osiemdziesiątych* (2017) czy *Berlinowanie. Zapiski z doświadczenia miasta* (2022), by zobaczyć, jak różne problemy porusza. Swego rodzaju uzupełnieniem czynionych dotychczas rozważań jest *Czas reportażu. O tym, co działo się wokół gatunku po 2010 roku*, będący efektem przyglądania się temu, co od kilkunastu lat zdarza się w obrębie uprawiania tak popularnego gatunku, jakim jest reportaż, zwłaszcza za sprawą prowadzonych dziś działań (auto)promocyjnych i niebagatelnego oddziaływania na naszą codzienność social mediów. Jako cezurę Bernadetta Darska wybrała 2010 rok, przekonująco argumentując tę decyzję publikacją w tym czasie biografii Ryszarda Kapuścińskiego pióra Artura Domośławskiego, która zainicjowała jedną z ważniejszych potransformacyjnych dyskusji literackich. Rok 2010 to ponadto moment rozpoczęcia działalności Polskiej Szkoły Reportażu, która stała się – jak dowodzi krytyczka – „kluczową jednostką edukacyjno-środowiskową, konsolidującą wspólnotę reporterów, kontrolującą sprawą i przyjazną wymianę pokoleń oraz gwarantującą utrwalanie i przekazywanie zasad obowiązujących podczas uprawiania gatunku” (s. 10).

Wartość poznawcza tej publikacji jest bezcenna. Wszak w swojej najnowszej monografii Darska zbiera najważniejsze informacje, próbując uporządkować dotychczasową wiedzę na temat reportażu i dać w miarę całościowy ogląd sytuacji. Już pobieżny rzut oka

na spis treści tej książki pokazuje, że w przypadku *Czasu reportażu...* mamy do czynienia ze swego rodzaju szczegółowo przemyślanym przewodnikiem po najistotniejszych (choć – co warto podkreślić – nie tylko tych pozytywnych) kwestiach dotyczących współczesnych reportaży. Badaczka, skrupulatnie rekonstruując infrastrukturę pokazującą, w jaki sposób budowane są hierarchie, jakie wartości brane są pod uwagę, jakie czynniki wpływają na rozwój gatunku i nieustanne pojawianie się coraz to nowszych nazwisk młodych adeptów reporterskiej sztuki. Biorąc pod lupę konteksty medialno-rynkowe i towarzyskie, wskazuje, co, kto i dlaczego w tej przestrzeni się liczy. Darska pisze zatem o tym, co zazwyczaj umyka, bo otoczka wokółreportażowa wydawać się może – niekoniecznie słusznie – mniej istotna niż same teksty. W centrum jej zainteresowań znajdują się zatem istotne elementy życia gatunku: festiwale (takie jak „Warszawa bez fikcji”, Miedzianka Fest / Miedzianka po Drodze, NON-FICTION, Literacki Sopot, Festiwal na Faktach w Kutnie czy OKOlice Literatury w Szczecinie), kulisy nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego i Grand Press za Książkę Reporterską Roku. Badaczka analizuje wpływ przyznawania uznawanych za najbardziej prestiżowe nagród (na przykład Nobla i Nike) reporterom. Przybliży wspomnianą już Polską Szkołę Reportażu, omawia podręczniki wspierające naukę pisania tekstów reportaży oraz znaczenie stypendium Fundacji Herodota. Rozprawia o problemach ze zdobywaniem etatów w gazetach i związanych z tym konsekwencjach. Krytycznie rozprawia o „środowiskowej samoobsłudze” (s. 45), dostrzega-

jąc związane z nią niebezpieczeństwa. Za jedno z nich można uznać wykorzystywanie mediów społecznościowych, które nie tylko pogłębiają komercjalizację, ale również oferują nowe możliwości uczestnictwa w kulturze. Trzeba przyznać, że bardzo ciekawie wypadają zwłaszcza te uwagi, które dotyczą przestrzeni (auto)promocyjnej. Darska przywołuje interesujące działania prowadzone na Instagramie czy Facebooku, mając świadomość tego, że reporter potrzebuje ugruntowywać swoją obecność dzięki dodatkowym aktywnościom, wśród których szczególnie znaczenie mają właśnie te konsolidujące środowisko i angażujące odbiorców. Media społecznościowe przestały być bowiem – o czym dzisiaj już przekonywać nie trzeba – jedynie miejscem publikowania informacji o nowościach wydawniczych lub trasach autorskich, ale stały się polem wymiany doświadczeń, budowania i podtrzymywania relacji z czytelnikami oraz kreowania pisarskiego wizerunku. Jak słusznie stwierdza Darska: „Im bardziej autorski charakter ma koncepcja kreowania własnego wizerunku w mediach społecznościowych, tym wydaje się skuteczniejsza. Postrzegana jest też wówczas jako działanie oparte na szczerości” (s. 192). W tym przypadku nie chodzi o emocjonalny ekshibicjonizm czy odsłanianie własnej intymności, ale o „na przykład pokazanie, w jaki sposób reporter dokumentuje temat, nad którym właśnie pracuje, informacja o tym, co go zainteresowało w kontekście aktualnie dostępnych tekstów kultury, czy podzielenie się zachwytemi z podróży poprzez udostępnienie wybranych zdjęć” (s. 192). Reporter, jak każdy inny pisarz musi walczyć o „lajki”. Liczba pozostawio-

nych pod postem komentarzy czy liczba udostępnień i reakcji na dany post staje się dowodem na to, „jak ważny i absorbujący jest to temat [...], z drugiej natomiast przypomina o chwilości tego typu debat” (s. 138). Reporter może dzięki swoim social mediom włączać innych w działania, może też – jak Mariusz Szczygieł na Instagramie – „wcielić się w rolę przewodnika po pasjach i zachwytach. Opowiada o tym, co zrobiło na nim wrażenie, co go przyciągnęło do danego dzieła kultury, co wpłynęło na zajęcie się danym zagadnieniem. Zawsze jednak robi to tak, że osobista refleksja składa się i z ujawnionych emocji, i z interpretacji, i z analizy. Taki sposób opowiadania zachęca do obejrzenia zdjęć i do przeczytania posta” (s. 143), a w konsekwencji – do podtrzymania rozpoznawalności reportera i do zwiększenia sprzedaży jego książek.

Olsztyńska krytyczka omawia zresztą więcej przykuwających uwagę przykładów różnorodnego wykorzystywania przestrzeni wirtualnej w celach promocyjnych. Bo też i na Facebooku coraz częstszą strategią postępowania jest zakładanie książkom fanpage’y, prowadzenie online spotkań autorskich, które za sprawą pandemii Covid-19 przeniosły się w tryb zdalny, by już w nim pozostać oraz nagrywanie podcastów. Darska opisuje związki reporterów z agencjami literackimi i śledzi nowe formy obecności tego gatunku w dzisiejszej rzeczywistości. Refleksje natury wokółreportażowej służą nie tylko wypunktowywaniu konkretnych nazwisk należących do tzw. średniego i młodego pokolenia autorów reportaży, ale także krótkiej charakterystyce ich twórczości. W efekcie autorka *Berlinowania...* dzieli się (czasami bardzo krytycznymi, choć konstruktywnymi) uwagami między innymi na temat pisarstwa Świętłany Aleksijewicz, Jacka Hugo-Badera, Włodzimierza Nowaka, Mariusza Szczygła czy Justyny Kopińskiej i Marcina Kąckiego, przekonując, że najbardziej frapujące wydawać się mogą te propozycje wydawnicze, które umiejętnie łączą tradycję z nowoczesnością, które są właściwe „nowej epoce funkcjonowania reporterów i reportaży – opartej na nieodcinaniu się od tego, co tak naprawdę stanowi fundament reporterskiej pracy, i sięgającej chętnie do tego, co oferują w ramach skutecznej promocji i informacji nowe media” (s. 195).

W konsekwencji znaczna część rozmysłań Bernadetty Darskiej skoncentrowana została na najbardziej interesujących przykładach reportaży potrafiących wpisać się w nowe cyfrowe czasy. Widocznym rezultatem owych przekształceń okazuje się uwikłanie re-

portażu w pisanie o sobie. Krytyczka bierze zatem pod uwagę aspekty związane z (auto)biograficznością, która w reportażu może okazać się pretekstem do pytania o motywacje reportera, przypominając o „stałej obecności autora w reporterskiej opowieści i na traktowanie tej obecności jako elementu świata przedstawionego, służącego określonym celom. Umożliwiają również przyjrzenie się świadomości gatunkowej reportera. Autor, który panuje nad kompozycją tekstu, »używa siebie« wtedy, kiedy to jest potrzebne, a tę potrzebę widzi również zwykłe także czytelnik” (s. 198). Być może z tego poniekąd powodu Darska często oddaje głos samym reporterom, o których pisze, by pokazać tę ich samoświadomość gatunkową, kontekstowo traktując rozważania innych badaczek i badaczy podejmujących wcześniej podobne tematy. Przekazywana wiedza nie przytłacza, dzięki czemu czytelnikami omawianej tu monografii Darskiej mogą być odbiorcy niezajmujący się na co dzień analizowaniem współczesnych reportaży.

Niebywale ciekawym dopełnieniem czynionych w *Czasie reportaży...* rozważań jest część poświęcona nowatorskim formom reportażowym. Pamiętając o tym, że zajmując ją gatunek jest czymś nieustannie żywym, badaczka zastanawia się bowiem nad nowymi odsłonami tego typu tekstów, które ujawniając choćby emocje reporterów, zawieszane zostają między reportażem autobiograficznym a reportażem intymnym i sięgają nie tylko do wspomnień swoich autorów, ale także starają się odkrywać tajemnice własnej rodziny z przeszłości. Znaleźć tu można zachęcające do przemyśleń konstatacje dotyczące między innymi: Świadka Roberta Rienta, *50 twarzy Tindera* Joanny Jędrusik, *Ołowianych dzieci. Zapomnianej epidemii* Michała Jędryki, *Dziedzictwa* Henryka Grynberga, *Wróć przed nocą. Reportażu o przemilczanym* Jerzego Szperkowicza czy *Czystki* Katarzyny Surmiak-Domańskiej.

Bernadetta Darska włącza się też do dyskusji na temat „krytycznego namyślu nad ograniczeniami i możliwościami tkwiącymi w wykorzystywanej formie” (s. 237) i szuka utworów, w których zastosowane zostały nowe rozwiązania kompozycyjne. Do takich form zalicza: reportaż komiksowy (na przykład *Faks z Sarajewa* Joego Kuberta, *Morze po kolana* Marcina Kołodziejczyka i Marcina Podolca), reportaż poetycki (na przykład *Jakuk. Słownik miejsca* czy *Droga 816* Michała Książka, teksty Jarosława Mikołajewskiego wydawane w *Dowodach* na Istnienie) lub reportaż na scenie (między innymi film dokumentalny na podstawie *Gottlandu* Mariusza Szczygła, spektakl wyreżyserowa-

ny przez Zbigniewa Brzozę w Teatrze Nowym w Poznaniu na podstawie *Obwodu głowy* Włodzimierza Nowaka czy inscenizację *Mokradelka* Katarzyny Surmiak-Domańskiej w reżyserii Mikołaja Grabowskiego). Tym samym *Czas reportaży...* pokazuje, jak współcześnie publikujący reportażyści, pełniymi garściami korzystając z multimedialności, włączyli się w walkę o mainstream. „Reporterzy z wielką swadą stali się częścią grupy docenianych twórców, uczestniczących w festiwalach, spotkaniach autorskich i skutecznie promujących swoje książki. Przejęli też wiele zachowań typowych dla pisarzy, takich jak działania autopromocyjne w mediach społecznościowych, udzielanie wywiadów tzw. prasie kobiecej, rozmawianie o reportażach w ramach festiwalu literackich, wreszcie zabieranie głosu w sprawach ważnych i aktualnych, a więc wykazywanie zaangażowania społecznego. Status reportera jako gwiazdy lub celebryty okazuje się tożsamy z podobną pozycją zajmowaną przez popularnych pisarzy” (s. 302).

Bez wątplenia najnowsza monografia Bernadetty Darskiej przekonuje o jej doskonałej orientacji w przestrzeni reportaży. Swoboda, z jaką olsztyńska krytyczka porusza się po tak różnych publikacjach reportażowych wydawanych po 2010 roku budzi podziw i szacunek. Umiejętność wychwytywania rozmaitych strategii i scalania ich w spójną opowieść o tym, co działo się wokół gatunku w ostatnich trzynastu latach imponuje. Wiedzę ekspercką badaczka potrafi – co ważne – przekazać w uporządkowany sposób prostym językiem. Drobiazgowość opisów, z jaką mamy do czynienia zwłaszcza w pierwszej sekwencji omawianej tutaj książki, nie nuży. Przeciwnie – pozwala szybciej zrozumieć podejmowane przez dzisiejszych reporterów taktyki obecności w literackiej rzeczywistości. *Czas reportaży. O tym, co działo się wokół gatunku po 2010 roku* Bernadetty Darskiej jawi się zatem jako monografia wyjątkowa także dlatego, że daje się czytać jako kolejny dowód potwierdzający niesłabnącą popularność reportaży, podtrzymywaną dziś przede wszystkim dzięki umiejętnościom PR-owym samych reporterów i dobrze dobranym strategiom promocyjnym. Wszak reportaże i reporterzy, umiając się dostosować do zmieniających się warunków i okoliczności, zawsze pozostają na czasie. ■

**Bernadetta Darska: *Czas reportaży. O tym, co działo się wokół gatunku po 2010 roku*. Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Olsztyn 2023, s. 354.**

*Jestem znacznie bliżej* to osiemnasty zbiór poetycki gdańskiego autora, który debiutował w 1975 roku tomikiem *Miejsce na brzegu*. Z tego faktu wynika, że możemy liczyć na poezję dojrzałą, nasyconą doświadczeniem życia i twórczą, wieloletnią obserwacją świata. Kazimierz Nowosielski jest poetą gwarantującym aksjologiczną jakość wierszy, które przenika piękno, prawda i mądrość życiowa. Można odnieść wrażenie, że stykamy się z zapisem treści, które dziś wydają się tłumione, spychane na margines przez główny nurt kultury, ale właśnie przez to poezja Nowosielskiego zasługuje na szczególną uwagę, gdyż dotyka wartości ponadczasowych, odpornych na kulturowe wahania i chwilowe, przemijające zainteresowania masowego czytelnika.

Z najnowszego tomu autora *Jestem znacznie bliżej* wyziera troska o tematyczny kształt poezji, która rozprasza się we współczesnym tygłu w nieistotne pustostwo. Przeto w liryku *Poeci* autor z przejęciem pyta: „Ojczyzna moja / gdzie twój poeci / gdzie ci ich szukać / na tym Bożym świecie // Czy jest gdzieś taki / co z ducha polszczyzny / wywiedzie prawdę / czym miłość Ojczyzny // Czym służba ludziom / czym szczęście spotkania / kiedy dar miłości / a czym łza – w rozstaniach”. Wiersz ten odsłania najważniejsze zagadnienia dla twórcy mowy związanej. Widzimy, że nie jest to sztuka dla sztuki, lecz twórczość kształtująca, impresyjna, nakłaniająca w swej retoryce do ocalenia zagrożonych wartości. Poeta nie traci wiary w siłę przebiccia romantycznych idei i w tkance polszczyzny dostrzega elementy, które pozwolą im przetrwać. Stąd w ostatnich strofach utworu *Poeci* napotkamy pocieszające sformułowania, które rysują jasną wizję przyszłości: „Nie smuć się Polsko / bo są w twojej mowie / ziarna nadziei / i prawdy odpowiedź // I będą wiersze / które wzbudzą ducha / i takie pieśni / których Bóg wysłucha”.

Język czystej poezji charakteryzuje bezkompromisowe poruszanie najistotniejszych spraw, wskazywanie prawdy i krytyka zakłamania. Celem nadrzędnym twórczości zorientowanej na Dobro jest troska o człowieka, dbałość o jego przyszłość i wzrastanie w odpowiednich warunkach. Taka jest właśnie najnowsza liryka gdańskiego twórcy, która nie jest ukierunkowana na autorskie „ja”, nie jest egocentryczna, lecz wychodzi ku drugiemu, by spotkanie w słowie zaowocowało właściwym rozważaniem wartości w labiryntach życia. Warto słuchać poetów, a szczególnie poetów tak doświadczonych. Tomik Nowosielskiego nie ma podziału na rozdziały, ale możemy w jego wierszowanej przestrzeni wyodrębnić pewne znaczeniowe obszary, które składają się na spójną całość dzieła literackiego. Krytyczny namysł nad naszą epoką to niewątpliwie jeden z tematów, których tego typu poezja pominąć nie może. Dlatego wiele ważą słowa nasączone bólem i rozczarowaniem. Przeszywają one zrelatywizowaną rzeczywistość, budując treść m.in. takich wierszy jak \*\*\*(*Choć oczy otwarte...*), *Epoka, Bogowie, New Age, Wszystko płynne, Miasto*

## Wprowadzenie do wiekuistej bliskości

KSIĄŻKI

*II, Postęp, Na wszelkie sposoby, Oklaski*. Intertekstualne aluzje do Aldousa Huxleya i jego dzieła *Nowy wspaniały świat* podkreślają absurdy nowoczesnych tendencji społecznych i kulturotwórczych.

Sakralna poświata spowija wiersze zatytułowane *Skarga kapłana Chrystusowego, Kapłaństwo*. W tym ostatnim liryka nachyla się ku ekspiacji, a podmiot mówiący dokonuje gestu pełnego szacunku, zadziwienia i pokory w stosunku do kapłana. Poezja przebija się przez warstwy słów, które niosą prawdy wiary, a całość metafizycznie ujętej sytuacji lirycznej, będącej zintensyfikowaną impresją duchową, zamyka promieniująca blaskiem zaświata wizja Chrystusa zmartwychwstałego. Zapis ten nie jest efektem warsztatu literackiego ani wypracowanej techniki obrazowania. Poezja, z jaką mamy do czynienia, wynika z daru, z łaski, która nie jest marnowana, lecz podjęta w akcie twórczym, by służyć czemuś większemu, by odsłać do Tego, od którego wszystko pochodzi. W utworze *Wiara* autor wyraźnie o tym pisze, czym daje świadectwo zaangażowania w Miłość ponad wszelką miłość: „[...] gdzie wezwanie / które nas przerasta // bo od Boga idzie / i chce się utwierdzać // w każdym ludzkim czynie / i tęskni – do Więcej // i woła o Niego / – i wierzy że Miłość // w podzięcie za to / że się z Bogiem było”.

O tym, że poeta był i jest z Bogiem chyba najlepiej zaświadcza utwór *Jeden Bóg*. Z pewnego powodu to prawdopodobnie najważniejszy wiersz całego zbioru, gdyż jego ostatni wers figuruje jako tytuł omawianej książki. „Jestem znacznie bliżej” nie jest wypowiedzią odautorskiego „ja”, choć forma liryki bezpośredniej mogłaby na to wskazywać. Słowa te, jak i cały wiersz *Jeden Bóg*, zostały przepisane Stwórcy, dzięki temu wczytujemy się w apokryficzny i wizyjny tekst, który przypomina oraz uzmysławia, czym zostaliśmy obdarowani. Wyliczenie Boskich darów niejako zamyka człowieka w przestrzeni *sacrum*,



TOMASZ PYZIK

wynosi go ku mistycznej tajemnicy i pozwala doświadczyć tej bliskości, która sprawia, że „głód sensu” zostaje zaspokojony. „Nie szukajcie daleko / Jestem znacznie bliżej” – oto finałowa wskazówka płynąca od Stwórcy, która wierzących pozostawia w wiekuistej nadziei, a poetę klasyfikuje jako pośrednika między tym co Boskie, a tym co ludzkie. Ścisłość duchowego przylegania artystycznej tkaniki poetyckiej Kazimierza Nowosielskiego do metafizycznej sfery bytu ujawniają wiersze konfesyjne o tytułach *Pokarmy*, \*\*\*(*Uklęknięć...*), \*\*\*(*Stale wychodzić...*) oraz *Prośba (II)*. W *Pokarmach* przeczytamy strofę o takiej sile wiary: „Przyjmij do siebie / Jezu który idziesz / na Górę Przemienień / [...] i daj wytrwanie / w każdym Twoim amen”. W podobnym duchu utrzymana jest wypowiedź podmiotu w *Prośbie (II)*. Modlitewny charakter rzeczonych utworów niewątpliwie zbliża do eschatologicznej przestrzeni, a elegijna nuta końcowych wierszy tworzy niezwykle nastrój będący mieszanką przemijania doczesności z ufnym spojrzeniem w kierunka życia wiecznego. Ostatni liryk o incipicie \*\*\*(*Raz takie samo...*) zamyka optymistyczne pożegnanie: „[...] – więc do zdumienia / do widzenia // to co już było / to co przyjdzie”.

Poezja Kazimierza Nowosielskiego to twórczość otwarta na nieskończone, na tajemnicę przekraczającą ludzkie pojęcie, ale dzięki duchowemu ubogaceniu liryka ta jawi się jako wprowadzenie do wiekuistej bliskości. Dar, jaki promieniuje w wierszach gdańskiego autora, sprawia, że może on także we własnym imieniu użyć słów składających się na tytuł omawianego zbioru. Tak, ten poeta jest znacznie bliżej. Dzięki cnotom wiary, nadziei i miłości jest bliżej Boga. ■

Kazimierz Nowosielski, *Jestem znacznie bliżej*, Wydawnictwo ARCA, Kraków 2021, s. 92.

Akcja powieści Ałbena Grabowskiej – pi-sarki konsekwentnie powracającej do tematu wojny w *Stuleciu winnych* oraz *Matkach i córkach* – przypada na powojenny czas, który wcale nie okazał się tak optymistyczny, jak mogliby zakładać ocalali. Trudno nie odnieść wrażenia, że pisarka przestudiowała *Wielką trwogę* Marcina Zaremby i inne opracowania historyczne poświęcone pierwszej powojennej dekadzie, które zaprzeczyły tezie o momentalnym zakończeniu wojny w 1945 roku. Do jej skutków można zaliczyć nie tylko niewypały, szaber i dokwaterowywanych lokatorów, lecz również zwiększenie liczby kalek, sierot i wdów, problem rozkładających się ciał cywilów zakopanych na skwerach i podwórkach oraz demoralizację społeczeństwa. Powrót do normalności wymagał nie tylko odbudowy zniszczonych miast, lecz również uregulowania stosunków międzyludzkich i znalezienia nowych sposobów przeciwdziałania samotności.

Dotychczasowe życie ocalałych naznaczone głodem, strachem o najbliższych i bólem na skutek odniesionych ran nie mogło odmienić się do tego stopnia, że trauma, jakiej doświadczyli, została uwieczniona. Cena, jaką zapłacili za przeżycie, niejednokrotnie okazywała się zbyt wysoka, dlatego niektórzy decydowali się na radykalne rozwiązania (m.in. samobójstwo). Nawet najlepsza przyszłość nie może zrekompensować doznanych krzywd i przyswojonych „widoków cudzego cierpienia” (formuła Susan Sontag).

Galeria portretów ocalałych w książce *Najważniejsze to przeżyć* pozwala na zrewidowanie tezy o możliwości odrzucenia przeszłości i całkowitej koncentracji na przyszłości bez wpływu tej pierwszej na kondycję psychiczną ocalałych. Grabowska podejmując temat zagospodarowywania życia rodzącego się na ruinach, postuluje rewizję narodowych mitów i przyglądanie się poszczególnym strategiom przetrwania.

Nietrudno wskazać nawiązania, jakie zachodzą pomiędzy książką Grabowskiej a innymi powieściami. Temat powojennych losów mieszkańców Warszawy interesował również Polę Gojawiczyńską, która w 1946 roku opublikowała *Stolicę*. Być może to właśnie zainteresowanie najnowszą powieścią Grabowskiej sprawi, że czytelnicy powrócą do innych relacji z odbudowującego się miasta. Śledzenie powojennych zapisów pozwala zrekonstruować skalę zagrożeń, jakie czyhały na powracających do stolicy mieszkańców. Ich los okazywał się równie ważny, jak tych, którzy walczyli w powstaniu warszawskim. Grabowskiej udało się nie tylko uwiarygodnić historię o krnąbrnej i pyskatej dziewczynie, która potrafi poradzić sobie w zburzonej Warszawie i przetrwać mimo poniesionych strat, lecz również wydobyć z narracji uniwersalność charakterystyczną dla momentów przełomowych, wiążących się z koniecznością konfrontacji ze skutkami katastrofy. Ocalenie nie jest w powieści Grabowskiej doświadczeniem punktowym, lecz dokonuje się stopniowo, wraz z upływem czasu pojawiają się serie wyrzutów sumienia, uświadamiana jest skala zniszczeń i straconych szans, które przepadły wraz ze śmiercią młodzieży.

## Kto ocalał, a kto nie?

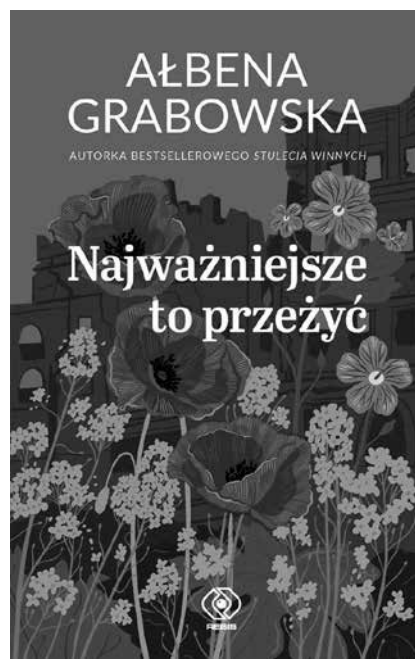
KSIAŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Ocalenie w przypadku głównych bohaterów wpisane jest w siatkę współczesnych wyzwań, wśród których najważniejszymi są: ustabilizowanie sytuacji zawodowej i życia prywatnego. Powodzenie przedsięwzięcia, jakim jest ocalenie, zależy od wielu czynników. Wśród ocalałych pojawiają się ci, którzy nie chcą dalej żyć, bo stracili bliskich i nie wyobrażają sobie dalszej egzystencji bez nich. Inni koncentrują się na utraconych sympatiach i nie potrafią zwrócić się ku przyszłości. Sposoby zagospodarowywania powojennego czasu okazują się różne, jednak za każdym razem na pierwszy plan wysuwa się potrzeba pielęgnacji interakcji międzyludzkich.

Grabowska świetnie uchwyciła czas sprządzianu osobowości poszczególnych bohaterów i bohaterów. Od tego, jakie postawy zajmą oni wobec nadciągających zagrożeń, zależy ich dalsze życie, które albo dopiero nabiera jakichkolwiek zarysów ze względu na wiek, albo ulega całkowitemu przekształceniu na skutek matrymonialnych decyzji. Wszyscy oni jednak muszą znaleźć dla siebie miejsce w nowej rzeczywistości, na którą wciąż wpływa przeszłość. Długi cień wojny to doświadczenie dobrze znane i opracowane w powojennej historiografii i historii literatury, jednak Grabowska nie sili się na referowanie skutków wojny przefiltrowanych przez emocje oscylujące wokół rozpacz, żaloby i utraty. Nie broni również tezy o konieczności zajęcia optymistycznej postawy wobec nieokreślonego jutra. Bohaterowie jej książki poddawani są różnym próbom, które za każdym razem hartują ich charakter.

Postacią spajającą wszystkie wątki jest Mirka Pataczkówna – bystra trzynastolatka, która znajduje wyjście z każdej opresji. Jej postawa kontrastuje z zachowaniem Tereski – siostry żyjącej przeszłością i usiłującej odzyskać dawną miłość. Pierwsza koncentruje się na interesach i handlu, które pozwalają jej odkrywać prawdziwą naturę innych handlarek, dru-



ga wciąż rozpamiętuje odrzucenie ze strony Alka, który brał udział w powstaniu warszawskim. Rodzina Tereski przed pierwszym sierpniem wyjechała na wieś ze względu na grożącą im dekonspirację. Mirka potrafi odnaleźć się w nowej rzeczywistości, a Tereska wciąż konfrontuje się z nieprzychylnymi komentarzami dotyczącymi ucieczki z Warszawy.

Autorka *Matki i córki* nieprzypadkowo wybrała jedno wydarzenie, którego konsekwencje okazały się dla Polski po 1945 roku długotrwałe i nieodwracalne. Wszyscy bohaterowie powieści zajmują konkretne stanowiska wobec powstania warszawskiego. Jego przebieg zrekonstruowali m.in. Anna Świrszczyńska (*Budowałam barykadę*) i Miron Białoszewski (*Pamiętnik z powstania warszawskiego*). Można je uznać za najbardziej traumatyczne doświadczenie generacji, która w czasie jego rozpoczęcia wchodziła w dorosłość. Tereska chciała walczyć, chociaż wielu jej przyjaciół straciło życie w zrywie akcentującym patriotyczne przekonania i poświadczającym aktualność formuły Horacego *Dulce et decorum est pro patria mori*. Mirka dobrze wiedziała, że konieczne jest zwrócenie się ku przyszłości i kombinowanie, bo tylko ono mogło uchronić przed ubóstwem i brakiem perspektyw.

Powieść Grabowskiej wypełnia białe plamy w powojennej historii ocalałych i pozwala na sprobmatyzowanie „ocalenia” jako kategorii, która często uznawana jest za zbyt oczywistą i poddającą się optymistycznym wykładniom interpretacyjnym. Być może to dzięki jej książce możliwe będzie powtórne przyjrzenie się strategiom ocalałych i sprawdzenie, czy przeżycie było równoznaczne z ocaleniem. ■

Ałbena Grabowska, *Najważniejsze to przeżyć*, Rebis, Poznań 2023, s. 320.

# Miejsca milczące.

## Malarstwo Natalii Kleszczewskiej



**Natalia Kleszczewska** jest absolwentką grafiki na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Dyplom główny zrealizowała w pracowni grafiki cyfrowej u prof. Adama Romaniuka i dr Marty Pogorzelec, natomiast aneks z malarstwa powstał w pracowni prof. Jacka Rykały oraz dr. hab. Aleksandra Kozery.

Pole jej działań, w których przeplatają się ze sobą techniki tradycyjne z cyfrowymi, stanowi głównie grafika, rysunek i malarstwo. Z jej prac wyłaniają się humanoidalne formy, nieoczywiste znaki pustki, maski, które przykrywają wewnętrzne miejsca milczenia.

O jej malarstwie tak pisała Irma Kozina:

„Postacie w jej – barwnych, choć zasadniczo monochromatycznych, a przez to operujących głównie światłem i cieniem – obrazach wydają się poetyckimi fantazmatami, ilustrującymi zastygłe w beczasowych przestrzeniach odczucia. Prowokują do postawienia pytania o ich status ontologiczny. Z jednej strony bowiem wywołują asocjacje z wyobrażeniami odnoszącymi się do świata pozaziemskiego, gdyż przywodzą na myśl stylizację związaną z charakterystycznym dla kultury wizualnej typu science fiction przedstawianiem istot kosmicznych, nieludzkich, budzących lęk Obcych, snujących plany zawłaszczenia planety zamieszkiwanej przez ludzi, z drugiej zaś wydają się obrazować syntetycznie esencję tego, co ludzkie w aspekcie niematerialnym, duchowym. Malarka nie stara się udzielać jednoznacznych odpowiedzi, lecz pozwala widzowi zatopić się w kontemplacji, wabiąc walorami formalnymi stworzonych przez nią dzieł, które są na tyle innowacyjne i indywidualne, że zaczyna się je postrzegać jako zapowiedź wykształcenia oryginalnej manieri artystycznej. Jednocześnie obrazy te są niezwykle szczerze i przekonujące, zarówno w zakresie przekazywanych treści, jak też w estetyce obranej do ich wyrażenia”





Natalia Kleszczewska, FROM MEMORY, druk cyfrowy w ramie, ok. 25x25 cm, 2023



Natalia Kleszczewska, GORĄCZKA II / ŻYWE SREBRO II, olej na płótnie, 120x160 cm, 2022





Natalia Kleszczewska, *LETNI FANTOM*, olej na płótnie, 120x160 cm, 2022



Natalia Kleszczewska, *OBSERWATOR I*, druk cyfrowy laminowany, 120x85 cm, 2023

# NOC—K

## IX KATOWICKA NOC GALERII

Wyobraźmy sobie na nocnym niebie układ gwiazd o takiej nazwie. Albo jako symbol. Na przykład symbol wydarzeń, które odbywają się w ostatnie piątki wrześniowe w katowickich galeriach miejskich i muzeach a nawet kawiarniach z ambicjami. Tym bardziej, że identyfikacja wizualna NOC-Ki skłania do takich skojarzeń: nawiązuje zarazem do mapy nocnego nieba i jest zarazem planem całego przedsięwzięcia.

W wielu aglomeracjach i stolicach świata, idea otwierania muzeów i galerii zaczęła się urzeczywistniać w latach osiemdziesiątych. W 1989 roku Helsinki ustanowiły w sierpniu *Nights of Arts*. Na początku lat 90-tych dołączyły kolejne miasta, m.in. Barcelona, Kair, Neapol czy Buenos Aires. W Berlinie *Lange Nacht der Museen* wystartował w 1997. Pierwsza katowicka NOC-K wystartowała w 2014 roku. Zbliżamy się więc do dekady istnienia pomysłu, który znakomicie zaimplementował się w centrum śląskiej konurbacji.

Tradycyjnie oprócz IKKMO, która celebrowała większość działań wystawowych i muzycznych, mogliśmy wziąć udział w wydarzeniach zorganizowanych w Scenie za Szybą na Burowcu, Rondzie Sztuki, Galerii Teatru Ateneum, Art Cafe da Vinci, ZPAF-ie, BWA, Galerii Intymnej, Galerii Art Nova, Galerii Akademii Sztuk Pięknych ASP i Muzeum Historii Katowic.

W tegorocznym programie nie zabrakło miejsca na występy muzyczne (w mniejszej skali niż w latach ubiegłych), spotkania autorskie i oprowadzania kuratorskie. W Strefie Centralnej odbyła się dyskusja, którą poprowadziła kuratorka całego projektu, Katarzyna Łata z okazji 200 rocznicy istnienia fotografii z twórcami, których wystawy niedawno gościły w galeriach IKKMO (Michał Cała, Stanisław Kulawiak, Jerzy Łapiński) lub specjalnie na NOC-Kę zostały przygotowane – mowa o ekspozycji Zbigniewa Podsiadło „Szukanie światła”.

Staralem się objąć wzrokiem i zasięgiem jak najwięcej w tym dniu i podczas tej nocy; nie byłem w stanie zobaczyć każdej ekspozycji, więc mój wybór ma w związku z tym charakter ograniczony. Mówiąc najkrócej: wszystkie odwiedzone przeze

# Konstelacja Sztuka

RADOSŁAW KOBIERSKI

mnie galerie śródmiejskie prezentowały wystawy malarskie (za wyjątkiem Ronda Sztuki, w którym rozgościła się multiinstalacja „Po wroście” kolektywu disnovation.org), IKKMO skupiło się na ekspozycjach fotograficznych – oprócz wymienionego wyżej Zbigniewa Podsiadło, Miasto Ogrodów przygotowało przegląd prac Inez Baturo (*Autoportret naturalnie*), wystawę fotografii Konrada Pollescha (*Panna*) oraz zbiorową reprezentację Ogólnopolskiego Festiwalu Fotografii Otworkowej OFFO (Kamil Budzyński, Ryszard Cabała, Yauheni Hulshan i Magdalena Nowak). Galeria Wspólna, która wyewoluowała z idei prezentacji pojedynczego dzieła (artyści związani z ASP) i pojedynczego lokum (dziś prace oglądać można na dwóch piętrach) przygotowała ekspozycję duetu Joanny Turek i Igi Łapy. Ściana Sztuki Dziecka zaprezentowała kolejną odsłonę projektu „Future Artist” tym razem pod tytułem „Współnotowe metafory”. Galeria Korezu przyjęła zaś liczną prezentację malarskich prac twórców skupionych wokół Grupy Malarzkiej „Zawodzie” pod kierunkiem Aldony Adamskiej-Dziuby.

Najważniejsze podczas IX edycji NOC-Ki wystawy odbyły się m. im w Rondzie Sztuki – „Po wroście” to cykl instalacji plastycznych, wizualnych i edukacyjnych poświęconych antropoceniowi, właściwie schyłkowi antropocenu, pojęciu i idei wzrostu w jego znaczeniu konstruktywnym, gospodarczo-społecznym jak i ironiczno-tragicznym; kiedy wzrost i wszystkie jego wskaźniki stają się liczmanem, przekleństwem i radykalnie przeobrażają nasze środowisko naturalne. BWA zaproponowało przegląd zbiorów własnych „Koolekcja”, tzn. prac artystów niegdyś skupionych wokół BWA i wystawiających w galerii. Najliczniej reprezentowane są prace abstrakcyjne, in-fornel a przede wszystkim obrazy „ma-

terialne” Zenona Moskwy i abstrakcyjne pejzaże Haliny Eysmontowej. Są pojedyncze prace Libery i Dwurnika (Wallenrod), chromatyczne pejzaże miejskie Rafała Pomorskiego przypominające o najlepszych latach polskiej awangardy. Wreszcie cykl późnych pastelów Jerzego Eysmonta, wybitnych dzieł, które swobodnie wiązać można z równie późnymi ikonami „kosmicznymi” Jerzego Nowosielskiego a przede wszystkim z „czarnymi seriami” Marka Rothko.

Dwie wyjątkowe ekspozycje, indywidualną i zbiorową, miałem okazję zobaczyć w Galerii Ateneum i ArtNova2 ZPAP. W pierwszej swoje prace wystawiła niedawna bohaterka wystawy w „Pojedynczej” Martyna Majchrowicz. „Demakijaże codzienności” to cykl kilkunastu wieloformatowych płócien, rysunków oraz kompozycji materiałowych, których łączy doświadczenie intymności, praktyka auto- i arteterapeutyczna (praca z wyobrażeniami i konstrukcjami kulturowymi). Kompozycje są pełne energii, ekspresyjnych wyobrażeń i zestawień barwnych.

W galerii ZPAF-u na Dworcowej interdyscyplinarna wystawa zbiorowa „Kato widzę tak” odsłania różne perspektywy i wyobrażenia związane z miastem, z doświadczeniem miasta. Znajdują się tu kompozycje przestrzenne, grafiki, abstrakcje, licznie nawiązujące do tradycji plastycznych (od końca XIX wieku po współczesność). Większość z nich wykonana na bardzo wysokim poziomie technicznym i artystycznym.

Gwoli domknięcia relacji z IX edycji NOC-Ki przypomnę, że w ASP odbyła się wystawa końcoworoczna prezentująca prace 600 studentów uczelni, na „Scenie za szybą” miał miejsce wernisaż i wystawa prac Pauliny Robak, w Galerii Intymnej zagościła wystawa „Bio-Bariogeneza” Sybille Skałuby pod kuratorską opieką Ewy Kokot.

## 2023

nie pozostało mi zbyt wiele

biesy gdzieś spomiędzy witryn  
wykrzykują, że za *jedynę 9,99*  
a ja podążam jakby we śnie  
zaznaczając, że przecież lubię ten stan,  
że sama go wybrałam  
i mam nad nim kontrolę, dlatego kupuję  
potrójnie, żeby nie powiedzieć *posiódnie*

dlatego wlatuje na najwyższy szczyt biurowca  
siódme piętro kobiety na oko lat 25  
wyglądają prawie jak ja  
włosy oczy nosy w gipsach

siedemnaste piętro  
mężczyźni podczas crossfitu robią przerwę  
na zamazane opakowanie anadrolu

na siedemdziesiątym trwa dyskusja o ochronie ziemi,  
tylko odrzutowiec przełożonego się zepsuł,  
więc *spotkanie zostaje odwołane*

na setnym nie dzieje się nic,  
więc wchodzę i zagarniam jak moje

## Stacja (nie)docelowa

wyjeżdżam z miasta raczej nieznanego  
wspinam się prędko na wyżyny niezręczności  
omijając nieprzyjemne doliny

pozostawiam za sobą ślad  
(niewęglowy)  
jak i robią inni współpasażerowie  
bagażę rzucając w pośpiechu  
za nowym obiecującym jutrem

nie zerkam na niego,  
mimo że jedziemy całą drogę, stykając się ramionami,  
nie reaguje na dzień dobry,  
przywykłam do cześć

jednak doszło do kolizji  
spojrzenia wszystkich się spotkały  
pociąg stanął na stacji znanej każdemu

## Zmiany sezonu

nie zmienia się nic  
może tło za oknem  
i mój płaszcz na jesień i zimę

na poliestrowy zaczyna być trochę za zimno

śnieg na balkonie pozostaje i w czerwcu  
a liście przestały żółknąć  
tak to wszystko wygląda  
zza lekko przybrudzoną klatką

w zasadzie jeżdżę drogą  
co miesiąc ta sama  
i jakby pani w przedziale piątym  
z brzuchem większym  
a pan z trzeciego przerzucił się z gazety  
na smartfona  
a u mnie tylko włos siwy na głowie pojawił się  
(szkoda, że nie ze starości)  
i miejsce pasażerskie obok  
ciągle puste

## wolałabym być ewą

Podglądałam cię z balkonu,  
tak bardzo chciałabym znać cię więcej,  
pod słuchuję Twoją myśl,  
wyłaniając się znad papierosa,  
ludzie to bardzo dziwne zwierzęta

bardzo by chcieli odmówić instynktowi stadności

kończąc zdanie wyrzucasz niedopałek,  
na mój sznurek na bieliznę,  
zaburzając bliskość

ja już odnalazłam alternatywę czułości,  
wcale nie będąc Julią.

## Tamte noce, tamte dni

Położyłam się obok ciebie na łóżku pokrytym kolcami o zapachu brzoskwini,  
które przypominają mi o spotkaniach pod czereśnią w upalne, letnie wieczory,  
gdy siedzieliśmy pokryci nadziejami naszych przyszłych podróży.  
Mieliśmy zobaczyć malowane wodospady,  
a wieczorami kąpać się w nich zanurzeni, gdy  
promienia księżycy odbijają się od tafli wody.  
Ukołysałbyś mnie do snu, w akompaniamencie dźwięków  
natury, budzącej się do życia,  
podczas gdy podziwiałabym aksamit twojego głosu.  
Dotykam jednak Twoich chłodnych dłoni,  
przeszywająca wizja.

\*

I chociaż czuję, jak się przewracasz rozdrażniony złym snem,  
i modłę się byś spojrział,  
Twoje oczy nie otworzą się (na mnie).

## Wilcze posunięcie

I zostawiłaś mnie samą,

na tej trawie pełnej wilków,  
każdy łypie na mnie,  
a ja nie znam drogi powrotnej.  
Zabrałaś ze sobą mapę powrotną,  
na której krwią zaznaczyłam wyjście.

One są coraz bliżej,  
robi się coraz ciemniej.

Ciało robi się zubożniałe,  
skóra schodzi z palców,  
fioletowy zaczyna mieć blask.  
Nie mam siły prosić i wołać,  
echo imienia Twojego roznosi się nieznośnie  
w moich uszach.

Zostawiłaś mnie na pożarcie,  
nie jednego,  
a wielu wilków.

## Zbyt głośna samotność

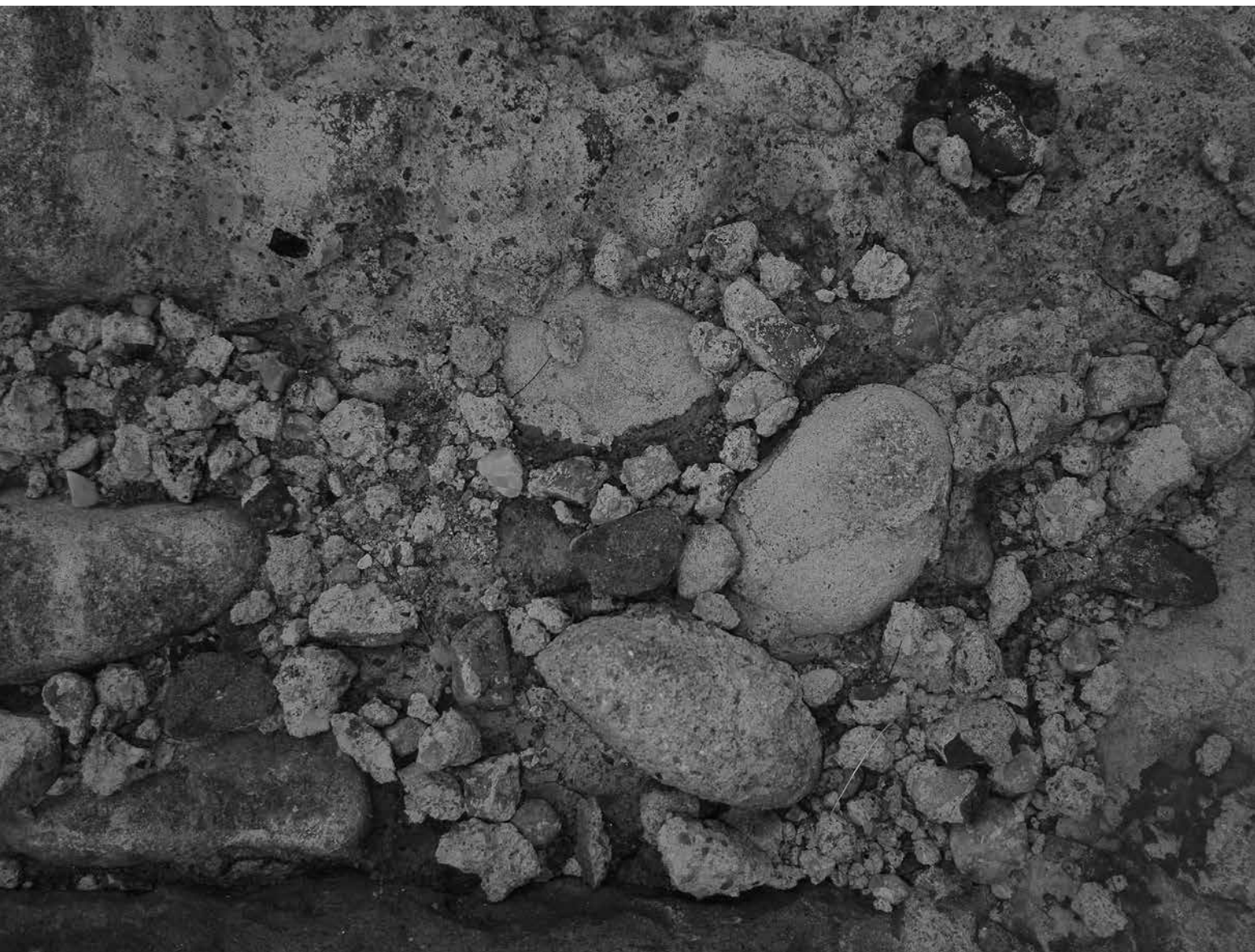
Dzisiaj nie mam ochoty na spotkanie,  
szkoda, że jest to banda nieubłagalna,

szepczą mi dziś czule do ucha,  
że sami mogą mnie odwiedzić  
[oni nie potrzebują zaproszenia]  
wzdycham właściwie niezauważalnie,  
sprzeczenie się w końcu, nie bardzo jest w moim zwyczaju.

Wchodzą po kolei, ustawieni w nierówne rzędy intensywności,  
zasiadają po odpowiednich stronach i miejscach,  
jeden nie chce siedzieć po lewej, rządzi w końcu prawica,  
drugi czuje się pewniej w małym kącie, on zbiera energię,  
ona pewnie wolałaby wcale tu nie być, tylko  
pilnuje pierwszego, by nie był za delikatny  
a czwarty wziął za dużo na swoją głowę,  
więc musiał poprosić o pomoc piątego i szóstego

*przeprowadzka*

rozłożyli się wygodnie już wszyscy,  
łącznie z moim ciałem.



# Dziś prawdziwych zecerów już nie ma

ANDRZEJ JARCZEWSKI

**D**la kogo pracujesz? Od odpowiedzi na to pytanie zaczyna się praca korektora. I o tym dziś opowiem, zachęcany oszałamiającym sukcesem czytelnictwem pierwszego (w zamierzeniu również ostatniego) odcinka „Apologii korektologii”, opublikowanego w lipcowym numerze „Słaska”. Otóż zareagowały aż cztery osoby, co jest wynikiem niezwykle optymistycznym, pozwalającym mniemać, że korekta nie jest nieważna.

Mojego optymizmu nie gasi nawet fakt, że artykuł zebrał 75% opinii negatywnych. Krytykowano brak konkretów. Że nie podałem przykładów i mały z tego pożytek. Cóż, teraz też nie będzie zbyt wielu przykładów, bo mamy internet, dostępne są wszystkie słowniki, a niezwykle wartościowe fora korektorskie pomagają radzić sobie tam, gdzie słownik nie sięga. Podstawowe problemy korektograficzne zostały już rozwiązane albo pozostawione wyczuciu językowemu redaktora. Tej pracy nie dubluję. Opowiem za to o społecznej sytuacji korektora, a przynajmniej w tym odcinku nadgrzeję temat bez gwarancji dalszego ciągu.

## Korekta dla zecera

Wraz z metrapaźem i drukarzem – zecer należał do arystokracji robotniczej. Nie tylko umiał „pisać”, czyli składać wyrazy z czcionek, ale był elementem ważnego systemu rozpowszechniania kultury, nauki, informacji i propagandy. Mógł służyć władcom, mógł ich obalać. Złej sławy temu zawodowi przysporzył Bolesław Bierut, a o zecerach dobrej sławy wiemy, że istnieli pół tysiąca lat: od wieku XV do XX. Dziś zecerów już nie ma. Ani dobrych, ani złych. Ta szlachetna profesja nieopatrzenie wygasła, choć gdzieś tam można jeszcze spotkać hobbyistów i muzealników, pielęgnyjących dawne techniki druku.

Wspominam zecerów w artykule korektologicznym, dlatego że do niedawna to oni byli głównymi odbiorcami korekty gazetowej i książkowej. Na ich użytek tworzone znaki korektorskie, które trzeba było nanosić na wydruki kontrolne, tzw. szczotki. A skoro zecerzy zniknęli, to i tradycyjne znaki korektorskie odchodzą do historii. Używa ich z przyzwyczajenia tylko starsze pokolenie, dokonujące tradycyjnej korekty na papierze, a sporadycznie – młodzież korzystająca z tabeli do korekty na plikach PDF.

## Korekta dla autora

Korektę – jako zajęcie raczej poboczne – wykonuję od pół wieku i prawie nigdy nie miałem sposobności stosowania znaków korektorskich. Wszystkie ważniejsze prace wykonywałem dla autorów powierzonych mi dzieł, a ci wspomnianych znaków nie znali. Trzeba było porozumiewać się z nimi jakoś inaczej. To piszę na użytek osób zainteresowanych zawodem korektorskim, które na sam widok tych znaków

tracą dobry humor. Mam dla nich wiadomość pocieszającą: nie musicie stosować ani nawet znać korektorskich hieroglifów. Nie będą potrzebne. Wystarczy wiedzieć, dla kogo pracujemy.

Kontakty z autorami bywają z początku stresujące. Kto stara się opublikować swój tekst pierwszy raz w życiu, w ogóle „nie potrzebuje” korekty. Uważa, że tak się namęczył nad dziełem, że tam już wszystko jest niezwykle doskonałe. Gdy jednak otrzymuje zwrot manuskryptu z pierwszą korektą, doznaje szoku. Na każdej stronie mnóstwo ingerencji korektorskich i redakcyjnych. „Mnóstwo” oznacza dużo więcej niż dziesięć poprawek na stronę. Jeżeli tych poprawek jest mniej niż dziesięć, sprawdzam tekst ponownie, bo czuję, że coś przeoczyłem.

## Korekta komputerowa

O papierze prawie zapomniałem. Autorom odsyłam ich manuskrypty w postaci plików wordowskich z propozycjami zmian. Drobnymi literówkami, podwójnymi spacjami czy brakiem spacji po kropce (częsty błąd edycji komputerowej) w ogóle autorom nie zwracam głowy i poprawiam to bezśladowo. Niekiedy jednak trzeba zmienić coś poważniejszego. Ot, autorzy przywiązują się do jakiegoś wyrazu i powtarzają go w kilku kolejnych zdaniach bez istotnej potrzeby (w niniejszym artykule wyrazem powtarzanym potrzebne jest ‘korekta’ plus derywaty, a niepotrzebnie: ‘potrzebnie’). Trudno przekonać autora, że należy unikać powtórzeń, a synonimów nie można za bardzo sugerować, bo – zwłaszcza w tekście naukowym – można źle trafić. Na ogół wystarczy zaznaczyć identyczne wyrazy jakimś kolorem. Za pierwszym razem konieczna jest notatka wyjaśniająca, a później już wystarczy samo zakolorowanie. Autor domyśli się, co tam nie gra, i sam to poprawi.

Zrezygnowałem nawet z wordowskich opcji „Recenzja” i „Adiustacja”. Autorzy mają z tym za dużo kłopotu, choć niektórzy nie życzą sobie żadnych poprawek „bezśladowych”, by nie tracić kontroli nad manuskryptem. Ale zawodowi dziennikarze wiedzą, że korektor raczej nie zepsuje tekstu, poza tym – mówimy nadal o korekcie dla autora – i tak muszą autoryzować artykuł, więc zawsze mogą

przywrócić wersję ich zdaniem lepszą. Spory dotyczą raczej pracy nie korektora, ale redaktora, który często skraca teksty, żeby zmieściły się na stronie.

Wszyscy piszą już na klawiaturze komputerowej i korzystają z opcji sprawdzania błędów ortograficznych, choć nie każdemu się chce to robić. Znacznie częściej widzimy błędy w pisowni nazwisk, tytułów i różnych wtrętów obcojęzycznych. To korektor musi zawsze sprawdzać, bo błąd w nazwisku kompromituje autora. Do niedawna korzystaliśmy w tym celu z wielometrowej półki ze słownikami, poradnikami i encyklopediami. Dziś wystarczy internet.

## Korekta składu

Redakcje gazetowe nie lubią korektograficznej korespondencji z autorami, bo to tylko psuje krew. Na ogół zresztą nie ma na to czasu. Redaktor akceptuje (lub nie) artykuł pod względem merytorycznym i odsyła materiał do komputerowego składu. Ważna uwaga: składacz nigdy nie czyta tekstu! Nie dlatego, że mu nie wolno, ale dlatego, że – jak zecer i metrapaź – składacz odpowiada za inną część procesu wydawniczego. Składacz oczywiście może czytać wszystko, nie może tylko z własnej inicjatywy poprawiać tekstu, chyba że zauważy ‘ktury’. Ale nawet to jest ryzykowne, co pokażę teraz na przykładzie wziętym z prawdziwego tekstu.

Otóż zdarzyło się kiedyś, że wyraz ‘ktury’ trafił akurat na prawy brzeg strony manuskryptu. Niedoświadczony autor wymusił podział myślnikiem i jeszcze dodał spację. Wizualnie wszystko się zgadzało. Rzecz poszła do składu. Komputerowa autokorekta wykryła wyraz ‘ktury’ i zaproponowała poprawkę na ‘który’, co składacz machinalnie zaakceptował. W wyższej linijce pozostało ‘te-’, a w niższej ‘który’. Czytelnik dowiedział się więc, że... książka ma okładkę z tektury.

Gdy już mamy skład gotowy, korektor(ka) otrzymuje plik PDF i czyta starannie, bo jeśli nawet tekst autorski został doprowadzony do postaci bezbłędnej, to teraz pojawiają się nowe niespodzianki. Programy do składu są optymalizowane ze względu na język angielski, a z polskim miewają kłopoty. To jednak temat na następny odcinek. ■

# Trzeba robić, zamiast gadać

TOMASZ SŁUPIK

W polskiej debacie publicznej od lat panuje tęsknota za wielkimi i przemyślanymi strategiami rozwoju państwa. Krytykuje się działania polityków za dozażność obliczoną na szybki, polityczny zysk. Nie jest to krytyka pozbawiona racji. W końcu ostatnim rządem, który miał aspiracje reformatorskie był ten Jerzego Buzka sprzed ponad ćwierć wieku. Nie wszystkie pomysły rządów AWSu były dobre, ale zdecydowanie nie można ich określić jako populistycznych. Reformy atakowały interesy wielu silnych grup w imię poprawy jakości państwa. Te ambitne plany skończyły się rządem mniejszościowym i bolesną lekcją dla wszystkich kolejnych premierów o zapędach reformatorskich.

Dwie kadencje Donalda Tuska w fotelu premiera upłynęły pod hasłem „cieplej wody w kranie”. Nie rozwiązano wielu problemów, z którymi męczymy się jako państwo od 1989 roku. Rządzący czasami zachowywali się jakby przeszli z tymi problemami do porządku dziennego. Przekształcona wypowiedź minister Bienkowskiej „sorry, taki mamy klimat” oddawała momentami ducha tych rządów. W skrócie: robimy co możemy, nie oczekujcie cudów, nie mamy wpływu na wszystko. Nie był to zły czas dla Polski, ale jednak wielu wyborcom to nie wystarczyło.

Z kolei czas Kaczyńskiego należy umiejscowić w kategorii rewolucji. Populistycz-

na fala, która się przetoczyła przez Polskę zmieniła bardzo wiele fundamentów, na których zbudowaliśmy III RP. Wizje tworzone przez Kaczyńskiego więcej miały wspólnego z politycznymi utopiami i myśleniem życzeniowym niż z długofalową strategią rozwoju państwa. Taka postawa ma silne podstawy w historii narodu polskiego. Romantyczne szarże, decyzje polityczne podejmowane pochopnie lub w pośpiechu to chleb powszedni każdego kto zajmuje się historią Polski. Zachowanie PiSu na arenie międzynarodowej więcej miało wspólnego z szarżami kawaleryjskimi niż z zaplanowaną dyplomacją. Na dowód wystarczy wspomnieć wybory na szefa Rady Europejskiej i słynne już głosowanie przegrane 27 do 1. Ten „ostatni rewolucjonista III RP”, jak o Kaczyńskim pisał Krzysztof Mazur z Klubu Jagiellońskiego, raczej wybiera wywracanie do góry nogami zastanego porządku niż systematyczną pracę i stopniową poprawę państwa.

Jednak nie chcę żeby ten tekst był kolejnym wołaniem na puszczy o lepszą debatę publiczną czy mądrzejszych polityków. Moje doświadczenia życiowe podpowiadają, że w tym temacie niewiele da się zmienić. Pogodzony z taką myślą zachęciłbym klasę polityczną do czegoś innego. W miejsce dalekosiężnych planów czas postawić na codzienną praktykę społeczną. Co mam przez to na myśli? Chciałbym żeby kolejne reformy edukacji, służby zdrowia czy administracji pu-

blicznej nie polegały na dodaniu nazwiska autora do tony dokumentów, które niewiele poprawiają, a dużo mieszają. Tak było w przypadku „reformy Gowina” czy „planu Morawickiego”. Dużo skuteczniejsze wydają się zmiany prowadzone za pomocą małych eksperymentów. Zamiast deliberować wśród ekspertów, który model edukacyjny jest najlepszy lepiej będzie zacząć testować je w praktyce. Oczywiście nie od razu w skali całego kraju. Róbnmy to stopniowo. W pojedynczych szkołach i gminach. Sprawdzajmy różne rozwiązania. Co do tego, że edukację w Polsce trzeba zmienić zgadzają się wszyscy, ale jak to zrobić pokaże dopiero praktyka. Do tego potrzeba silnego samorządu. Wzmocnionego nie tylko instytucjonalnie, ale również finansowo. Dzięki temu różne modele edukacji mogą być testowane w oparciu o regionalne doświadczenia i potrzeby, a nie pomysły władzy z Warszawy.

Taki sposób reformowania państwa sprawił, że dzisiaj Finlandię określa się jako państwo, które działa. Nie musimy przeszczepiać ze Skandynawii gotowych rozwiązań, ale możemy się zainspirować tym jak doszli do własnych. Takich, które im najbardziej odpowiadały. Jako politolog zajmujący się myślą polityczną doskonale wiem, że lepsze jest wrogiem dobrego. Szczególnie jeśli to pierwsze jest idealną utopią a drugie sprawdzoną praktyką społeczną. ■



## Ukraina w „Śląsku”

**KATOWICE.** We wrześniu odbyło się w Mieście Ogrodów, pod egidą redakcji miesięcznika „Śląsk”, spotkanie czytelników ze współautorem prezentowanego od ponad roku na łamach czasopisma cyklu „Dziennik zdruzgotanego życia” – Witoldem Turantem. Annie Gurbicz, drugiej autorce, niestety nie udało się przyjechać

fot. A. Lawrywianiec



z Ukrainy. Spotkanie prowadził prof. Marian Kisiel. W rozmowie z Turantem dotarł do genezy „Dziennika” oraz sprowokował autora do licznych osobistych refleksji związanych z pracą nad cyklem, który poświęcony jest sytuacji ludności cywilnej, głównie kobiet, na broniącej się przed rosyjską agresją Ukrainie. Uczestnicy spotkania zadawali liczne pytania dotyczące rozwoju wydarzeń w broniącym się kraju, a także interesowali się sytuacją życiową nieobecnej współautorki dziennikarsko-literackiego projektu, który, co warto podkreślić, został ciepło przyjęty i wysoko oceniony przez obecnych na sali Ukraińców. W artystycznej części tego wydarzenia wystąpiła Margareta Storonianska, znakomita bandurzystka, znana publiczności w wielu krajach Europy. W jej rękach bandura, tradycyjny ukraiński instrument, ukazała pełnię swoich magicznych możliwości. Występ instrumentalistki i śpiewaczki zgromadzeni nagrodzili rześzystymi oklaskami. Należy także wspomnieć, iż oboje autorzy, którzy do tej pory jeszcze nie spotkali się osobiście, przygotowują książkę, opartą na ich tworzącej „Dziennik” e-mailowej i smsowej korespondencji. Oboje liczą na to, iż niebawem uda im się spotkać, a spotkanie takie z pewnością na łamach naszego miesięcznika zrelacjonujemy.

## „Fermenty” rozproszyły mrok

**BIELSKO-BIAŁA.** Co może otrzymać zespół kabaretowy w nagrodę za udział w przeglądzie formacji spod znaku żartów i satyry? Pamiątkowy dyplom, symboliczną statuetkę, a może gratyfikację pieniężną? Na Podbeskidziu estradowa grupa szyderców z Gdańska została uhonorowana podarkiem rzeczowym w postaci... trzech latarek, wręczonych przez reprezentanta lokalnych władz samorządowych. Zdarzyło się to pod koniec września w sali widowiskowej Bielskiego Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej. W ramach XXIII edycji popularnego festiwalu kabaretowego FERMENTY zorganizowano tam bezpretensjonalny przegląd kabaretowy o nagrodę publiczności. Wzięły w nim udział zespoły z Gdańska, Krakowa, Poznania, Torunia i Wrocławia. Najwięcej głosów widzów zdobyła krakowska grupa Trzecia Strona Medalu. Aprobata publicznosci wzbudził zwłaszcza jej muzyczny skecz „Baby dają w szyję” w męskim wykonaniu krakow-

skich żartownisiów. Źródłem inspiracji dla krakusów była niezapomniana wypowiedź znanego polityka, który stwierdził onegdaj, że przyczyną kłopotów demograficznych Polski są alkoholowe ciągoty młodych kobiet. Zespół TSM otrzymał w nagrodę 1000 euro (festiwal był finansowany wyłącznie przez sponsorów, bez korzystania ze środków budżetu miejskiego).

Grupa Pomoże z Gdańska została zaś wyróżniona wspomnianą już nagrodą oświetleniową, przyznaną nieoczekiwanie nadmorskim komikom przez Adama Ruśniaka, pomysłodawcę i twórcę FERMENTÓW, a zarazem aktualnego wiceprezidenta miasta, odpowiedzialnego za sferę kultury w Bielsku-Białej. Doceenił on w ten sposób kabaretową scenkę „Nie czekaj z podrywem do północy”.

Lataraki dla gdańszczan nie były prezentem absurdalnym, bo od początku bieżącego roku gasną o północy w Bielsku wszystkie lampy uliczne z prozaicznych względów oszczędnościowych. Podobnie zresztą dzieje się w wielu innych miastach – Garwolinie, Krośnie, Lubaczowie, Myślenicach, Tarnowie, Świdnicy czy w Suwałkach. Liczne samorządy borykają się z poważnymi kłopotami budżetowymi. Nocne wyłączanie ulicznych latarni pozwala – jak się dowiedzieliśmy – zaoszczędzić rocznie bielskiemu samorządowi 4,2 mln zł.



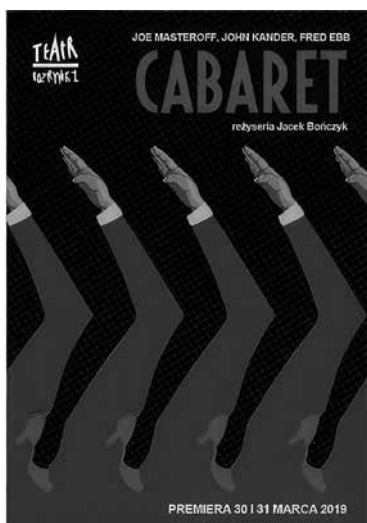
fot. A. Rucińska

Miejscem „fermentowych” imprez była jednak nie tylko reprezentacyjna sala BCK. W zabytkowej willi Sixta, dawnego fabrykanta włókienniczego, spotkali się przy KAFCE (Koalicja Festiwalu Kabaretowych) organizatorzy głównych imprez rozrywkowych typu „comedy show” z całego kraju. Do Bielska przyjechali w tym dniu animatorzy sztuki kabaretowej z Bogatyni (Turniej Małych Form Satyrycznych), Ełku (Mazurskie lato Kabaretowe MULATKA), Lidzbarka Warmińskiego (Lidzbarskie Wieczory Humoru i Satyry), Piotrkowa Trybunalskiego (Trybunały Uśmiechu), Poznania (Zostań Gwiazdą Kabaretu), Rybnika (Ryjek – Rybnicka Jesień Kabaretowa), Warszawy (Festiwal Komedii „Stolica”) i Szczecina (Festiwal Komedii „Szpak”). Zastanawiano się, jak serwować odbiorcom ambitną sztukę kabaretową w drapieżnych warunkach komercyjnej rozrywki, królującej teraz niepodzielnie w Polsce. Humory dyskutantów poprawiała smaczna pizza, którą przygotowywano na miejscu według zróznicowanych receptur lidzbarsko-poznańsko-szczecińskich. (luz)

## Sławny musical w różnych teatrach

**CHORZÓW, BIELSKO-BIAŁA.** W dwóch przybytkach Melpomeny w naszym województwie można obejrzyć różne inscenizacje amerykańskiego musicalu „KABARET” Johna Kandra z piosenkami Freda Ebba. Poruszające widowisko sceniczne o narodzinach nazizmu wystawiono na początku października

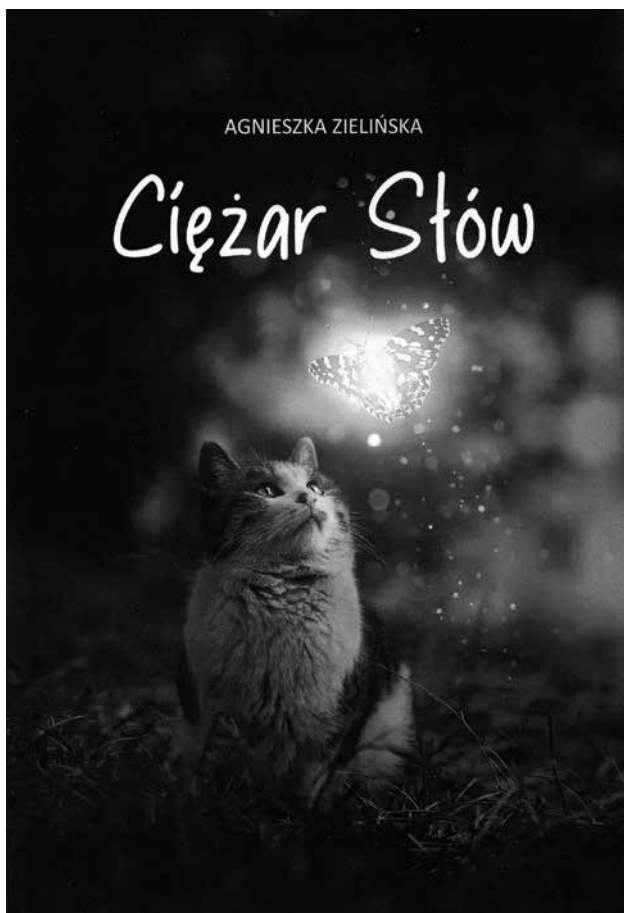




w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej. Od ponad czterech lat broadwayowski musical nie schodzi zaś z afisza w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Warto przypomnieć, że światowa prapremiera „Kabaretu” w reżyserii Harolda Prince’a odbyła się w USA przed 57 laty. Potem w 1972 roku Bob Fosse zaprezentował światu swój – nakręcony na kanwie musicalu – głośny film z udziałem Lizy Minelli i Michaela Yorka. W kolejnych latach widowisko gościło na deskach kilkunastu teatrów w Polsce, w tym m.in. we Wrocławiu, Gdyni, Poznaniu, Warszawie i Krakowie.

Najświeższa bielska inscenizacja opowieści o berlińskich latach trzydziestych XX wieku różni się znacząco od adaptacji chorzowskiej. **Małgorzata Warsicka** postawiła w Bielsku na kameralny przekaz artystycznego przesłania „Kabaretu”, bez fajerwerków realizacyjnych, charakteryzujących chorzowskie widowisko, wyreżyserowane przez **Jacka Bończyka**. Istotny wpływ na efekty poczynają obojga twórców mają z pewnością warunki techniczne, panujące w obu teatrach. Placówka chorzowska dysponuje nowoczesną sceną obrotową, co ma niebagatelne znaczenie w przypadku wystawiania musicali wymagających odpowiedniej przestrzeni scenicznej.

Najświeższa bielska inscenizacja opowieści o berlińskich latach trzydziestych XX wieku różni się znacząco od adaptacji chorzowskiej. **Małgorzata Warsicka** postawiła w Bielsku na kameralny przekaz artystycznego przesłania „Kabaretu”, bez fajerwerków realizacyjnych, charakteryzujących chorzowskie widowisko, wyreżyserowane przez **Jacka Bończyka**. Istotny wpływ na efekty poczynają obojga twórców mają z pewnością warunki techniczne, panujące w obu teatrach. Placówka chorzowska dysponuje nowoczesną sceną obrotową, co ma niebagatelne znaczenie w przypadku wystawiania musicali wymagających odpowiedniej przestrzeni scenicznej.



się wieczór poetycki związany z promocją tomiku wierszy Agnieszki Zielińskiej pt. *Ciężar słów*. Po powitaniu licznie przybyłych gości poetka zaprezentowała swój tomik wierszy, a w dalszej części imprezy nastąpił program poetycko – muzyczny w wykonaniu Marty Gabryś-Wieczorek. W trakcie spotkania autorka odpowiadała na pytania gości, dzieliła się z przybyłymi swoimi refleksjami i obserwacjami, przybliżała sprawy będące inspiracjami twórczymi.

W ukazaniu się tomiku wielką pomoc okazały władze Spółdzielni Mieszkaniowej „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej, a sponsorami wydawnictwa są: Bogusław Rokosz PUH BOGMAR i Danuta Barczyk Zakład „Instalatorstwo i Pomiary Elektryczne”.

Agnieszka Zielińska zawodowo związana jest od lat z dziennikarstwem prasowym, jest też pisarką i poetką. Od lat stale współpracuje z Miesięcznikiem „Śląsk”. Na zdjęciu od lewej: Agnieszka Zielińska, wiceprezes Spółdzielni „Metalurg” Renata Rogusz, oraz Andrzej Madej, prezes SM „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej, „dobry duch” wydania tomiku.



Bielsko, fot. Dorota Koperska



Najciekawsze wydaje się porównanie artystycznych kreacji postaci mistrza ceremonii w spektaklu Kandra. W tę rolę wciela się w Chorzowie z wyjątkową ekspresją **Kamil Franczak**, uhonorowany Złotą Maską za swoje umiejętności wokalnie-aktorskie. Natomiast w Bielsku jest zupełnie inaczej. Role scenicznych mistrzów ceremonii powierzono tam nietuzinkowemu duetowi aktorskiemu – **Marcie Gzowskiej-Sawickiej** i **Adamowi Myrczkowi**. Ów tandem w trzech europejskich językach snuje zwierzenia, relacjonuje, cieszy się, smuci, opowiada, zapowiada, a przede wszystkim śpiewa. Publiczność ma okazję słuchać słynnych utworów z „Kabaretu”, w tym m.in. piosenki „Money, money”, która w swoim czasie była – przypomnijmy – ogólnoświatowym przebojem musicalowym w wykonaniu Lizy Minelli. Oba przedstawienia zasługują bezspornie na uwagę – ten sam spektakl, ale całkowicie odmienne spojrzenia reżyserskie. (luz)

## Poezja

**DĄBROWA GÓRNICZA.** 5 października 2023 roku w siedzibie Muzeum Miejskiego „Sztetygarka” w Dąbrowie Górniczej odbył

# Bluesowe emocje nad Rawą

ZBIGNIEW LUBOWSKI

**B**lues miał dziecko i nazwano je rock'n'rol-lem – śpiewał przed laty legendarny bluesman amerykański **Muddy Waters** (1915–1983). Tytuł tego utworu („The blues had a baby and they called it rock'n'roll”) stał się popularnym mottem dla pomysłodawców i organizatorów imprez i przeglądów muzycznych na całym świecie. Nic więc dziwnego, że istotnym komponentem 41. edycji jesiennego festiwalu **RAWA BLUES** w Katowicach był dwugodzinny set rock'n'rollowy z udziałem polskich i brytyjskich artystów, grających muzykę w stylu boogie woogie, rockabilly i pastiszowej odmiany korzennego rock'n'rolla.

Zgromadzona w katowickim Spodku publiczność wpadła w taneczny trans przy dźwiękach utworów w wykonaniu Boogie Boys, Restless i grupy Shakin' Dudi – gospodarza jesiennej imprezy (dziewięciogodzinny w sumie maraton muzyczny w sobotę, 7 października). Pierwszy z tych wykonawców zaprezentował repertuar inspirowany wyraźnie twórczością Wojciecha Skowrońskiego, zmarłego w 2002 roku znakomitego pianisty, wokalisty i aranżera.

Muzycy z Boogie Boys, w tym zwłaszcza grający na instrumentach klawiszowych Bartłomiej Szopiński i Michał Cholewiński, nie ukrywali swojej fascynacji nurtem boogie woogie. Gołym okiem było widać (i slychać), że takie brzmienia są – bez najmniejszej przesady – muzyką ich życia.

Ciekawie wypadł też koncert Restless, brytyjskiej grupy istniejącej od ponad 40 lat. Jej nazwa wywodzi się, o czym warto wspomnieć, od tytułu piosenki Carla Perkinsa, jednego z pionierów światowego rock'n'rolla. Występ wzbudził aprobatę widzów, którzy gorącymi brawami nagradzali popisy instrumentalne muzyków.

Na szczególną uwagę zasługiwała w ich interpretacji wyciągnięta z repertuaru holenderskiej formacji Golden Earring, która w swoim czasie zastąpiła koncertami u boku Led Zeppelin czy Joe Cockera. Goście z Anglii nadali nowatorskie oblicze rockowemu szlagierowi sprzed 50 lat.

Owację publiczności wywołało pojawienie się na scenie **Ireneusza Dudka** we wcieleniu rock'n'rollowym. Śląski animator bluesa i nieustrudzony organizator katowickiego festiwalu przestoczył się na kilkadziesiąt minut w estradowego showmana o przydomku **Shakin' Dudi**. Przypomniał

widzom nieśmiertelne przeboje „Za dziesięć minut trzynasta”, „Au sza la la”, „Zastanów się, co robisz”, „To ty, słodka”.

## Ekwilibrystyka nad pianinem

Towarzyszyli mu ślasy muzycy, wśród których nie brakowało artystów o akrobatycznych (dosłownie!) umiejętnościach. Pianista Tomasz Pała wspinał się – dla przykładu – na swoim instrumencie, nie przerywając ani na chwilę żywiołowej gry na klawiszach. Widzowie szaleli wręcz z euforii. Takich emocji muzycznych nie było w minionych latach (ponad dwudziestokrotnie miałem już okazję być w Spodku na dorocznym imprezach z cyklu RAWA BLUES).

Na zbiorowe żądanie kilkudziesięcioletniego audytorium rozbrzmiewała teraz na „bis” szydercza „Ziuta” (*ja wiem, że nie ma brzydkich kobiet, tylko wina czasem brak*). Stary dobry rock'n'roll, ubarwiony prześmiewczymi tekstami piosenek, rozgrzał do czerwoności uczestników festiwalu. Spontanicznie tańczyli oni na płycie przed estradą. Nasuwało to nieodparte skojarzenia z organizowanymi w warszawskiej „Stodole” tanecznymi turniejami rock'n'rollowymi im. Billa Haleya.

## Gitarowi wirtuozi

W sobotni wieczór październikowy dominował jednak w Spodku blues, zgodnie ze znaną maksymą amerykańskiego artysty **Williego Dixona** (1915–1992), który kilkadziesiąt lat temu postawił fachową diagnozę: *Blues to korzenie, a reszta muzyki – to owoce*.

Tegoroczny program najstarszego w Polsce festiwalu bluesowego obfi-

tował w występy prawdziwych gwiazd z USA i Kanady. Byli to bez wątpienia artyści nietuzinkowi – Altered Five Blues Band, Philip Sayce, Albert Cummings i The Troy Redfern Band. Zainteresowanie widzów budzili zwłaszcza gitarzyści obdarzeni ponadstandardowym kunsztem warsztatowym.

– *Ci faceci wyróżniają się imponującą biegłością manualną w grze na sześciu strunach* – powiedział w pewnej chwili z podziwem jeden ze stojących obok mnie pod sceną słuchaczy. Ekspresyjne, wielominutowe solówki gitarowe stanowiły dawkę rasowego bluesa elektrycznego, zwielokrotnionego brzmieniowo dzięki solidnej aparaturze nagłaśniającej. Poszczególnym mistrzom sześciu strun towarzyszyły – rzecz jasna – perfekcyjne sekcje rytmiczne. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że takie wirtuozerskie koncerty bluesowe są ogromną rzadkością w naszym kraju.

Wyjątkowa energia artystyczna charakteryzowała gitarzystę **Philipa Sayce'a**. Wielu krytyków i recenzentów muzycznych uważa go nie bez powodu za „Jimiego Hendrixa XXI wieku”. Objawił on niezwykły talent, grając bluesa z pasją, której można tylko pozazdrościć. Jego solówki w utworach „Out of my mind” i „Beautiful” przejdą z pewnością do historii katowickiego festiwalu. W blues-rockowej konwencji były też utrzymane świetne popisy Alberta Cummingsa.

Nieźle zaprezentowali się ponadto polscy bluesmani z zespołów Blueset oraz Teksasy & Wojtek Cugowski. Ich koncerty przypadły do gustu wielu widzom. Muzycy z Blueset przedstawili mieszankę różnych stylów, obejmującą m.in. fusion (brzmienia z pogranicza jazzu i rocka).

## Ciekawie, ale drogo

Konferansjerem trwającego do północy spotkania z bluesem w Spodku był znany dziennikarz radiowy – **Jan Chojnacki**. Ze znanostwem i estradową swadą opowiadał on publiczności o kolejnych wykonawcach, uatrakcyjniając swoje zapowiedzi barwnymi dykteryjkami na temat prezentowanych artystów. 41. edycja festiwalu RAWA BLUES miała tylko jedną wadę. Ceny potraw i napojów serwowanych uczestnikom imprezy na festiwalowych stoiskach gastronomicznych utrzymywały się, niestety, w górnej strefie stanów wysokich. Inflacja zrobiła po prostu swoje. ■



Philip Sayce. Fot. Darek Ptasiński



Grupa BOOGIE BOYS – entuzjaści gatunku boogie woogie z ekspresyjną domieszką czarnego bluesa. Fot. Darek Ptaczyński



W rolach głównych (obsada wokalna/ taneczna): Wioletta Biala/ Ellen Bremer (Maryja); Piotr Brodziński/ Maciej Tręba (Józef); Kacper Treła/ Sara Solorz (Gabriel); Sergis Davtyan/ Tomasz Tuszyński (Józef); Katarzyna Broda-Pirła/ Elżbieta Mickiewicza i Sylwia Werner (Elżbieta i Prorokini Anna); Józef Broda/ Grzegorz Pajdzik (Syneon) oraz Studenci i Adeptci Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach

Zespoły Wokalne i Instrumentalne: Akademicki Chór Politechniki Śląskiej (pod kier. Tomasza Giedwillo); Orkiestra Symfoniczna „Maxime” (pod kier. Andrzeja Mandryki); Uczniowie PSM I i II stopnia im. M. Karłowicza w Katowicach; Uczniowie OSM I i II stopnia im. F. Chopina w Bytomiu oraz Natalia Gałgza, Aleksander Gąsior, Dominik Bocek, Bartosz Buczkowski (Band Rockowy); Damian Szczyłka (Organy); Bartosz Bobel (Instrumenty Perkusyjne)

Zespoły Taneczne i Akrobilki: „Mały Śląk” (choreografia Daniel Działka CK Karolinka); „Arabeska” (choreografia Iwona Tchórzewska - Pałac Młodzieży w Katowicach); „Male Carmenli” (choreografia Danuta Kwasiń w Katowicach); Carmen Dance Center/ MDK Koszutka) oraz Teatr Kombiła, Teatr „Cordi” i Uczestnicy Warsztatów Artystycznych „Maryja”

Kierownik Biura Organizacyjnego:  
Małgorzata Krzeszowska

Współpraca organizacyjna:  
Mirela Gontarz

Produkcja:  
ka. dr Robert Kaczmarek

SPEKTAKL MUZYCZNY

# MARYJA

Muzyka: Piotr Solorz

Główny Choreograf: Henryk Konwiński

Dramaturgia i reżyseria: Mariusz Kozubek

Scenografia: Agnieszka Jasińska

SPODEK  
Katowice

15.11.2023r.

godz. 18.30

BILETY DO NABYCIA: **Bilety24** **bil@tyna.pl**

WIĘCEJ NA: [mlodziamlodych.pl](http://mlodziamlodych.pl)

📌 [Maryja- Spektakl muzyczny](#) @ [maryja\\_spektakl\\_muzyczny](#)

